

Książka ściągnięta z
serwisu

Www.Eksiazki.Org

**Arkadij Strugacki
Borys Strugacki**

Ekspedycja do piekła

Tłumaczyła Walentyna Trzecińska

Pościg w kosmosie

1.

Na brzegu oceanu, ongiś lodowatego, a obecnie i po wsze czasy ciepłego, żyli sobie trzej serdeczni przyjaciele: mistrz, sportowiec i uczoney. Przez pamięć o słynnych muszkietierach będziemy ich nazywać Atosem, Portosem i Aramisem, jako że, po pierwsze, ich prawdziwe imiona nie mają większego znaczenia, a po drugie - ponieważ tak właśnie zawsze ich nazywano, byli bowiem nierozłączni, gotowi pójść jeden za drugiego w ogień, a swoją przyjaźń cenili ponad wszystko. I jeśli ktokolwiek z ich znajomych mówił: „Nasi muszkietierowie znów się wczoraj popisali” - wszyscy rozumieli od razu o kim mowa i pytali bez zbędnych słów: „A cóż znowu zbroili tym razem?”. Nasi bohaterowie dość się przy tym wszystkim różnili charakterami, co zresztą nie dziwi, jeśli wziąć pod uwagę ich profesje. Wszak wszystkim wiadomo, że na naszej planecie mistrzowie zajmują się tworzeniem nieopisanie pięknych dzieł sztuki i konstruowaniem niesłychanie potężnych urządzeń; sportowcy rozwijają wspaniałe możliwości ludzkich organizmów i doprowadzają do doskonałości urodę człowieczego ciała; a uczeni - cóż, są właśnie uczonymi: wymyślają wyprawy do najgłębszych źródeł wiedzy i planują czarodziejskie przemiany żywej materii. Dlatego uczeni, sportowcy i mistrzowie zawsze trochę się będą między sobą różnić, dopóki jakiś geniusz nie połączy w jedno pracowni, stadionu i laboratorium.

Jednakże jeśli chodzi o spędzanie wolnego czasu, gusty naszych przyjaciół były mniej więcej jednakowe i nierzadko przyczyniały trosk otoczeniu. A to wypływali daleko w morze, podkradali się do drzemającego w pełnym słońcu na leniwej fali podstarzałego kaszalota i, pokrzykując, zaczynali go zniecacka łaskotać, aż nieszczęśnik z rykiem i parskaniem uciekał poskarżyć się podwodnym pasterzom. A to tuż przed nocą zaczynali przy wtórze gitary uczyć się nowej lirycznej piosenki, a ponieważ Portos miał potężny bas i praktycznie ani odrobiny muzycznego słuchu, podobne lekcje niezmiennie wprawiały w stan niezwykłego podniecenia zaskoczonych w promieniu kilkuset metrów ludzi, zwierzęta, ptaki i roboty. A raz potajemnie skonstruowali niecne urządzenie, które grając na czarnej fujarce przemaszerowało w biały dzień centralną ulicą i wszystkie roboty-niańki, roboty-dozorcy i roboty-ogrodnicy w osadzie porzuciły swe zajęcia, ruszyły za nim w step i wróciły dopiero po tygodniu. Jednym słowem z naszych bohaterów były niezłe urwisy i chociaż podobne wybryki bardzo się podobały wielu ich znajomym, to wszyscy dokoła wzdychali z ulgą, gdy nierozłącznych muszkietierów nachodziła cicha zaduma i wszyscy trzej całymi godzinami wylegiwali się w cieniu na trawce, zatopieni w starożytnych książkach o wielkich rewolucjach i tytanicznych walkach narodów o wolność i niepodległość. (Nie, muszkietierowie byli mimo wszystko ludźmi bardzo odmiennymi. Pewnego razu zadano każdemu z nich jedno i to samo pytanie: „Co cię interesuje najbardziej, jeśli masz przed sobą jakiś cel?” Mistrz Atos wzruszył ramionami i niedbale odparł: „Chyba szukać środków do osiągnięcia tego celu”. Sportowiec Portos

wykrzyknął, nie namyślając się: „Oczywiście, bez względu na wszystko, cel osiągnąć!” A uczony Aramis rzekł swoim zwykłym, cichym głosem: „Prawdopodobnie dowiedzieć się, co będzie, gdy cel osiągnę.” Być może właśnie dlatego byli przyjaciółmi?)

W tym momencie wypada zaznaczyć, że w codziennej działalności naszej trójki duży udział brała pewna Gala, nader młode i milutkie stworzenie, mieszkające w uroczym domku nie opodal. Gala była czymś w rodzaju ciotecznej siostry czy też wujecznej ciotki Aramisa, i na prawach krewniaczki chętnie zgadzała się (w zależności od nastroju) albo robić muszkietierom burę w imieniu i na zlecenie wzburzonego społeczeństwa, albo też owe społeczeństwo uspokajając w imieniu i na zlecenie muszkietierów. W przerwach hodowała na poletku doświadczalnym za osadą nowe gatunki winogron, zmuszała Atosa do budowania dla sąsiedzkich dzieci mechanicznych zabawek („Czy ty i twoi smarkacze zostawicie mnie w spokoju, sałaciana główko?”), pod kierownictwem Portosa uprawiała gimnastykę artystyczną („Palce! Wyciągnij palce, szkrabie!”) i wrzucała Aramisowi za kołnierz wielkie żuki - jelonki, których to żuków Aramis bał się bardziej niż śmierci („Jej! Rozerwę cię na strzępy, bezczelna dziewczyno!”). Galę w ogóle prawie zawsze można było znaleźć gdzieś w pobliżu muszkietierów (albo muszkietierów w pobliżu Gali), tak że znajomi często nazywali ją „d'Artagnanem w spódnicy”, chociaż Gala z pewnych względów za nic nie chciała reagować na te ze wszech miar pochlebne przezwisko. I kiedy w soboty Gala ruszała konno do Zielonej Doliny na bliny do swojego dziadka, byłego kucharza Północnej Floty Podwodnej, prawie zawsze towarzyszyli jej muszkietierowie - czy to z przyjaźni, czy też przeczuwając smak wspaniałych blinów, których wielkimi zwolennikami byli wszyscy trzej. I trzeba było widzieć ich mknących galopem po poboczu szosy, ze szczupłymi poślądkami w górze, z twarzami przy końskich grzywach, gwizdzących przenikliwie i dodających sobie nawzajem animuszu dziarskimi okrzykami!

Cała historia zaczęła się właśnie w jedną z takich sobót, tyle że owego dnia Atos i Aramis byli zajęci, i w wyprawie do dziadka Gali towarzyszył jedynie Portos. Dzień był piękny, słoneczny, po bezkresnym błękitnym niebie dumnie sunęły puszyste niczym bita śmietana białozółte obłoki. Gala i Portos galopowali szosą, a wokół rozpościerała się Zielona Dolina: kwitnące ogrody, szmaragdowe łąki, przytulne domy i ażurowe altany, przejrzyste strumienie i błękitne jak niebo rzeki, przemykające pod garbatymi mostkami. Wesóło umykały do tyłu słupki kilometrowe z cyframi: 110... 111... 112... Świeży wiatr chłodził rozpalone twarze, strząsając z siwych pysków gęstą pianę gniewnie parskały rosłe konie, rzuciła się w pogoń i została z tyłu pocieszna, kudłata psina... Wszystko było po prostu wspaniałe, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że na finiszu czekały góry złocistych blinów, oczywiście ze śmietaną i wszystkim, co należy, i tak zimne, że pokryte kroplami rosy dzbany szlachetnego jabłeczника, od którego język szczypie, a lzy napływają do oczu.

Nagle Gala w pełnym galopie osadziła konia tak gwałtownie, że zwierzę zarżało i stanęło dęba. Portos przejechał z rozpędu jeszcze jakieś dziesięć kroków i również się zatrzymał.

- O co chodzi? - zapytał, odwracając się w siodle.

Gala nie odpowiedziała. Zmarszczyła brwi i z zakłopotaniem przyglądała się słupkowi

kilometrowemu. Portos podjechał do niej.

- Co? - spytał. - Co się stało?

- Spójrz... - wyszeptała Gala. - Co to jest?

Spojrzał. Słupek jak słupek. Na białej emaliowanej tabliczce czarne cyfry: 160.

- Sto sześćdziesiąt - stwierdził zniecierpliwiony. - Okrągła liczba. Co z tego?

- A przed nami las - szepnęła Gala.

Rzeczywiście, szosa przed nimi nikła w głuchym lesie. W świadomości Portosa coś przebiło się poprzez wizję parujących blinów i zroszonych szklanic. Gala bez słowa zawróciła konia i pomknęła z powrotem. Portos poszedł w jej ślady. Zatrzymali się przy najbliższym słupku. Na białej emaliowanej tabliczce czerniały cyfry: 120.

- Sto dwadzieścia... - wciąż szeptem powiedziała Gala. - A potem od razu sto sześćdziesiąt... I od razu las...

- Coś podobnego - powiedział skonsternowany Portos. - Wygląda na to, że gdzieś przepadło czterdzieści kilometrów szosy!

- Nie tak po prostu szosy, głupcze! - krzyknęła Gala i jej prześliczne zielone oczy napęłniły się łzami. - Przepadło pół Zielonej Doliny, przepadł dom dziadka, rozumiesz?

- Nie denerwuj się - mruknął Portos. - Być może wszystko nie jest takie straszne...

Znów zawrócili konie i wrócili do słupka na skraju lasu.

- Sto sześćdziesiąt - powiedział Portos. - Głupi żart!

- To nie żart. Nie jakieś tam łaskotanie wielorybów. Tutaj zdarzyło się coś okropnego! Co teraz zrobić?

Portos pomyślał.

- Trzeba opowiedzieć Atosowi i Aramisowi - oznajmił zdecydowanie. - Wracamy.

- Nie - powiedziała Gala. - Jedziemy naprzód.

- Ależ przed nami jest tylko zwykły las...

- No to sobie popatrzymy, co tam jest.

Z miejsca ruszyli galopem i wpadli do lasu. W lesie panował duszny półmrok, kopyta dźwięcznie stukały po betonie nawierzchni i przesuwwały się do tyłu słupki kilometrowe z cyframi: 161... 162... 163... 164... Las i las, myślał z irytacją Portos, wpatrując się w czarnozieloną ciemność na lewo i prawo. Zwyczajny las mieszany. Tracimy tylko na darmo czas. Powinniśmy jak najszybciej wracać do domu i powiedzieć o wszystkim Atosowi i Aramisowi. To głowy, jakich ze świecą szukać, a my pędzimy, gdzie poniosą oczy. Ale wiedział z doświadczenia, że uparta dziewczyna w sporach jest nie do pokonania. Dobra, będziemy wyrozumiali... I w tym momencie zauważył dziwną rzecz. Konie z galopu niezauważalnie przeszły w kłus, potem szły stępą, i nie zdążył nawet podzielić się cennym spostrzeżeniem z Galą, gdy jego potężny ogier odwrócił się bokiem i jak wkopany stanął w poprzek szosy.

- No? - ze zdumieniem spytał rumaka Portos. - Co z tobą? W czym problem?

Ogier w milczeniu pokręcił łbem.

- Może się zmęczyłeś?

Ogier powąchał betonową nawierzchnię i prychnął.

- Co się dzieje z końmi? - zaniepokoiła się Gala.

Jej koń cofał się, wstrząsany dreszczami zadzierał głowę.

- Tak - tak - tak - powiedział chmurząc się Portos. - Konie nie chcą iść dalej, boją się. Wygląda na to, że miałaś, szkrabie, rację: coś przed nami jest.

Popatrzyli - najpierw na siebie nawzajem, potem na swoje konie.

- Więc jak, zawracamy? - spytał Portos.

Spytał bez przekonania, tak na wszelki wypadek. Świetnie wiedział, co będzie dalej. I rzeczywiście: Gala zeskoczyła z konia i oznajmiła:

- My końmi nie jesteśmy. Pójdziemy dalej.

Nie było sensu dyskutować. Portos z westchnieniem zsiadł z konia, przywiązał zwierzęta do najbliższej sosny i nie dopuszczającym sprzeciwu tonem oznajmił:

- Idę przodem, a ty dziesięć kroków za mną.

I poszli, trzymając się środka szosy, raz po raz spoglądając na boki. Za kilometrowym słupkiem z cyfrą 168 las zniecka rozstał się, ukazując rozległą polanę. Na polanie wznosił się stromy, porośnięty pozółkłą trawą kurhan z płaskim wierzchołkiem.

2.

Jakiś czas Portos i Gala stali trzymając się za ręce i zaniepokojeni przysłuchiwali się i przypatrywali. Na szczycie kurhanu wielką, zieloną chmurą wystrzelał gigantyczny, przysadzisty dąb, przypominający raczej baobab, a w cieniu dębu widać było rozsypującą się budowlę z zapadniętym dachem i czarnymi prostokątami pustych okien. Było bardzo cicho, nie słyszało się ani zwykłego buczenia trzmieli, ani cykania koników polnych. I jaskrawo płonęło na błękitnym niebie nad głowami południowe słońce. Potem nadleciał poryw wiatru. Zaszleściło, zaszumiało, zalśniło srebrnymi iskrami dębowe listowie i coś przeciągle, smutno zaskrzypiało - może na wpół zerwana okiennica, może zardzewiałe zawiasy drzwi. Gala drgnęła i przytuliła się do Portosa. Ale wiatr uspokoił się i wszystko na powrót ucichło. Portos mężnie odkaslnął.

- Pójdę popatrzeć, a ty zaczekaj tutaj - zaproponował.

- Nie! - oznajmiła zdecydowanie Gala. - Lepiej już pójdę z tobą.

Poszli przez polanę po kolana w trawie. Z cichym piskiem wyprysnął Portosowi spod nóg puszysty, biały kłębuszek i uciekł. Królik, pomyślał machinalnie sportowiec. Słońce przypiekało. Podeszli do podnóża kurhanu i zaczęli piąć się po stromym zboczu. Z każdym krokiem rozłożysta korona dębu coraz bardziej przesłaniała niebo. W końcu całkowicie zakryła słońce i od razu zrobiło się chłodno. Nawet jakoś zimno, zaobserwował ze zdumieniem Portos.

- Słuchaj, nie boisz się? - szeptem spytała go Gala.

- Jeszcze czego! - odparł gromkim basem muszkieter.

Z całej siły wczepiła się paluszkami w jego dłoń. Uśmiechnął się dla dodania dziewczynie

otuchy, próbując przy tym pokazać jak najwięcej swoich wspaniałych zębów. Dobrze by było, gdyby takie zęby pooglądał również nieznany potwór, jeżeli skrycie ich śledzi. Portos był wielkim strategiem.

Z bliska opuszczony dom okazał się być tym właśnie, czym się wydawał z daleka: opuszczonym domem. Ściany z bierwion poczerniały i porosły zielonkawoniebieskim liszajem, okna z wybitymi szybami zasnuły zakurzone pajęczyny, powykrzywiane i przegniłe na wylot deski ganeczku prowadziły do ziejącego otworu drzwiowego. Drzwi wisiały krzywo na jedynym zardzewiałym zawiasie. Portos zerwał je z łatwością, odrzucił na bok i pochylając się pod niskim nadprożem wszedł do domu. Gala prawie deptała mu po piętach.

- Taak... - oznajmił Portos rozglądając się. - Nędza i ubóstwo...

Dom składał się z jednej, całkowicie pustej izby. Pełną szczelin podłogę pokrywała gruba warstwa kurzu, ze ścian zwisały strzępy tapet nieokreślonej barwy, sufit osiadł i częściowo runął. Przez szczeliny widać było podpierające dach belki, a przez dziury w dachu prześwitywało zielone listowie dębu. Portos hałaśliwie powęszył.

- I śmierdzi jakoś wstrętnie - powiedział. - Czymś skisłym... Gala wypuściła nagle jego rękę i przykucnęła.

- Portos - powiedziała cicho. - Portos, popatrz! Ślady!

- Gdzie? - zapytał żywo Portos, wodząc wzrokiem po ścianach dookoła.

- Gdzież ty patrzysz? Spójrz tutaj!

Portos pochylił się. Ledwie zdołał odszukać wzrokiem dziwne wgłębienia w kurzu na podłodze (zupełnie jak gdyby słoń przestępował z nogi na nogę) i w tejże samej chwili ciszę rozdarł straszny, przeciągły krzyk, na strychu załopotwały potężne skrzydła i z sufitu lawiną posypały się śmieci. Zdarzyło się to tak nieoczekiwanie, że Portos i Gala całe trzy sekundy pozostawali w poprzednich pozach, nie będąc w stanie drgnąć, zasłonić głowy, krzyknąć. A dziwny atak trwał.

- Uhu-u-u-u! Uh-u-u-u! - wył nieludzki głos, o belki strychu tłukły niewidzialne skrzydła, sypały się z góry śmieci i cały dom wypełniły kłęby duszącego pyłu. W końcu Portos oprzytomniał.

- Hej ty! - ryknął. - Na górze! Kark ci, draniu, skręć!

- Uciekajmy! - krzyknęła rozpaczliwie Gala.

Łatwo powiedzieć - uciekajmy. Z wielkim trudem, kichając, kaszląc i spluwając dobrnęli po omacku do drzwi i wypadli na zewnątrz. Rwetes na strychu natychmiast się uspokoił, ponownie nastąpiła cisza. Portos i Gala powoli wyprostowali się, popatrzyli jedno na drugie i z miejsca bez słowa zaczęli doprowadzać się do porządku. Z okien i drzwi domu wypełzały, osiadając na trawie, szare, przejrzyste obłoczki kurzu.

- A żeby cię tak pokręciło, draniu! - ryknął Portos, z rozdrażnieniem wyczesując palcami śmieci z włosów.

- O kim mówisz? - spytała Gala.

- O tamtym ptaszydłe, a o kimże innym? Nie zauważyłaś? Wielki, biały ptak, podobny do puchacza...

- Ptak - powtórzyła Gala. - Dobra, niech będzie ptak. Idziemy. Jej wybrudzona kurzem twarz

była blada, usta zaciśnięte, zielone oczy płonęły. W milczeniu, z całej siły starając się nie oglądać za siebie, zeszli z kurhanu, w milczeniu przeszli przez polanę, wrócili na szosę i w milczeniu doszli do miejsca, gdzie zostawili konie. I dopiero gdy kopyta na powrót zastukotały po betonowej nawierzchni, Gala powiedziała:

- Jestem przekonana, że wszystkiemu winne są kurhan i ruina. Kryje się w tym jakaś straszna tajemnica i jeśli jej nie wyjaśnimy, nigdy się nie dowiemy, co stało się z połową Zielonej Doliny i z dziadkiem.

- Aha... - odezwał się z głębokim namysłem Portos. - A więc uważasz, że ptak wszystkiego się domyślił i dlatego na nas napadł?

- A jak ty uważasz?

- Prawdę mówiąc myślałem... mógł się po prostu przestraszyć, jeśli ma tam, powiedzmy, gniazdo czy coś innego. Krzyczeliśmy, hałasowaliśmy, no i ptak zawiercił się, wrzasnął, zamachał skrzydłami...

Gala popatrzyła na niego ze współczuciem.

- Portosiku kochany, pamiętasz, w którym momencie wszystko się zaczęło?

- Zaczęło się... Tak, oczywiście! Jak tylko pokazałaś mi ślady... dziwne, trzeba przyznać, ślady...

- Właśnie. Jak tylko zobaczył, że odkryliśmy ślady, zasypał je wszelkim świństwem, a nas po prostu przegonił.

- Aha... - stwierdził Portos. Od wysiłku umysłowego aż poczerwieniał. - A więc uważasz, że ptak ma związek ze zniknięciem połowy doliny i... e... dziadka? Co to może być za ptak?

Gala nie odpowiedziała. Wyjechali z lasu i znowu puścili konie poboczem. W tej samej chwili nad ich głowami rozległ się żaloszny pisk. Portos spojrział na niebo i ze zdumieniem zawołał:

- To przecież on, we własnej osobie!

Wielki, biały ptak z okrągłą kocią głową i wielkimi oczami szybował nad nimi unosząc w szponach małe, puszyste zwierzątko.

- Patrz, kogoś schwytał - zawołała Gala. - Pożre go! Portos momentalnie zeskoczył z siodła, pochylił się, nie patrząc poszperał pod nogami i wyprostował podrzucając w dłoni solidny kamień. Ptak zimno i obojętnie obserwował go z góry, lekko kołysząc się na nieruchomo rozpostartych skrzydłach. Portos zamachnął się. R-r-raz! Kamień trafił ptaka pod lewe skrzydło. Znajomy niesamowity krzyk zabrzmiał nad doliną. Ptak rozprostował szpony i mocno chyląc się na lewy bok znikł za wierzchołkami drzew, a biały puszysty kłębuszek upadł u stóp Portosa.

- Daj mi go - powiedziała Gala. - Uważaj, ostrożniej, żeby go nie zabolalo!...

Było to bardzo dziwne zwierzę, istny Czeburaszka z bajek dla dzieci, tyle że biały jak śnieg i z czerwonymi oczami. Dygotał w dłoniach Gali i przez puszyste futerko dziewczyna wyraźnie czuła, jak szybko bije jego serduszko.

- Biedulek... - uzalila się Gala. - Wystraszył się...

- No myślę! - powiedział Portos. - A kto to jest? Kociak?

- Ależ skąd. Widzisz, jaki krótki ogonek?

- A więc króliczek?

- Też nie. Uszka ma małe... Dobra, siadaj na konia. Jedziemy prosto do Atosa, trzeba się pospieszyć.

3.

Nie myjąc się, nie przebierając, zostawiwszy konie wprost na ulicy, Gala i Portos wpadli do domku Atosa, wpakowali się do kabiny windy przypominającej szklankę z kolorowego szkła i zjechali do przestronnej pracowni. Podłoga drżała tu pod nogami, nisko buczały przemyślne mechanizmy w kulistych obudowach z siatki, potężne przeciągi roznosiły wonie rozpalonego metalu i rozgrzanych tworzyw sztucznych, rzucając na ściany chybotliwe cienie wybuchwały i gasy oślepiające liliowe ognie, a dziesiątki dużych i małych robotów-krabów, robotów-pająków i robotów-skolopendr, pobrzękując stawami, uwijały się pracownicy po owej ogromnej podziemnej sali wykonując jakieś, im samym nawet nieznanne, operacje. Atos w białym kombinezonie stał przed pulpitem sterowniczym na płaskiej, okrągłej platformie podwieszanej pod wielkim dźwigiem z kratownic.

- Ahoy! - ryknął gromkim głosem Portos.

- Atos! - czystym i dźwięcznym głosikiem krzyknęła Gala. Atos spojrzał na nich przelotnie i z niezadowolaniem machnął ręką.

- Jestem zajęty! - powiedział z rozdrażnieniem. - Co za maniery...

Ale w tym momencie doszło do niego, że przyjaciele wyglądają, delikatnie mówiąc, niezupełnie zwyczajnie. Spojrzał ponownie, już uważniej, gwizdnął i nacisnął palcem jakiś klawisz na pulpicie. Platforma płynnie ruszyła z miejsca, obniżyła się i zatrzymała przy Gali i Portosie. Atos zeskoczył na podłogę.

- Coś podobnego! - powiedział. - Gdzieście się tak uszargali? Jak wam nie wstyd zjawiać się w podobnym stanie u mnie w pracowni?

- Zniknęło pół Zielonej Doliny! - pospiesznie przemówił Portos.

- Zniknął dziadek! - odezwała się równocześnie Gala.

- Czterdzieści kilometrów szosy...

- Najpierw jechaliśmy konno, a potem konie się przestraszyły...

- Klucz do wszystkiego leży w tym kurhanie z dębem i starym domem...

- Jak tylko znaleźliśmy ślady, wrzasnął i zasypał nas...

- Wielki, biały ptak, jakby puchacz...

- To jakaś niebezpieczna tajemnica...

- Trafiłem go kamieniem, ale uciekł...

Atos leciutko poklepał ich dłonią po ustach i posłusznie umilkli. Popatrzył na dłoń, wytarł ją śnieżnobiałą chusteczką do nosa, którą rzucił potem na podłogę. Zmyślny robot-krab niezwłocznie podniósł chusteczkę i gdzieś potaszczył.

- Zaraz się we wszystkim połąpiemy - oznajmił Atos i przysiadł na skraju platformy. - Jesteście niezwykle, do obrzydliwości brudni, ale sądząc ze wszystkiego sprawa nie cierpi zwłoki. Dlatego siadźcie na podłodze, potem po was posprzątają.

Zmieszani Gala i Portos usiedli po turecku na podłodze, a gospodarz wyjął z kieszeni na piersi radiotelefon i nacisnął klawisz wywołania.

- Słucham - odezwał się cichy jak zwykle głos Aramisa.

- Mówi Atos. Wybacz, że odrywam cię od pracy, ale zjawił się u mnie nasz sportowiec razem z sałacianą główką, są bardzo podekscytowani i pragną oznajmić coś wielce interesującego i, obawiam się, wielce tragicznego. Wysłuchamy ich.

- Słucham - powtórzył głos Aramisa.

- Opowiadajcie - rozkazał Atos.

Pospiesznie i zawile, co i rusz przerywając sobie i spierając się o szczegóły, Gala i Portos opowiedzieli przyjaciółom o swych przygodach i przeżyciach. Kiedy umilkli, Atos odczekał chwilę i zapytał:

- To wszystko?

Gala i Portos skinęli głowami.

- Co powiesz, Aramisie?

- Dziwne i niebezpieczne. Za minutę będę u was. Słuchałem po drodze.

- Boję się o dziadka... - chlipnęła nagle Gala i nerwowo pogłaskała usadowione na ramieniu zwierzątko. Zwierzątko przytuliło się do jej policzka i zamrugało czerwonymi ślepkami.

- Co ja bym zrobił? - odkaslnąwszy potężnie powiedział Portos. - Poszedłbym prosto do nich, do tych dowcipnisiów, i wszystkich w puch i proch rozniósł, żeby im się raz na zawsze odechciało...

Winda cicho brzęknęła i z kabiny wyszedł Aramis. Idąc chował do kieszeni oślepiająco białego fartucha swój radiotelefon. Przysiadłszy obok Atosa na skraju platformy uważnie obejrzał Galę i Portosa i uśmiechnął się - odrobinę, ledwie zauważalnie, kącikami ust.

- A więc? - spytał.

- Słyszałeś - powiedział Atos. - Mów, co o tym myślisz.

- Popatrzmy, co nam wiadomo - zaczął Aramis swoim cichym, spokojnym głosem. - Po pierwsze - zniknął pas terenu szerokości czterdziestu kilometrów razem z ludnością, roślinnością i zwierzętami. Teoretycznie można sobie wyobrazić - a to znaczy, że i skonstruować - warunki, przy których jest możliwa podobna operacja. Jest ona znana w subeinsteinowskiej geometrii fizycznej i nosi miano trójwymiarowej kontrakcji...

- Zamknij usta - polecił surowo Atos Portosowi.

- Po drugie - ciągnął Aramis - w głuchym lesie obok szosy za sto sześćdziesiątym ósmym kilometrem pojawiły się polana i kurhan z wiekowym dębem na szczycie. Mówię „pojawiły się”, ponieważ na zrobionych nie dawniej niż rok temu zdjęciach lotniczych niczego podobnego nie można zaobserwować. Sprawdziłem osobiście przed wyruszeniem tutaj. W zestawieniu z faktem zaistnienia trójwymiarowej kontrakcji, która miała miejsce między sto dwudziestym i sto

sześćdziesiątym kilometrem, nagle pojawienie się polany i kurhanu z dębem i starą budowlą wygląda skrajnie podejrzanie i nasuwa myśl o maskowaniu. Po trzecie - całkowicie zgadzam się z moją drogą krewniaczką, że działania tak zwanego wielkiego białego ptaka miały na celu przestraszyć i zmusić do ucieczki nieproszonych świadków.

- Wniosek? - spytał Atos. Aramis wzruszył ramionami:

- Logiczny wniosek zgadza się całkowicie z intuicyjnym, do którego doszliście i bez mojej pomocy. Mamy do czynienia z przestępstwem.

Zapanowało milczenie. Potem Portos zapytał:

- Z czym?

- Z przestępstwem - powtórzył Atos.

- Aha... - oznajmił z głęboką rozważą Portos.

- Jak ci nie wstyd! - powiedziała zniecierpliwiona Gala. - Przecież czytałeś... To było, gdy bez pytania otwierano kufry ze skarbami, odbierano głodnym ostatni kąsek, zabijano bez powodu...

- Tak - odparł Portos. - Rzeczywiście. Przypomniałem sobie. A więc mamy do czynienia z przestępstwem. Bardzo dobrze. Bo już myślałem, że to po prostu idiotyczny żart.

- O żartach na razie lepiej zapomnieć - oznajmił mu Atos i odwrócił się do Aramisa: - Serwuj ostatnie ogniwo, staruszku. Kim są przestępcy?

- Ludzie już od stu lat nie popełniali przestępstw - odparł cicho Aramis. - A przestępstw związanych z użyciem dużych ilości energii i potężnego sprzętu nie było na naszej planecie ani w okolicach od jakichś trzystu lat. Sam się nasuwa wniosek, że przestępcy... - zamilkł i uniósł do góry palec wskazujący.

Portos popatrzył na sufit.

- Czyżby sąsiedzi? - spytał przestraszony.

- No, i co z nim zrobić! - zawołał wzburzony Atos i klepnął się dłońmi po udach.

- Nie - powiedział Aramis. - Przestępcami są przybysze z głębokiego Kosmosu. Nie wiemy jeszcze o co im chodzi ani jakie mają możliwości, ale powinniśmy być przygotowani na najgorsze.

- Na wojnę! - powiedział twardo Atos. Portos wstał i zaczął zakasywać rękawy.

- Rozbijemy ich! - oznajmił. - Spuścimy manto! Pokażemy kosmicznym impertynentom! Chodźcie, chłopaki!

- Siadaj - rozkazał Atos. - Tak, wojna. Nie walczyliśmy od bardzo dawna, ale przypomnijmy sobie, jak się to robi. Oto co proponuję. Oczywiście przede wszystkim trzeba zawiadomić Radę Światową. Siedzą tam mądrzy ludzie i bez wątpienia coś poważnego wymyślą. Ale my nie będziemy na nich wyczekiwać. Jako żołnierze nie jesteśmy ani gorsi, ani lepsi od któregośkolwiek z dziesięciu miliardów zamieszkujących planetę ludzi. Ale to my jako pierwsi odkryliśmy przestępców i jako pierwsi wejdzimy do boju. Jasne, że przestępcy po dokonaniu aktu dywersji między sto dwudziestym i sto sześćdziesiątym kilometrem nie poprzestaną na tym. Gdybyśmy wiedzieli gdzie i kiedy ponownie uderzą, przywitalibyśmy ich tam właśnie i w owym czasie. Ale nie wiemy.

Proponuję zaryzykować: zadać cios wprost w gniazdo, w polanę z kurhanem. Jeśli zwyciężymy

- wszystko w porządku. Jeśli zginiemy, będzie to dobre rozpoznanie walką. A zaatakujemy od razu jutro rano. Zgoda?

- Zgoda! - odpowiedzieli chórem Gala, Portos i Aramis. Gala odpowiedziała najgłośniej, głośniej nawet od Portosa, i muszkietierowie naraz umilkli, i w zakłopotaniu wbili w nią wzrok. Ubrudzona twarz dziewczyny płonęła, oczy miały zielone błyskawice, piąstki zacisnęła, aż jej kostki pobieleły. Już była nie w pracowni, nie z przyjaciółmi, już na rączym koniu mknęła przez złowrogą polanę wymachując zakrzywioną szablą i przebijała się przez szeregi zdradzieckich przestępców. Rozumie się, że słodkie złudzenia niezwłocznie i brutalnie zostały rozwiane. Muszkietrzy puścili w ruch wszystkie środki - logikę, szantaż, groźby, pochlebstwa, obietnice - i w końcu postawili na swoim. Postanowiono, że w trakcie jutrzejszej operacji Gala rozlokuje się w laboratorium Aramisa i będzie wypełniać odpowiedzialne zadanie - podtrzymywać bezpośrednią łączność z pełnomocnikami Rady światowej.

Gala jeszcze pochlipowała i rozmazywała po rumianych policzkach łzy i brud, a Portos i Atos łapali oddech i ocierali spocone twarze, gdy nagle Aramis zapytał:

- A gdzie się podziało zwierzątko Gali? Wszyscy w zaaferowaniu zaczęli się rozglądać.

- Jest tam! - krzyknął, zrywając się na nogi zdumiony Portos. Biały, puszysty kłębuszek zdecydowanie toczył się w kierunku windy.

- Stój! - ryknął Portos i pierwszy rzucił się w pogoń. - Stój, mówię!

Atos i Aramis pozostali w tyle najwyżej pięć metrów, ale dziwne zwierzątko już wpadło do przezroczystej kabiny przypominającej szklankę z kolorowego szkła, zręcznie, niczym mucha wbiegło po jej ścianie i nacisnęło łapką guzik. Gdy Portos dobiegł do windy, kabina już jechała w górę.

Kilka zaledwie minut później oszołomieni i wzburzeni przyjaciele wybiegli z domu Atosa na ulicę. I od razu zobaczyli: na ciemnobłękitnym, przedwieczornym niebie miarowo machając skrzydłami ulatywał w stronę Zielonej Doliny, w stronę głuchego lasu, w stronę polany z kurhanem wielki, biały ptak, trzymający w szponach puszysty kłębuszek. Oddalał się coraz bardziej, aż przemienił się w biały punkt i zniknął. Spojrzeli po sobie. Atos miał oczy jak ciemne szczeliny, twarz Aramisa skamieniała, Portos, zaciskając i rozprostowując wielkie pięści, hałaśliwie dyszał, Gali drżały usta.

- Jeszcze nie wiemy, co reprezentuje sobą przeciwnik - powoli przemówił Atos. - Ale możemy uznać, że wojnę nam wypowiedziano. I nosy wyżej! - zawołał. - Słuchać moich rozkazów! Gala, natychmiast idziesz do domu, doprowadzasz się do porządku i kładziesz spać. Żadnych sprzeciwów, to rozkaz! Jutro będziesz miała ciężki dzień, mogę ci obiecać... (Nawet nie podejrzewał, jak bardzo miał rację składając tę obietnicę). Portos, do łazienki, przebierz się i wracaj do mnie do gabinetu. My z Aramisem połączymy się tymczasem z Radą Światową...

Gdy zaczerwieniony, wyparzony i niezwykle czysty Portos w samych kąpielówkach wypadł z łazienki, jego przyjaciele pełzali po ogromnej mapie fotogrametrycznej, rozpostartej wprost na podłodze.

- No, stratedzy, jak się mają sprawy? - zapytał, sadowiąc się na pustynnym płaskowyżu na

zachód od osady. - Połączyliście się z Radą?

- Połączyliśmy - odpowiedział z roztargnieniem Atos.

- I co wam powiedzieli?

- Według mnie niezupełnie uwierzyli. Tego zresztą nawet należało oczekiwać. Ja na ich miejscu również bym nie uwierzył. Ale obiecali przedsięwziąć odpowiednie środki.

- Co obiecali?

- Przedsięwziąć środki.

- Aha... - odparł z głębokim namysłem Portos. - A jak tam Gala?

- Przed chwilą dzwoniła. Według mnie z łóżka. Ziewała tak, że ledwo mogła mówić.

- Umęczył się szkrabik - powiedział z czułością Portos. Atos odłożył cyrkiel, wyprostował się i popatrzył Portosowi w oczy.

- Słuchaj, sportowcu - zapytał zniższy głosem. - Jesteś w formie?

- Całkowicie.

- Naradziliśmy się tu z Aramisem i mamy pewien pomysł. (Portos kaszlnął i wyprostował się dumnie - pomysłami dzielono się z nim rzadko). Chodzi o to, że przeciwnik zna obecnie nasz plan porannego ataku. Według wszelkich reguł powinniśmy zaatakować natychmiast, dopóki się nie przygotował. Ale jeszcze nie jesteśmy uzbrojeni. Dopiero wybieramy się z Aramisem do Muzeum Historii Broni...

- A ja? - zapytał z urazą Portos.

- Dojdę i do ciebie, poczekaj. Wybierzemy z Aramisem, co tam mają najpotężniejszego, ale będziemy potrzebować czasu, żeby się przygotować, oswoić i tak dalej. Jednym słowem bierzemy na siebie sprawę uzbrojenia. Ciebie czeka zadanie nie mniej ważne, ale o wiele niebezpieczniejsze. Nie wiesz, kto w osadzie ma latającą łódkę z bezgłośnym napędem?

4.

Portos był pierwszorzędnym kierowcą wszelkich kołowych, gąsienicowych, latających i pływających środków transportu i lądowania na skraju polany dokonał w całkowitej ciszy. Noc, chociaż jasna, była bezksiężycowa, ale oczy Portosa już dawno przyzwyczyły się do ciemności i teraz wyraźnie rozróżniał nie opodal jasne pasmo szosy, a za nią, na tle gwiazdzonego nieba - czarną sylwetkę kurhanu z dębem i ruiną na szczycie. Odczekawszy kilka minut i upewniwszy się, że panuje spokój, Portos ześliznął się z łódki w wonną trawę i zupełnie bezszelestnie, tak, jak to jedynie on potrafił, popęzł ku szosie. Czołgał się lekko, bez najmniejszego wysiłku, przelewając się w trawie niczym rtęć, choć nie unosił głowy, nie zbacał z kierunku, wszystkie mięśnie pracowały zgodnie i zupełnie automatycznie. Robiło swoje bogate doświadczenie nieprzeliczonych treningów, setek zuchwałych psikusów, dziesiątków ważnych zawodów na ziemi i pod ziemią, na wodzie i pod wodą, w powietrzu i w kosmicznej przestrzeni. Portos był dobrym sportowcem; to mówi wszystko.

Dotarł do szosy i zatrzymał się. Do podnóża kurhanu pozostało z pięćdziesiąt - sześćdziesiąt kroków. Można by było, oczywiście, podpełznąć jeszcze bliżej, ale mogliby go zauważyć na jasnym betonie, a dojrzeć, czy też w ostateczności usłyszeć co się zdarzy, nietrudno i stąd. Portos rozluźnił się, rozpląszczył w trawie niczym ogromna żaba. Teraz pozostawało jedynie czekać. Powoli wlokły się minuty, wolno przesuwały się nad czarną koroną dębu gwiazdozbiory, powoli i rytmicznie biło serce. Od czasu do czasu nad polaną przelatywał podmuch ciepłego wiatru i wówczas głucho szumiało dębowe listowie i coś smutno skrzypiało - oczywiście nie zawiasy drzwi, bo przecież drzwi Portos zerwał i odrzucił na bok... Co za pech, zachciało mu się spać! Portos silnie zmrużył i znowu otworzył oczy. I w tejże samej chwili zaczęło się.

Początkowo rozległ się głuchy łoskot i lekko zadrżała ziemia. Puste jamy okien opuszczonego domu na szczycie kurhanu powoli rozjarzyły się upiornym liliowym światłem. Jakieś niewyraźne, ale nader koszmarnie cienie poruszyły się wewnątrz, rozległ się odgłos pospiesznych kroków, a później znajomy łopot potężnych skrzydeł. Portos sprężył się, zmieniając się cały we wzrok i słuch. Znow kroki - tym razem ciężkie, pewne siebie, i odgłos jakby astmatycznego, z poświstem, oddechu i blaszany zgrzyt... Liliowe światło w oknach ruiny powoli gasło. Coś dźwięcznie szcęknęło, jak gdyby zatrzaśnięto drzwiczki samochodu, i nagle u podnóża kurhanu zapłonęły trzy jasne reflektory. Okrutny, głuchy głos zawołał:

- Ka!

- Jestem, Dwugłowy - odparł drugi głos, wysoki i ostry.

- Wszystko zrozumiałeś, Ka?

- Wszystko zrozumiałem, Dwugłowy...

- Rubież wyjściowa - sto dwudziesty kilometr. Rubież zadania - osiemdziesiąty kilometr. Po wykonaniu natychmiast wrócić.

- Jasne, Dwugłowy.

- Ki!

- Jestem, Dwugłowy!... - ryknął basem trzeci głos.

- Ku!

- Na miejscu, Dwugłowy! - wychrypiał szeptem czwarty.

- Jaturkenzensirchiw!

- W twojej kieszeni, Dwugłowy! - cichutko zapiszczał piąty.

- Świetnie. Ka, wcześniej robi się jasno, postaraj się sprawić w ciągu trzech godzin. Nie zapomnij, że jutro rano czeka nas bitwa. Ja tymczasem zdobędę zakładnika. Naprzód!

Rozległo się niskie buczenie, jasne reflektory zakołysały się, ruszyły z miejsca i popęzły ku szosie. Portos dłużej nie czekał: teraz wiedział wszystko, co trzeba. Ledwo nieznaną pojazd z trzema reflektorami wydostał się na beton szosy, prawie się już nie kryjąc, popędził ku swej latającej łódce. Pół minuty później łódka z szaloną szybkością zaszurała brzuchem po szczytach sosen, a po dalszych trzech minutach Portos posadził ją w akacjowym gąszczu naprzeciwko słupka kilometrowego z cyfrą 120 i wyrwał z kieszeni radiotelefon.

Atos i Aramis wysłuchali go nie przerywając. Potem Atos wykrzyczał poprzez żelazny chrzęst i

ryk potężnych silników:

- A więc ich pojazd będzie na sto dwudziestym kilometrze za jakieś dziesięć - dwanaście minut?...

- Właśnie tak - powiedział markotnie Portos. - A was kiedy mogę się spodziewać?

- Robimy, co możemy! Idziemy na pełnej szybkości, trzęsie, że aż się zęby chwieją... Będziemy o świcie!

- Trochę późno.

- Uważaj no tam, sportowcu! Żadnych zbędnych ruchów! Pamiętaj, jesteś zwiadowcą... I nie zapominaj, że są gotowi walczyć!

- A nawet mają zamiar wziąć zakładnika... - dodał ledwie słyszalnie Aramis.

- Przy okazji, co to takiego zakładnik? - spytał Portos.

- Długo by wyjaśniać... No dobra, bądź ostrożny!

- Wyłączam się.

Portos wyłączył radiotelefon i wysiadł z łódki. Spojrzał w niebo. Na niebie spokojnie migotały jasne gwiazdy. Spojrzał w prawo. Na prawo złowrogo czerniał głuchy las. Spojrzał w lewo. Na lewo rozpościerała się ocalała połowa Zielonej Doliny: nieprzejrzana przestrzeń pokryta pogrążonymi we śnie ogrodami, wśród których przysiadły pogrążone we śnie sioła bielejące niewyraźnie ścianami przytulnych domów, wiły się rzeki i strumienie odbijające w swych wodach gwiazdziste niebiosa, leżały łąki, po których sennie brodziły wypuszczone na noc konie. Gdzieś leniwie szczekał pies. Sennie popiskiwały ptaki. Słysząc było śpiew - czy to ktoś nie wyłączył radia, czy to rozśpiewały się wracające z klubu dziewczęta. I niestrudzenie dzwoniła woda w niewidocznym strumyku gdzieś nie opodal.

Wszystko tchnęło takim spokojem, takim poczuciem bezpieczeństwa. I nad wszystkim tym zawisła straszliwa groźba, a przyjaciele znajdowali się jeszcze daleko. Był sam i nic nie mógł zrobić. Po raz pierwszy w życiu Portos poczuł psychiczny ból. Ból był tak ostry, że zaparło mu dech, i w przestachu i zdumieniu schwyił się obiema dłońmi za pierś. I wówczas, jak gdyby przez ów ból zbudzone, drgnęło mu w pamięci niewyraźne wspomnienie o czymś wielkim i jasnym... coś z dawnych kronik, które na w pół niezrozumiałym językiem opowiadały o groźnych zdarzeniach i zadziwiających ludziach. Potem Portos przypomniał sobie i ból znikł. Powrócił do łódki, powiercił się sadowiąc wygodniej i rozejrzał się. Stąd świetnie wszystko było widać. Poruszył drążek sterowniczy i łódka posłusznie uniosła do góry ostry dziób.

- Gotów - powiedział głośno Portos.

Jak gdyby w odpowiedzi na jego słowa gdzieś w głębi lasu rozległo się niskie buczenie. Zamarł zasłuchany, a buczenie przybliżało się i oto już światło potężnych reflektorów opromieniło szczyty drzew, mignęło między pniami i pobiegło po szarych płytach betonowej nawierzchni. Kiedy w świetle tym zaśniła emaliowana tabliczka z cyfrą 120, pojazd kosmicznych przestępców zatrzymał się - masywna, garbata sylwetka, ledwo zauważalna w mroku. Rozległo się dźwięczne pstryknięcie, wysokie, monotonne buczenie. Po obu stronach reflektorów, niczym wodne „wąsy” polewaczki pojawiły się pasma dziwnego, liliowego światła. Rozciągały się w obie strony coraz dalej i dalej, aż

sięgnęły horyzontu, i Portosowi wydało się, że owe świecące pasmo rozdzieliło na pół cały świat: po jednej stronie był kilometrowy słupek z cyfrą 120, Zielona Dolina, przyjaciele, a po drugiej - on sam ze swoją łódką, pojazd kosmicznych łotrów i głuchy, czarny w nocnym mroku las.

Uniósł się, żeby lepiej widzieć. Nigdy nie był tchórzem, ale poczuł, że drgnęły mu włosy na głowie.

Masywna, garbata sylwetka zarazem poruszała się i... tkwiła w miejscu. Czerniała nieruchomo na jasnym pasie szosy, ale Zielona Dolina wpełzała pod nią niknąc pod reflektorami, pod świecąca liliową pręgą ciągnącą się od horyzontu po horyzont. Pojazd przestępców pożerał Zieloną Dolinę. Jako pierwszy przepadł słupek kilometrowy - cienkim, białym widmem wpłynął w liliową mgłę i zniknął, jak gdyby nigdy go nie było. Jeden po drugim gasły nocne dźwięki. Umilkł śpiew bliskiego strumyka. Gwałtownie, jak ucięte, ucichło szczekanie psa. W pół słowa urwała się daleka piosenka... I tylko niegłośno, złowieszczo, miarowo, buczała niesamowita machina na drodze.

Portos doszedł do siebie. Znowu usiadł w fotelu i spokojnym, wręcz leniwym ruchem ręki spoczywającej na drążku uniósł łódkę na wysokość trzydziestu metrów. Potem opuścił dziób łódki mierząc z góry w czarną, garbatą masę i do oporu nacisnął pedał gazu.

Było to straszliwe uderzenie. Nastąpił oślepiający wybuch. Niesamowita siła wyrwała Portosa z fotela, zmięła go i rzuciła w mrok. Coś trzeszczało, zgrzytało, rwało się, ale on nie miał ciała i nie miał siły unieść powiek.

- Uhu-u-u-u! Uhu-u-u-u! Uhu-u-u-u! - zawodził wielki, biały ptak, łopocząc potężnymi skrzydłami.

- Przeklęta czerwona krew! - lamentował ktoś wysokim, ostrym głosem. - Rozbili kontraktor!

- Zapłacą za to! - ryczał ktoś niskim basem.

- Napadli na nas! - sapał ktoś astmatycznie. - Szybko wycofać się! Szybko na „Piranię”!

Portosowi udało się mimo wszystko otworzyć na sekundę oczy i zdążył zobaczyć wysoko nad sobą poczwarny, skrzydlaty cień przesłaniający gwiazdy. Potem powieki znowu opadły.

Już nie widział, jak zza niewidzialnej linii popęzła na powrót Zielona Dolina. Rozbita machina kosmicznych przestępców zwracała łup. Jeden za drugim pojawiały się przerwane dźwięki. Z pół słowa popłynęła urwana piosenka. Leniwie zaszczekał pies. Zaśpiewał bliski strumyk. W końcu wynurzył się z pustki również kilometrowy słupek z cyfrą 120 i wszystko znowu było takie samo jak kwadrans wcześniej. Tylko pośrodku szosy dymiła sterta poskręcane żelastwa, a na poboczu, z rozrzuconymi ramionami, wystawiając na światło gwiazd bezkrwistą twarz, leżał martwy Portos.

5.

Ze zgrzytem i szczękaniem sunął szosą ogromny czołg, ostatnie słowo ziemskiej techniki niszczycielskiej. Owo słowo zostało wprawdzie wypowiedziane trzysta lat wcześniej, ale na szczęście spóźniło się i ludziom się już nie przydało, i całe te trzysta lat czołg przestał w jednej z sal Muzeum Historii Broni. Tam go znaleźli Atos i Aramis, zdolny mistrz i zdolny uczonek szybko

zapoznali się z nim, doprowadzili do porządku, uzbroili i wyprowadzili do pierwszej bitwy. Łoskotały gąsienice, miarowo i potężnie ryczały silniki, groźnie obracała się na lewo i prawo przysadzista wieżyczka i niczym igły jeżozwierza sterczały na wszystkie strony wyrzutnie rakiet. A po bokach szosy uciekał do tyłu zasnuty błękitną poranną mgłą głuchy las i do tyłu pełzły kilometrowe słupki: 161... 162... 163...

Czołg prowadził Atos. Aramis siedział przy celowniku działa i obracał się razem z wieżyczką, a przy przegrodzie rufowej leżało zawinięte w szary brezent ciało Portosa. Od pierwszego spojrzenia przyjaciele zrozumieli, co zdarzyło się na sto dwudziestym kilometrze, ale mimo to Atos zduszonym głosem zapytał: Taranem? - Taranem - odpowiedział cicho Aramis. Łódka uderzyła dziobem w przedział roboczy nikczemnego aparatu i zniszczyła go całkowicie, ale przestępcy ocaleli i ukryli się. Trzeba było ich teraz dogonić i ukarać, a może nawet nie tyle ukarać, ile unieszkodliwić, wyrwać draniom raz na zawsze kły! Być może nam się to nie uda, myślał Atos, być może rozgniotą czołg jak muchę, ale spróbować trzeba koniecznie. Prowadzimy rozpoznanie walką, a za naszymi plecami już się mobilizują siły, o których nawet nie mamy pojęcia, i przyjdzie kryśka na kosmicznych złodziei, bandytów, morderców... Gala pewnie jeszcze śpi myślał Aramis. Przed wyjściem wpadliśmy pożegnać się (Portos wówczas jeszcze żył), ale ona spała jak suseł, z głową wsuniętą pod poduszkę, wystawiając spod prześcieradła gołe nogi. Biedna dziewczyna, będzie straszna rozpacz, dużo łez, tak kochała sportowca; myśmy go również kochali, ale nam jest lżej, my będziemy walczyć...

- Uważaj! - krzyknął Atos i z łoskotem zatrasnął pokrywę szczeliny obserwacyjnej.

Las dookoła eksplodował. W mgnieniu oka czołg znalazł się w rozhulanym morzu purpurowo-pomarańczowych płomieni. Drzewa po obu stronach szosy zamieniły się w słupy ryczącego ognia. Ale czołg nawet nie zwolnił. Spowity chmurami czarnego dymu, osypywany fontannami pomarańczowych iskier, zmiatając padające w poprzek szosy płonące pnie, parł niewzruszenie do przodu. Wynurzyła się z dymu i znikła na powrót emaliowana tabliczka z cyfrą 164. Naprzód! Naprzód!

- Kąsaj, gadzino! - ryczał Atos. - Kąsaj, dopóki masz zęby! Ale położenie z każdą minutą pogarszało się. Przyjaciołom nie przyszło do głowy zaopatrzyć się w zapas tlenu i w czołgu robiło się duszno. Nieznośny żar powoli, ale uparcie przenikał przez termoizolację. Oczy bolały od tańca ognistych języków, a filtrów świetlnych nie było... I oto jakieś dwadzieścia metrów przed nimi z rozdzierającym trzaskiem pękła ziemia. Szosa rozpadła się. Szczelina szybko się powiększała i w powstałą przepaść poleciały płonące drzewa i kamienie. Atos ledwo zdążył wyhamować.

- Brawo - rozległ się w słuchawkach hełmofonu cichy głos.

Atos rozciągnął w uśmiechu spieczone wargi. Pochwały Aramisa miały wysoką cenę. Przyłgnął do peryskopu. Po ich stronie przepaści szalały płomienie. Po drugiej las stał cały i nietknięty. Jeszcze kilometr, nie więcej. Głupstwo... Uważnie, tak jak to zawsze robił mając do czynienia z mało znanymi mechanizmami, pchnął do oporu drążek w prawo, a później od siebie. Rozległ się przenikliwy gwizd. Strzępy płonącej trawy i tłące się gałęzie zdmuchnięte pędem powietrza wleciały ponad gorejące wierzchołki drzew. Czołg wzniósł się na powietrznej poduszce, zamarł na

sekundę jakby zbierając siły, a potem powoli i płynnie przesunął się nad przepaścią i ze zgrzytaniem gąsienic stanął miękko na szosie po drugiej stronie szczeliny.

- Kąsaj, gadzino!... - zawołał Atos i ruszył całą naprzód. Wysunął czołg na polanę akurat na tyle, aby dać Aramisowi możliwość wymierzenia działa w kurhan. Wstawał świt. Różowe promienie niewidocznego słońca oświetliły wierzchołki drzew, ale polana pozostawała na razie w cieniu i nad trawą wisiały gęste i puszyste niczym wata strzępy mgły. Wokół panowała cisza i nie można było dostrzec żadnych znaków życia.

- Strzel ostrzegawczym - powiedział Atos przez zęby. Długa, cienka lufa działa drgnęła i uniosła się nieco. Gruchnął i odbił się echem wystrzał, i zaraz na lewo od korony dębu nastąpiła eksplozja. Dąb wyłysiał, nad polanę wytrysnęła chmura zerwanego przez falę uderzeniową listowia, a kłęby czarno-czerwonego dymu zasnuły gołe gałęzie.

- Dobrze - powiedział Atos. - Teraz jeszcze raz - niżej. Celuj prosto w ruinę... A to co za lichy! - wyrwało mu się. Oderwał się od peryskopu, przetarł sforsowane widokiem płomieni oczy i ponownie przylgnął do okularu.

Ale to nie było złudzenie optyczne. Szczyt kurhanu rzeczywiście obracał się wokół własnej osi. Ruch, początkowo ledwie zauważalny, stawał się coraz szybszy i oto już pomiędzy wierzchołkiem a podnóżem powstała równa, ciemna szczelina. Jeszcze jeden obrót, jeszcze jeden - i wierzchołek razem z dębem i zmurszałą chatą odchylił się na bok niczym pokrywka gigantycznego kałamarza. Zatrzeszczały łamiąc się grube konary dębu, poleciały na wszystkie strony spróchniałe belki i deski rozsypującego się w locie domu. A z wnętrza kurhanu wypłynęło niespiesznie i zawisło w powietrzu ogromne, szaroczarne jajo - niespotykany kosmiczny statek nieznanego świata.

W czołgu muszkietierowie doszli do siebie po pierwszym zdumieniu.

- Drugi ostrzegawczy! - rozkazał Atos.

Działo zagrzmiało po raz drugi i pocisk eksplodował tuż ponad dziobem statku kosmicznego. Ogromne czarne jajo zakołysało się i zatańczyło w miejscu niczym na niewidzialnych sprężynach, aż nagle ryknęło silnikami i zaczęło się wznosić.

- Ale bezczelny - wycedził przez zęby Atos. - Aramis, celuj w rufę! Trzy pociski szybkim - ognia!

Lecz do następnych strzałów nie doszło. Rycząc silnikami czarny statek kosmiczny dalej nabierał wysokości, a w jego części dziobowej otworzył się właz. Z włazu wysunęła się długa, giętka tyczka na której końcu dyndała kołysząc się mała ludzka figurka.

- Gala... - mruknął oszołomiony Aramis.

- Gala! - krzyknął z przerażeniem Atos.

Nie wierzyli własnym oczom, ale to była Gala, ich Gala, „sałaciana główka”, szkrab, krewniaczka, w podomce w kwiatki, ze związanymi rękami i nogami, bezradna i nieosiągalna. Wiatr bezlitośnie kręcił nią i kołysał, przyciskał do twarzy potargane włosy przeszkadzając patrzeć, ale mimo wszystko dostrzegła ich czołg, i rwącym się głosikiem zakrzyczała cieniutko:

- Czemu się gapiecie? Atos! Portos! Aramis! Strzelajcie! Bijcie ich! Bijcie!

Wysunięci z włazów, oniemieli z żalu i przerażenia patrzyli jak czarny statek kosmiczny wznosi

się coraz wyżej i wyżej, zamienia w czarną plamkę i na koniec rozplywa w różowym porannym niebie...

Atos wciąż stał w swoim włązie bezmyślnie wpatrując się w różową pustkę nad głową, gdy silna dłoń boleśnie ścisnęła mu ramię.

- Oprzytomniej - powiedział twardo Aramis. - Trzeba działać.

- Ale w jaki sposób ona...

- To później. A teraz na kosmodrom, szybko!

Skryli się we włączach i zatrzasnęli nad sobą ciężkie pokrywy. Z głośnym zgrzytaniem wysunęły się spod płyt pancerza skrzydła. Jeszcze sekunda i samolot odrzutowy z krótkim kadłubem i odchylonymi do tyłu skrzydłami wzleciał ponad dymiące po pożarze wierzchołki drzew. Na szosie pozostało jak pusta skorupa podwozie z gąsienicami i zwieńczony przysadzistą wieżyczką pancerny kadłub. I został Portos...

6.

A wszystko odbyło się tak. W środku nocy zbudził Galę jakiś skrzypiący, zacinający się głos śpiewający dziwną piosenkę:

Ciociu, ciociu Elż-bie-to!

Bardzo kocham cię za to, i za to, i za owo...

i w ogóle to wszyst-ko!

Początkowo wydało się jej, że śni, ale natychmiast zorientowała się, że leży z otwartymi oczami. Wówczas usiadła i spuściła nogi z łóżka. Skrzypiący głos starannie wymawiając słowa śpiewał dalej:

Słowik, słowik, pta-szyn-ka,

kruszyn-ka

kwili żałośnie!

Nic nie pojmując rozejrzała się po pokoju i zdziwiła się. Świetnie pamiętała, że wyłączyła telewizor, ale oto, popatrzcie no tylko, ekran jaśniał, a na nim z komiczną dumą i bardzo niezgrabnie tańczyła zabawna kaczuśzka-kreskówka. Tańczyła przestawiając w takt muzyki szczudłowate łapki i wymachując chudymi skrzydełkami, i Gala mimo całego zdumienia roześmiała się. Wsunęła stopy w kaptcie, podbiegła do telewizora i namacała pokrętła. Tak, telewizor był wyłączony. Ale nie zdążyła już o tym pomyśleć... Przez obraz na ekranie wtargnęły do pokoju wielkie ręce w czarnych rękawiczkach. Gala nie tylko pomyśleć - nawet pisać nie zdołała: ręce zwinnie schwyciły ją za ramiona i pociągnęły w stronę ekranu.

- Ratunku! - krzyknęła z rozpaczą. - Mamo! Portosie! Ekran był tuż obok. Skuliła się cała, myśląc, że uderzy głową w szkło, ale nic podobnego nie nastąpiło, przeciągnięto ją przez ekran w lodowatą ciemność, ciśnięto na coś gładkiego i oślizgłego, i głuchy, okrutny głos oznajmił:

- Zrobione.

Rozległy się ciężkie, oddalające się kroki, coś szcęknięto metalicznie i Gala zrozumiała, że została sama.

Wprawdzie wszystko to odbyło się nagle, ale Gala miała umysł jasny i rzeczowy i szybko zorientowała się, że jest w niewoli u kosmicznych przestępców. Jak jej było wiadomo z książek, niewola to najgorsza rzecz, jaka się może przytrafić żołnierzowi na wojnie. Ludzie dostawali się do niewoli, gdy byli unieruchomieni przez rany lub kontuzje albo nieprzytomni. Do niewoli szli tacy, którzy wpadli w skrajną rozpacz albo stracili wiarę w siebie. Do niewoli trafiali zaskoczeni znienacka i bez broni. Gali nigdy nie zdarzyło się czytać, żeby brano kogoś w niewolę przez ekran telewizora, ale w końcu czasy się zmieniają. Jednego była pewna: w niewoli należy zachowywać się z godnością i nieugięciem.

Zbadała swoje więzienie. Pomieszczenie było dziwne, podobne do pudełka od zapalek - dosyć długie i bardzo wąskie. Ściany i podłogę, wykonane z gładkiego materiału, pokrywała wstrętna wilgoć, do sufitu Gala nie sięgała. Szybko zrobiło się jej zimno, potem zimno nie do wytrzymania. Skuliła się w kłębek otulając swoim szlafrocikiem i szcękając zębami, i myślała, że oto wkrótce zjawią się przyjaciele, sprawią lanie przestępcom i oswobodzą ją. Ale pomyślawszy to, nie wiadomo dlaczego zapłakała. I tak we łzach zasnęła wprost na oślizgłej podłodze, a zbudziła się, ponieważ czyjeś ręce bezceremonialnie podniosły ją i raz-dwa związały. Próbowała stawiać opór, ale ręce były o wiele silniejsze, a w dodatku wokół dalej panowała kompletna ciemność i było jej straszno.

Nagle podniesiono ją i poniesiono, a potem nieoczekiwanie wysunięto przez jakąś okrągłą dziurę. Zawisała wysoko nad ziemią. Zobaczyła w oddali płonący las, pod sobą znajomą polanę z jasną wstążką szosy, a na szosie maleńki niczym zabawka czołg z uniesioną lufą. Zrozumiała, że przyjaciele zwyciężyli i przegnali kosmicznych łotrów, ale ci uciekając porwali ją ze sobą, więc dzielnie zakrzyczyła do swoich muszkieterów, żeby strzelali bez wahania. Ale oni i tak ani razu nie wystrzelili, ziemia zapadała się coraz głębiej, lodowaty wichur palił ciało pod podomką i kiedy nad horyzontem weszło krwawe słońce, dziewczyna straciła przytomność.

Ocknąwszy się, Gala odkryła, że leży z twarzą w brudnym, śmierdzącym dywanie. Trzeba natychmiast wstać, pomyślała, ale trochę jeszcze poleżała wsłuchując się w siebie. Odczucia były nienadzwyczajne. Całe ciało bolało jak obite, w uszach dzwoniło, głowę miała jakby wypchaną watą. Przy trzeciej czy czwartej próbie dziewczynie udało się przyjąć pozycję siedzącą. Początkowo wszystko przed nią rozplywało się jak we mgle, jednak mgła stopniowo znikła i Gala zatrzymała spojrzenie na białym sześcianie stojącym przy ścianie naprzeciwko.

- Aha! - powiedziała na głos. - To pewnie lodówka. Bardzo ostrożnie, żeby się nie zakręciło w głowie, obejrzała pomieszczenie. Był to sześciokątny pokój z okrągłymi ślepyimi oknami w każdej ścianie, z sufitem wymalowanym w czerwono-zieloną szachownicę, z niskim owalnym stołem pośrodku. Za stołem stał fotel z mocno poszarpanym obiciem i nieproporcjonalnie szerokim oparciem. Pomieszczenie rozświetlał martwy, zielonkawy blask. Bardzo dziwny pokój, pomyślała Gala. Gdzie ja jestem, jak się tu dostałam?

W tym momencie wszystko sobie przypomniała, a przypomniawszy, pospiesznie wstała.

- Oprzytomniałaś? - spytał za jej plecami głuchy, okrutny głos. - Bo już się bałem, że kipniesz.

Gala odwróciła się tak gwałtownie, że o mało nie straciła równowagi. Odwróciła się i natychmiast cofnęła.

Stał przed nią ogromny, pewnie dwukrotnie przewyższający ją człowiek, cały, od pięt po szyję ubrany na czarno. Po szyję... Nie po szyję, lecz po dwie szyje, bo nad jego szerokaśnymi ramionami tkwiły dwie głowy. Przez chwilę Gala miała wrażenie, że dwoi się jej w oczach. Potrząsnęła głową, zmrużyła oczy i spojrzała znowu. Istotnie, głowy były dwie, obie wygolone na zero, uszate, wydłużone, tyle że prawa z czarną przepaską na prawym oku paliła papierosa i patrzyła jedynym okiem gdzieś w bok, a lewa zimno i beznamiętnie przyglądała się Gali.

- Nie zdążyliśmy się zaznajomić - głuchym, okrutnym głosem rzekła lewa głowa. - Nie było jak. A to ty leżałaś nieprzytomna, a to ja musiałem walczyć z twoimi rodakami... A więc jestem Dwugłowy Jul, słynny wolny pirat.

Stał rozstawiając długie, chude nogi, z przyzwyczajenia trzymając na zwisających u bioder kaburach pistoletów wielkie ręce w czarnych rękawiczkach, te same ręce, które tak zwinnie wykradły Galę przez ekran telewizora. Dziewczyna ze wzdrgnięciem zmierzyła go wzrokiem od obu głów po pięty (aż zachręściły jej przy tym kręgi szyjne) i powiedziała:

- Świnia jesteś, a nie pirat. Przestraszyłeś się otwartej walki i schowałeś za słabą dziewczynę... Ładnie to tak?

Prawa głowa wypluła wprost na dywan niedopałek papierosa i niegłęboko zaśmiała się.

- Dziewczyna z honorem - stwierdziła ochryple. - Boi się, ale nie poddaje...

- Skąd ci przyszło do głowy, że się przestraszyłem? - zaprotestowała lewa głowa. - Bzdura! Ja się nigdy nie boję. Niech się boją inni. Po prostu wszelkimi dostępnymi środkami broniłem siebie i okrętu. I miej na uwadze, że w przyszłości też tak będę postępować.

- Natychmiast odwieź mnie z powrotem na Ziemię! - wypaliła Gala.

Dwugłowy Jul wyciągnął ku ścianie długą rękę i nacisnął niepozorny guzik. Okrągłe okno-iluminator pod guzikiem zrobiło się przezroczyste.

- Popatrz tutaj, głupia - powiedziała lewa głowa.

Gala podeszła do iluminatora i popatrzyła. Zielona tarcza Ziemi, zamglona plamami chmur, zmniejszała się w oczach, zapadała w czarną przepaść usianą jasnymi, nieruchomymi gwiazdami. Palec Dwugłowego ponownie nacisnął guzik i iluminator na powrót zgasł.

- Zapomnij o swojej Ziemi - pouczająco i okrutnie rzekła lewa głowa. - Ziemi już więcej nie zobaczysz!

- Nieprawda! - krzyknęła Gala walcząc z napływającymi do oczu łzami. - Nieprawda! Nieprawda! Będą mnie szukać i znajdą! A ciebie powieszają, za obie szyje!

Prawa głowa zaśmiała się ochryple, ale tym razem nie powiedziała ani słowa. Widać nie była tak rozmowna jak lewa.

- Ziemi już więcej nie zobaczysz - powtórzyła lewa głowa. - Przecież nie będę dla ciebie leciał znowu w taką dal... Ale nie martw się. Zobaczysz takie światy, że zapomnisz o swojej nędznej planetce. Postanowiłem zatrzymać cię przy sobie, będziesz mnie zabawiać. Będę cię rozpieszczęcać,

będziemy się bawić. Na przykład przywiążę do sznurka duży brylant, a ty go będziesz łapała. Będzie bardzo wesoło...

- Bzdury! - krzyknęła z oburzeniem Gala. - Natychmiast odwieź mnie z powrotem do domu, słyszysz?

- Nie buntuj się, smarkulo! - powiedziała surowo lewa głowa. - Bo ci spuszczę łanie!

Zapanowało milczenie i nagle gdzieś pod sufitem odezwał się wysoki, ostry głos:

- Uwaga, Dwugłowy! Seans łączności z Wielkim! Wielki Ośmionóg wzywa Dwugłowego Jula!

- Zaczyna się... - powiedział z rozdrażnieniem Dwugłowy, przeszedł nad Galą i ruszył w kierunku fotela. - Dawaj! - ryknął.

Rozległo się skrzypienie, szuranie, wysoki, wibrujący gwizd, po czym pod sufitem zazgrzytało:

- Wielki słucha cię. Melduj, Dwugłowy!

- Melduję - zaczął okrutnym, głuchym głosem Dwugłowy Jul, sadowiac się w fotelu. - Dwie godziny temu zostałem zaatakowany przez tubylców, wystartowałem i wszedłem na kurs powrotny. W chwili obecnej mam w ładowni piętnaście wypełnionych kontenerów. Wzięto około ośmiu tysięcy kilometrów kwadratowych terenu z dobrą zawartością tlenu, wody, chlorofilu i krwi. Ilość odpowiadających warunkom technicznym głów szacuję na tysiąc.

- Tysiąc to nieźle - oznajmił donośnie niski, tłusty głos i Gali wydało się, że słyszy plusk jakiejś cieczy. - Niegorszy połów, Dwugłowy. A ile zostało pustych kontenerów?

- Dziesięć, Wielki.

- A więc dlaczego pośpieszyłeś się ze startem? Dwugłowy milczał. Jego prawa fizjonomia straszliwie się skrzywiła.

- A może się przestraszyłeś? - zapytał tłusty głos.

- Cha-cha-cha! - ktoś zaniósł się zgrzytliwym śmiechem. - Dwugłowy się przestraszył! Powiedziałeś świetny dowcip, Wielki! Masz dziś dobry dzień! Cha-cha-cha...

- Nasza dewiza w tym rejsie to napaść, pochwycić i zniknąć bez śladu - rzekł surowo Dwugłowy Jul. - Nikt w tym sektorze Galaktyki nie powinien wiedzieć, kim ani skąd jesteśmy. To twój własny rozkaz, Wielki. Zostać i kontynuować bitwę nie miało sensu...

- Dlaczego?

- Tubylcom udało się wytropić w terenie i zniszczyć kontraktor. Ale jeśli rozkażesz, wrócę, będę walczył i zamienię w popiół tę zuchwałą planetę...

- Nie musisz walczyć ani zamieniać w popiół - przerwał mu tłusty głos. - Wartość kontraktora zostanie potrącona z twojego honorarium. Kontynuuj lot kursem powrotnym. Jesteś pewien, że nikt cię nie ściga?

- Na razie nikt.

- Jeżeli zauważysz pościg, atakuj i zniszcz torpedami atomowymi. Następny seans według rozkładu „ekstra”. Bądź zdrow, Dwugłowy.

- Bądź zdrow, Wielki...

Znów rozległ się wibrujący gwizd i wszystko ucichło.

- Jak ci się to podoba? - zwróciła się lewa głowa do Gali. - Wartość kontraktora zostanie

potrącona z mojego honorarium... Ależ chciwy dziadyga!

- Po co do nas przyleciałeś? - spytała Gala. - Czego od nas chciałeś? Po co ci nasze ogrody?

- Ogrody? - zdziwił się Dwugłowy. - Mnie? Na co mi wasze ogrody? Przyleciałem po głowy, jasne? A ogrody są potrzebne tym głowom, inaczej nie będą mogły pracować. Ogrody, rzeki, powietrze... Chlorofil, woda, tlen... Tfu, nawet na samą myśl bierze mnie obrzydzenie!...

- Głowy... - Gala patrzyła na niego z przerażeniem. - A po co ci nasze głowy?

- Nie mnie... A w ogóle to długa historia i nie na twój rozum. Głupia jesteś, nie zrozumiesz. Poza tym to tajemnica. Sekret. Tak więc lepiej...

Przenikliwe wycie syreny przerwało mu w pół słowa. Pomieszczenie rozbłysło migotliwym purpurowym światłem. Dwugłowy spojrzął z irytacją na sufit i niechętnie wstał.

- No masz - mruknął marszcząc obie twarze. - Alarm bojowy. Pewno pościg... - Ziewnął dwiema uzębionymi paszczkami i przeciągnął się, aż chrupnęły stawy. - Wiecznie to samo. Mam już dosyć... Pójdę do kabiny bojowej, a ty siedź tutaj, jasne? Jak zachcesz jeść, poszperaj w lodówce... No dobra, idę.

Kopniakiem otworzył w najbliższej ścianie niziutkie drzwi pod iluminatorem, zgięty wpół wszedł w nie i znikł. Słaniając się, Gala obeszła dookoła stół i opadła na fotel. Nogi już nie chciały jej słuchać.

7.

Zbudził Galę okrutny, głuchy ryk. Dwugłowy stał pośrodku mesy i wielką, szarą chustką do nosa ocierał obie spocone fizjonomie naraz.

- Masz tobie! - oznajmił chowając chustkę gdzieś za plecami. - Starliśmy się, jak to mówią. Siadł nam, widzisz na ogonie jakiś zuchwalec i nie odczepia się. Wpakowałem w niego ostatnie pięć terped i jak myślisz? Wszystkie co do jednej rozstrzelał w locie z działa laserowego, i to jak zręcznie! Nie, czuje moje serce, że jeszcze będziemy mieli z nimi do czynienia. Wielki się nie ucieszy... No, wynocha z mojego fotela, dziewczyno! - ryknął.

Gala zeszła z fotela i oparła się o ścianę. Dwugłowy usiadł na jej miejscu, położył nogi na stół i ryknął:

- Ku!

Drzwi lodówki otwały się i z wnętrza wyskoczył kosmaty małpison, spowity obłoczkami pary.

- Jestem, Dwugłowy! - wyświszczał astmatycznym szeptem. Gala nie zdziwiła się, ani nie przestraszyła. Znużyła się już zdumieniami i przestraczem.

- Polecam - rzekła lewa głowa Dwugłowego Jula. - Mój kwatermistrz. Specjalnymi talentami nie błyszczy, tchórz, szuler i w dodatku jest zmuszony żyć przez większość czasu w lodówce ze strachu przed stęchnięciem. Ale w najwyższym stopniu usłużny. Nieprawdaż, Ku?

Małpison zachichotał i zasłonił czarnymi dłońmi najpierw oczy, potem usta, potem uszy na

modłę trzech wschodnich małpek.

- Ładna historia! - nachmurzyła się lewa głowa. - Obłowiłem się, widzisz, na Ziemi... To ci dopiero planetka... Przyrządź mi solidną porcję rtęciowego koktajlu... i daj dziewczynce coś do zjedzenia i wypicia. Coś ziemskiego, bydlaku, nie pomył się!

Ku zanurkował na powrót do lodówki, wyciągnął z niej pęto zamrożonej na kamień kiełbasy, bochenek zamrożonego na kamień chleba i butelkę mlecznego lodu. Pozostawiwszy to wszystko na stole znowu dał nura do lodówki i zakrzętnął się tam bulgocąc czymś, coś przelewając, nad czymś chichocząc.

- Jedz - powiedział wielkodusznie Dwugłowy wskazując oblodzone delikatesy. - Zaczynaj, nie krępuj się. Mam tego dobra w bród!

Gala zbliżyła się do stołu i ostrożnie postukała paznokciem w kiełbasę. Kiełbasa delikatnie zadzwoniła.

- Na razie nie jestem głodna - powiedziała mężnie Gala, łykając ślinę. Niech to na razie poleży. Zjem później...

- Jak chcesz - zgodził się wielkodusznie Dwugłowy. - Ja, muszę się przyznać, już coś wrzuciłem na ruszta w kajucie bojowej... Dwa kilo pirytu zjadłem. W czasie walki zawsze mi rośnie apetyt... Ku! - ryknął.

- Jestem, Dwugłowy! - odpowiedział pospiesznie małpizson. - Wszystko gotowe, Dwugłowy!

Wyskoczył z lodówki, z wysiłkiem niosąc przed sobą w wyciągniętych łapach głęboką metalową kuwetę napełnioną ciężką, lśniąca ciecżą.

- Uwielbiam piryty! - ciągnął Dwugłowy odbierając kuwetę jedną ręką. - Jeśli piryty dobrze rozkruszyć i przepuścić przez parę jodu... - Pociągnął z kuwety najpierw lewą, potem prawą paszczką i przewrócił trojgiem oczu. - M-m-m... niezłe. Można by ciut więcej chlorowanego wapna...

Od kuwety tak strasznie zalatywało chemią, że Gali napłynęły do oczu łzy i dziewczyna pospiesznie cofnęła się pod ścianę.

- Uwaga Dwugłowy! - rozległ się pod sufitem wysoki, ostry głos. - Udało się nagrać fragment rozmowy radiowej ścigającego okrętu z jakimś dowódcą eskadry. Życzysz sobie posłuchać?

- No, no! - ożywił się Dwugłowy. Postawił kuwetę i zdjął ze stołu nogi. - Dawaj!

Rozległ się szelest, niewyraźne mamrotanie, po czym głos, na którego dźwięk serce Gali zabiło jak szalone, rzeczowo oznajmił:

- Dowódco eskadry, melduje się „Strzegący”. Uwaga, dowódco eskadry, melduje się „Strzegący”!

- Dowódca eskadry słucha - odezwał się ktoś nieznajomy. - Melduj, „Strzegący”! Dowódca eskadry słucha...

- Melduję. Siedemdziesiąt trzy minuty temu zostałem wykryty i zaatakowany przy pomocy atomowych torped. Atak skutecznie odparto. Poza tym sytuacja bez zmian. Znajduję się w stałej gotowości do kontynuowania pościgu w podprzestrzeń. Proszę o przedstawienie waszej sytuacji...

- Uwaga „Strzegący”. Dowódca eskadry przedstawia sytuację. Trzecia eskadra idzie waszym

namiarem ze stałym przyspieszeniem trzydzieści metrów na sekundę na sekundę. W chwili obecnej prędkość wynosi około pięciu tysięcy kilometrów na sekundę. Odległość do was około dwudziestu tysięcy kilometrów. Uwaga „Strzegący”! Informacja z Ziemi. Właśnie w ślad za nami wystartowała ósma eskadra kosmiczna. Wspólny rozkaz: odkryć gniazdo kosmicznych piratów...

Głos urwał się. Pozostało jedynie syczenie i potrzaskiwania. Dwugłowy odczekał chwilę i zapytał:

- No i?

- Koniec - odparł wysoki, ostry głos.

- A dalej?

- To wszystko. Niczego więcej nie udało się przechwycić.

- No i masz - rzekł rozczarowany Dwugłowy. - W najciekawszym miejscu...

A Gala nic prawie nie słyszała. W jej uszach wciąż jeszcze dźwięczał głos Atosa. Atos ściga dwugłowego pirata. Atos odpiera torpedowe ataki. Atos pędzi na ratunek! Z zachwytu o mało nie zatańczyła i nawet po cichutku zawołała:

- Do mnie, maj muszkietierowie!

- Tobie co? - zapytała podejrzliwie lewa głowa, ale na szczęście niewidzialny radiooperator, wciąż jeszcze trzeszczący i posykujący gdzieś pod sufitem, wziął pytanie do siebie.

- Za minutę łączność według rozkładu „ekstra”, Dwugłowy - odezwał się z szacunkiem.

Dwugłowy z rezygnacją machnął ręką.

- Dawaj tę „ekstra” - burknęła lewa głowa. - Jak wisieć, to za obie nogi. Stary chyba pęknie!

- A kim on jest? - zapytała Gala. Na powrót podeszła do stołu i, odwracając twarz od kuwety z ręciovym koktajlem, spróbowała palcem kiełbasę. Kiełbasa była niczym z kamienia.

- Kto? - nie zrozumiał Dwugłowy.

- Ten... stary. No, Wielki...

Rozległ się wibrujący gwizd i zgrzytliwy głos zawezwał:

- Dwugłowy!

- Jestem - powiedziała niechętnie lewa głowa.

- Wielki słucha cię. Melduj.

- Melduję - okrutnym głuchym głosem powiedział Dwugłowy. - Jestem ścigany. Okręt kosmiczny nieznanego typu. Atakowałem go torpedami atomowymi - bez rezultatu. Uporczywie trzyma się w odległości dwustu kilometrów za mną. Proszę o pozwolenie na abordaż.

- W żadnym wypadku! - zagrział tłusty głos zagadkowego Wielkiego. - Żadnych abordaży! W walce na krótki dystans wygubisz mi cały towar, a ja już wziąłem za niego zaliczkę... Dwugłowy, czemu nie przechodzisz w podprzestrzeń? Czemu zwlekasz?

- Za wcześnie. Na razie mam za małą prędkość. Ale to jeszcze nie wszystko, Wielki. Według danych z nasłuchu radiowego za okrętem pościgowym lecą dwie eskadry. Chyba jednak rozbiliśmy gniazdo os...

- Przecież to straszne! - zabeczał płaczliwie tajemniczy Wielki. - Po prostu potworne! Bądź ostrożny, Dwugłowy! Bądź do ostatnich granic możliwości ostrożny, zaklinam cię na krwawą

Protuberę i siną Nekrydę! Jeśli naprowadzisz wroga na naszą bazę, to będzie katastrofa! Postaraj się ich zwieść, Dwugłowy, a ja już wezmę na siebie koszt kontraktora... Owiń ich wokół palca! Wyprowadź w pole, niech będą przekłęci ze swoją wodą, tlenem, chlorofilem i czerwoną krwią!... Ach, ależ mnie zasmuciłeś, Dwugłowy!

- Uprzedzałem...

- No i co z tego, że uprzedzałeś, kiedy płacę ja!

Wielki namolnie żalił się, skarżył, wygrażał, obiecywał, perswadował, a Dwugłowy, popijając z kuwety, odwar kiwał, usprawiedliwiał się, obiecywał, przechwalał. Gala zdecydowawszy, że nadeszła najwłaściwsza pora na wzmocnienie nadwątlonych sił ogryzała odtajane części pęta kielbasy, obsysała rozmiękle brzegi chlebowego bochna i oblizywała kawałki mlecznego lodu. Trwało to dosyć długo, ale w końcu Wielki i Dwugłowy życzyli sobie nawzajem zdrowia i seans według rozkładu „ekstra” skończył się. Dwugłowy dopił koktajl, cisnął pustą kuwetą w małpizona Ku i chmurnie wlepił wzrok w sufit.

- Tłusty tchórz... - mrucał ponuro. - Widzicie go, on płaci... Widzicie go, pobrał zaliczkę... Będzie, widzicie go, katastrofa... A co mnie do tego? Do licha z waszymi zaliczkami i waszymi bazami na dodatek! Głowy Dwugłowego Jula są cenniejsze od wszystkich waszych baz i wszystkich waszych zaliczek!... W całym Wszechświecie jeszcze się nie urodził taki nosiciel rozumu, dla którego by Dwugłowy Jul wyskoczył ze swojej drogocennej skóry... Gala, wypełniając program wzmacniania sił, starannie gryzła, obsysała i oblizywała oblodzony prowiant, małpizona Ku siedział w kącie i drapał się pod pachami (dywan pod nim pociemniał od odtajanego szronu), a Dwugłowy wciąż burczał i klął, i zapewniał wszystkich, których to mogło zainteresować, że najcenniejszym skarbem całego znanego Wszechświata jest właśnie on, Dwugłowy Jul, a nie jakieś zaliczki, ani tym bardziej bazy. Potem lewa głowa spojrzała na Galę i obie fizjonomie rozjaśniły się.

- Może się zabawimy? - przemówił pirat. Gala zaniepokoiła się, ale nie okazała tego.

Tymczasem Dwugłowy wyciągnął skądś sznurek i przywiązał do niego wspaniały brylant najczystszej wody. O nie, za żadne skarby, pomyślała Gala.

- Pospałaś, dziewczynko? - spytała lewa głowa.

- Pospałam - odparła wyzywająco Gala.

- Pojadłaś?

- Pojadłam.

- Napiłaś się?

- Napiłam.

- A więc bawmy się.

Dwugłowy rzucił brylant na podłogę i pociągnął za sznurek. Brylant, lśniąc i rzucając na ścianę zielonkawe błyski, potoczył się po brudnym dywanie.

- No i? - powiedziała niecierpliwie lewa głowa. Gala pokręciła przecząco głową.

- Nie umiesz? - mruknęła z rozczarowaniem lewa głowa. - Hej, Ku, pokaż no jej, jak trzeba!

Ku jak tygrys rzucił się na brylant. Dwugłowy nie zdążył pociągnąć za sznurek - Ku porwał

zdobycz i na czworakach wybiegł z pokoju.

- Ku! - ryknął Dwugłowy obojgiem gardeł. - Stój, łajdaku! Wracaj no! Z powrotem, do kogo mówię!

Ku niechętnie wrócił.

- Podejdz!

Ku bardzo niechętnie podszedł.

- Dawaj kamień! - ryknęła lewa głowa.

Ku pokręcił głową i pokazał puste górne i dolne kończyny. Wówczas Dwugłowy pochwycił go za kudłatą grzywę i po łokieć włożył rękę do gardła małpiszona. Ku zadygotał, oczy wyszły mu z orbit, a Dwugłowy triumfalnie wyciągnął rękę i otworzył pięść. Na dłoni połyskiwał brylant i kilka złotych monet.

- Złodziejaszek! - powiedział Dwugłowy i zamasyście spoliczkował małpiszona.

Pojękując cichutko Ku schował się w swojej lodówce. Dwugłowy zwrócił się do Gali:

- Zrozumiałaś, jak trzeba grać?

- Sam możesz sobie grać w takie gry! - nie posiadając się z gniewu krzyknęła Gala. - Dwugłowy idiota!

Dwugłowy poderwał się.

- Do karceru! - ryknął tupiąc nogami. - Do karceru, niegodziwa dziewczyno!

8.

Gala siedziała w ciemnym karcerze pogrążona w najmroczniejszej rozpacz. Z żalu i ze złości bardzo chciało się jej płakać i bardzo bolało ucho, za które w pijackim ferworze taszczył ją rozjuszony Dwugłowy. Na domiar złego dręczyła ją i męczyła konieczność siedzenia zupełnie nieruchomo. Problem polegał na tym, że piracki karcer był długą, poziomą rurą o gładkich ściankach, zamkniętą z jednej strony ciężką pokrywą wjazdu, a z drugiej - żebrowaną metalową płytą. Przy najmniejszym ruchu rura ta zaczynała się kołysać i Gala musiała wówczas zapierać się rękami i nogami, żeby nie uderzyć w coś potylicą albo nie rozkwasić nosa.

Tak więc Gala siedziała w ciemności, starając się nie ruszać, i to pieściła w duszy plany zemsty, jeden od drugiego straszliwszy, to wypominała w myślach swoim dalekim przyjacielom ich nieporadność i brak zdecydowania, gdy nagle wydało jej się, że słyszy gdzieś zupełnie niedaleko żalosne jęki. Wsłuchała się... Tak, nie było wątpliwości: ktoś jakby wzdychał czy jęczał, a dźwięki dochodziły zza żebrowanej płyty zakrywającej dalej położony wylot rury. Gala zerwała się więc na nogi i pobiegła tam, wymachując rękoma dla zachowania równowagi. Mimo to kilka razy upadła, a raz nawet zrobiła fikołka, ale w końcu dotarła do płyty i przyłgnęła uchem do chłodnej żebrowanej powierzchni. I od razu usłyszała smutne, przeciągłe westchnienie.

- Kto tam? - zawołała półgłosem.

Nastąpiła cisza, po czym ktoś ochryple wyszeptał:

- Nie śmiem odpowiadać. Kto pyta?
- Gala...
- Pierwsze słyszę.
- Gala. Tak się nazywam. Jestem jeńcem.
- Już cię wmontowali?

Pytanie było dziwne i Gala nie od razu znalazła odpowiedź.

- N-nie, według mnie... Nie wiem... Siedzę w karcerze. Tym razem zdziwił się tajemniczy rozmówca.

- Jak to - w karcerze? Dlaczego w karcerze? Schowałaś się? Uciekłaś?
- Na odwrót, wsadzili mnie...
- Poczekaj, z jakiej ty jesteś planety?
- Z Ziemi...
- Z Ziemi? Jesteś z Ziemi? Słuchaj, koniecznie muszę cię zobaczyć. Chodź tu!
- Gdzie?
- Do mnie oczywiście, do kabiny nawigacyjnej...
- Gdzie to jest? Poza tym przecież mnie zamknęli...

- Otworzę... Nie bój się, nikt teraz tutaj nie zajrzy. Żebrowana płyta powoli rozsunała się i Gala z ogromną ulgą opuściła rozchybotane więzienie.

Kabina nawigacyjna okazała się niskim i okrągłym niczym bęben pomieszczeniem. Ściany były zastawione cylindrycznymi pojemnikami wysokości człowieka, tkwiącymi w specjalnych gniazdach tak, że cały ich pierścień przypominał załadowaną taśmę naboju kaemu. Pod sufitem wisiała wielka, czarna skrzynka, od której do każdego pojemnika ciągnęły się giętkie, karbowane węże, a pod skrzynką stała nieduża konsola z dwoma czarnymi i jednym czerwonym przyciskiem; z położonej obok szczeliny wystawał obrywek taśmy perforowanej.

Galę poraził panujący wszędzie niewyobrażalny i obrzydliwy brud. Podłogę zaścielały jakieś gnijące odpadki i porozklejane niedopałki papierosów. Konsola była cała lepka i puchata od przyklejonego kurzu, kłaczki tego samego tłustego kurzu sterczały ze szczeliny taśmy perforowanej. Zbiorniki stojące wzdłuż ścian pokrywały białe, niechlujne zacieki, a gniazda, w których tkwiły, lśniły od wilgotnej rdzy. Odpychające białawe sople zwisały z węży i krawędzi skrzynki, na suficie pyszniły się tłuste, nie mniej odpychające plamy. Panował tu przerażający smród - smród stęchlizny, padliny, śmieci.

- A więc to tacy jesteście, mieszkańcy tajemniczej Ziemi - rozległ się ochryply szept. - Śmieszni jesteście... W życiu nie widziałem równie śmiesznych istot! I tacy jak wy mają piętnaście miliardów komórek! No cóż, tym gorzej dla was. Teraz wasza kolej iść na taśmy produkcyjne Majstra Krega i być może mieszkańcy innych światów odetchną swobodniej...

Gala zakręciła się w miejscu.

- Gdzie jesteś? - zapytała z zakłopotaniem.
- Tutaj.
- Gdzie?

- Oczywiście w aparaturze, gdzieżby indziej.... I przestań się kręcić, Galu z Ziemi, tak czy owak nie zobaczysz mnie! Mnie właściwie w ogóle nie ma...

- Nic nie rozumiem. Kim jesteś?

- Niegdyś byłem szczęśliwym Mchtandem z planety Oaba, a obecnie jestem nędznym węzłem numer szesnaście pokładowej aparatury nawigacyjnej pirackiego krążownika „Czarna Pirania”. Teraz rozumiesz?

- Nie. Dlaczego jesteś węzłem?

- Ponieważ mnie i jeszcze półtora tysiąca moich rodaków uprowadzili razem z Tęczowym Brzegiem przekłęci najemnicy przekłętego Wielkiego Ośmionoga i wszystkich nas oddano w szpony Majstra Krega... Nigdy więcej nie ujrzymy już szmaragdowego nieba Oaby, jej dwunastu błękitnych księżyców, jej pięknych gór pokrytych wiecznymi pomarańczowymi śniegami... Jakie niebo macie u siebie na Ziemi?

- Błękitne...

- Hm... no tak, oczywiście. A księżycy?

- Mamy jeden księżyc, jest złoty... Ale poczekaj, nie zapominaj, że jestem tutaj bardzo krótko i nic jeszcze nie wiem. Zupełnie nic, rozumiesz? Proszę, wyjaśnij mi, co tu się dzieje.

Mchtand ciężko westchnął:

- Po co ci wiedzieć? Swemu przeznaczeniu i tak nie uciekniesz...

- Na Ziemi przywykliśmy sami określać swoje przeznaczenie... Opowiadaj!

- Nie jesteś na Ziemi, jeńcu Galu...

- Określamy swoje przeznaczenie wszędzie! Opowiadaj! Mchtand pomilczał chwilę i rzekł:

- A więc dobrze. Co prawda historia jest długa i smutna, ale mamy czas...

Gala, przygotowując się do wysłuchania opowieści, przysiadła na brzeżku konsoli, ale Mchtand trwożliwie wychrypiał:

- Ostrożnie! Nie naciśnij guzików! Jeśli naciśniesz czarne, wszystkich pobudzisz, a oni są śmiertelnie znużeni... A gdybyś nacisnęła czerwony...

- Nie martw się, nie nacisnę - przerwała mu Gala, zeskoczyła z konsoli i odeszła na bok. - No, Mchtand, słucham cię.

Oto co opowiedział Mchtand.

9.

Na drugim krańcu Galaktyki, w prawym dolnym rogu Małego Obłoku Magellana leży niczym się nie wyróżniająca para gwiazd składająca się z krwawoczerwonego giganta - Protubery i trupiobłękitnego karła - Nekrydy. Wokół pary, a dokładniej wokół środka ciężkości owej podwójnej gwiazdy krąży stosunkowo niewielkie ciało niebieskie zwane Planetą Łotrów.

Zapewne w swoim czasie planeta miała godniejszą szacunku nazwę, ale od dawna służyła za przystań wszystkim łotrom, szubrawcom i szumowinom wywodzącym się z prawego dolnego rogu

Małego Obłoku Magellana, i dlatego zaznaczano ją jako Planetę Łotrów nawet w kosmicznych locjach. W krwawoczerwonym świetle Protubery i trupiosinym blasku Nekrydy swobodnie sobie żyją, miód i wino piją handlarze żywym towarem, paserzy, krwiożerczy piraci i właściciele odrażających spelunek. Układają tam plany zuchwałych najazdów na bezbronne światy, zawierają złowieszcze transakcje, przy wtórze głośnych awantur przepijają łupy. Brzęczy złoto, płyną rzeką wszelkie możliwe trunki, a setki niewolników czekają na dopełnienie swego losu.

Los tychże niewolników, porywanych w rozmaitych zakątkach znanego Kosmosu, był do stosunkowo niedawna dość zwyczajny: morzono ich w kopalniach radioaktywnych rud, zamęczano ciężką pracą na plantacjach drogocennych zbóż, a nawet spożywano. Ale około stu lat temu u Wielkiego Ośmionoga, nader przedsiębiorczego nosiciela intelektu, niewiarygodnie bogatego drania i w najwyższym stopniu wpływowej osobistości Planety Łotrów, zjawił się niejaki Kreg, inteligentny, lecz doszczętnie pozbawiony uczuć pająk z mrocznego systemu bezimiennej gwiazdy neutronowej. Ów Kreg przedstawił Wielkiemu Ośmionogowi najpodlejszy i najhaniebniejszy, najzuchwalszy i najbardziej fantastyczny w dziejach Wszechświata projekt, który to projekt zapowiadał jednak równie fantastyczne zyski.

Jak wiadomo we współczesnej technice nie można zrobić ani kroku bez niezawodnych, uniwersalnych urządzeń kierowania i kontroli. Urządzenia te buduje się w oparciu o zasady automatyki i cybernetyki, a wszelka automatyka i cybernetyka opierają się na elektronice. Wiadomo również, że skonstruowanie niezawodnych i uniwersalnych urządzeń kierowania i kontroli wymaga kolosalnych wydatków: nauczonych, na konstruktorów, na inżynierów, na wyposażenie laboratoryjne, instrumentalne i fabryczne. Po co te wszystkie wydatki? - zapytał podły Kreg. Po co tracić pieniądze na budowanie urządzeń dawno już i w nadmiarze stworzonych przez samą przyrodę? W poznanym Wszechświecie mieszkają miliardy i miliardy rozmaitych istot rozumnych, a każda z nich nosi w sobie w najwyższym stopniu upakowany, niezawodny i uniwersalny aparat kierowania i kontroli. Tak, jak by to dziwnym się nie wydawało, pająk miał na myśli mózg istoty rozumnej. W swoich laboratoriach nauczył się łączyć żywą materię z materią nieożywioną i stworzył pierwsze modele maszyn obliczeniowych, pracujących w oparciu o umysły rozumnych istot. Naturalnie Wielki Ośmionóg, nader przedsiębiorczy nosiciel intelektu i niewiarygodnie bogaty drań, od razu pomysł podchwycił. Poświęcił na to połowę swego bajecznego majątku. Odtąd los nieszczęsnych jeńców, trafiających w pazury piratów z Planety Łotrów, rozstrzygał się jednoznacznie: wszyscy co do jednego wędrowali na taśmy produkcyjne w gigantycznych pracowniach Krega, i na kosmiczne rynki popłynęły partie niezawodnych i uniwersalnych, wysoce upakowanych urządzeń kierowania i kontroli.

Ale żywe umysły montowane w te aparaty wymagają ciągłego i posilnego odżywiania, przy czym każdy w swoim rodzaju. Na przykład mózg rozumnego mieszkańca planety Ooba potrzebuje fluoru, kwasu solnego i magnezu. I tu Majster Kreg zaproponował

Wielkiemu Ośmionogowi drugi swój diabelski wynalazek. Maszynę, która może dokonywać trójwymiarowej kontrakcji i dlatego zwana jest kontraktorem. Nikt nie wie, jak jest zbudowany ani jak działa kontraktor, ale dzięki niemu można porywać i upakowywać w stosunkowo małych

objętościach ogromne obszary planet wraz z atmosferą, basenami mórz i rzek, roślinnością, światem zwierzęcym i ludnością. Raz nawet uprowadzono tym sposobem całą planetę, którą później umieszczono dla hecy na orbicie trupiosinej Nekrydy... I oto mija już wiek, jak wyposażone w kontraktory pirackie okręty Wielkiego Ośmionoga grasują po Wszechświecie, kradną z zamieszkałych planet mniejsze lub większe tereny i dostarczają je do przybytku Wielkiego Ośmionoga. Rozumni mieszkańcy trafiają na taśmy produkcyjne Krega, a kontenery z atmosferą, morzami i całą resztą dodaje się do gotowych maszyn obliczeniowych jako bloki zasilania...

Pewnego razu (było to stosunkowo niedawno) Wielki Ośmionóg, najwybitniejszy pod krwawoczerwoną Protuberą i trupiosiną Nekrydą drań, właściciel kombinatów jądrowych, bakteriologicznych i chemicznych, w których pracowały tysiące wysoko wykwalifikowanych niewolników i robotów, szef naukowo-badawczych instytutów i laboratoriów, w których pracowały setki słynnych profesorów i żądnych sławy laborantów, admirał floty składającej się z pięciu gwiazdolatów superdalekiego zasięgu, na których wiernie służyły dziesiątki skończonych zbójów, właściciel licznych spelunek, gdzie wypijano tysiące litrów kwasu solnego, wysokooktanowej ropy naftowej, płynnego metanu...

- I jedyny właściciel odrażającej fabryki maszyn obliczeniowych z żywych umysłów...

- Oczywiście, ale to straszna tajemnica! Nawet na Planecie Łotrów nie każdy ją zna, a ci, którzy znają, wołają milczeć. U nich tam ostro: wygadałeś się - na taśmę...

- Ale wy - czemu się nie buntujecie? Czemu nie odmawiacie posłuszeństwa? Boicie się, że wówczas was zabiją? Przecież lepiej umrzeć niż tak wegetować...

- Tak, lepiej umrzeć... Ale czy widzisz czerwony guzik na konsoli, Galu z Ziemi? W przypadku buntu... zresztą, co tam buntu, przy najmniejszej pomyłce w obliczeniach operator naciska ten guzik i wówczas wszyscy czujemy straszliwy, nie do opanowania ból. Nie jesteś w stanie nawet wyobrazić sobie podobnych cierpień...

- A ta czarna skrzynka...

- Jest w niej nasz Tęczowy Brzeg. Jest w niej zielony piasek, brązowe gaje i fioletowe morze mojej ojczyzny... Ech, cóż zresztą mówić!

- Czekaj, a co z nabywcami tych okropnych maszyn? Czyżby wszyscy byli łotrami bez sumienia?

- Oczywiście że nie. Po prostu nikt nie wie, jak są zbudowane maszyny. Według warunków kupna-sprzedaży kategorycznie przestrzega się przed ich otwieraniem... A jeśli nawet ktoś otworzy, to akurat dużo zobaczy.

- Przecież maszyny same mogą opowiedzieć właścicielom, kim są w rzeczywistości...

- Wszystkie maszyny są nieme. Ja jestem jedynym węzłem zdolnym rozmawiać... Zrobiono tak na specjalne zamówienie i ja się nie liczę. No, a kupujących uprzedza się, że w przypadku przerwy albo niedokładności w pracy trzeba kilka razy nacisnąć czerwony guzik i to wszystko... Ale zeszliśmy na inne tematy... Kontynuuję. To już dotyczy ciebie, twoich rodaków i twojej planety...

Tak więc pewnego razu Wielki Ośmionóg zażywał krótkiego poobiedniego odpoczynku. Rozkoszował się kąpielą w złotym basenie napełnionym silnym roztworem pięciowodnego

siarczynu miedziowego, a czterech smutnych jednookich niewolników z nieśmiałej planety Bamba masowało jego rozdęte plamiaste cielsko elektrycznymi szczotkami pod napięciem pięćuset pięćdziesięciu woltów. Wielki Ośmionóg jeżył się i wzdrygał z zadowolenia, ale nie zapomniał przy tym o interesach - słuchał relacji wiernego zausznika i wykonawcy wymagających największej zręczności poleceń, Wstrsta, który to Wstrst wisiał przed nim głową w dół owinięty w szerokie błoniaste skrzydła. Nawiasem mówiąc Wstrst to przezwisko i znaczy po prostu Wstrętny Staruch.

Prawdopodobnie tę właśnie chwilę należy uznać za początek epoki wielkich nieszczęść i prób, które nieuniknienie spadną wkrótce na mieszkańców zielonej planety Ziemia, albowiem właśnie w owej chwili rozległ się sygnał teleekranu.

- Kogo jeszcze licho niesie!... - warknął Wielki Ośmionóg. - Wpuść.

Wstrst wyciągnął długą białą trąbę, włączył teleekran i przed Wielkim Ośmionogiem pojawiła się szpetna podobizna jego głównego konsultanta do spraw nauki i techniki, Majstra Krega - pająka z bezimiennego systemu bezimiennnej gwiazdy neutronowej, pozbawionego sumienia twórcy urządzeń opartych na żywych umysłach i wynalazcy straszliwego kontraktora.

- Witaj, Wielki - wysyczał Majster Kreg i wysunął przez ekran strasznie wyglądającą włochatą łapę z jadowitym pazurem na końcu.

- Cześć Majster! - odparł Wielki Ośmionóg i ostrożnie uściśnął wyciągniętą łapę straszliwie wyglądającą macką, usianą poruszającymi się przyssawkami.

- Skrobiesz się? - z zazdrością zapytał Majster Kreg. Notorycznie śwędził go głowotułów, ale - niestety! - twardy pancerz nie pozwalał się podrapać i dlatego Majster Kreg zawsze zazdrościł miękkością. Nawet niewolnikom.

- Jak widzisz. Zamęczyły mnie brodawki. Co cię sprowadza? Majster Kreg położył łokieć na krawędzi ekranu, zdjął rogowe okulary i zabrał się do metodycznego czyszczenia szkielec. Głowotułów Majstra Krega zdołało dwanaścioro oczu, dlatego procedura przecierania dwunastu szkielec nieco się przeciągała, ale Wielki Ośmionóg znał swojego konsultanta i czekał cierpliwie. W końcu Kreg umieścił okulary na właściwym miejscu i powiedział:

- Policzyłem to i owo...

Przy jego słowach Wielki Ośmionóg zacisnął mocno prawe oko i szeroko otworzył lewe, a podniecony Wstrst zatrzepotał skrzydłami i zachrzakał. Zawsze, kiedy Majster Kreg zaczynał rozmowę od słów „to i owo policzyłem” znaczyło, że szykują się ogromne wydatki, które jednakże zapowiadają jeszcze większe zyski.

- Policzyłem to i owo - powiedział Majster Kreg - i odkryłem, że naszej produkcji grozi pewien zastój.

- Dalej - rzekł Wielki Ośmionóg.

- Praktycznie osiągnęliśmy już granice upakowania systemów opartych na umysłach mieszkańców znanych nam światów. Najpotężniejszy mózg, z jakim obecnie miewamy do czynienia, zawiera półtora miliarda komórek, czyli wyrażając się naukowo neuronów. Jak łatwo obliczyć, system składający się ze stu pięćdziesięciu miliardów komórek powinien być zbudowany z setki takich mózgów, z odpowiednią ilością cerebrariów i odpowiednią objętością bloków

zasilania.

- Dalej - mruknął Wielki Ośmionóg. - Na razie tłumaczysz wszystko bardzo zrozumiale...

- Policzyłem to i owo i odkryłem, że teoretycznie możliwe jest istnienie istot z mózgiem składającym się z pięciu, dziesięciu, a nawet piętnastu miliardów komórek czyli neuronów. Zbudowane z takich umysłów systemy byłyby pięć do dziesięciu razy bardziej upakowane od najlepszych robionych obecnie, a zyski z produkcji zwiększyłyby się dziesięć do dwudziestu razy.

- Dalej, dalej! - zawołał Wielki Ośmionóg. - Referujesz bardzo interesująco...

- Odkryłem też, że koniecznym warunkiem do powstania, rozwoju i funkcjonowania rozumnych istot z równie potężnym mózgiem jest występowanie tlenu, wody, chlorofilu i czerwonej krwi. Krótko mówiąc, Wielki, jeżeli nie chcemy zastoju, lecz pragniemy kroczyć dalej drogą naukowo-technicznego postępu, musimy koniecznie znaleźć parę tak zwanych zielonych planet i przystąpić do ich aktywnego rozpracowania...

- Zielone planety... - wygrzytał Wstrst. - Czy takie w ogóle istnieją?

- Nie wiem - powiedział Majster Kreg. - Wiem, że teoretycznie ich istnienie jest możliwe. Wiadomo również, że mózg nosiciela intelektu nie może stworzyć wyobrażenia, które by nie miało odpowiednika w przyrodzie. Trzeba szukać. Nastawić się na tlen, wodę, chlorofil i czerwoną krew i szukać. Mogę powiedzieć jedno: w razie sukcesu zyski będą kolosalne.

- Będziemy szukać! - oznajmił zdecydowanie Wielki Ośmionóg.

Szukać zielonych planet! Okazało się, że łatwiej powiedzieć niż zrobić. Wiele dni i nocy sekretarze Wielkiego Ośmionoga szperali w starych pokładowych dziennikach gwiazdolotów superdalekiego zasięgu; tyleż samo dni i nocy obstawa Wielkiego Ośmionoga przesłuchiwała jeńców i niewolników z najdalszych światów; tyleż samo dni i nocy tajni agenci Wielkiego Ośmionoga myskowali po spelunkach i tawernach wśród pijanych jak beły hulaków. Niestety! W starych dziennikach pokładowych o zielonych planetach nie było żadnej wzmianki. Ze wszystkich niewolników i jeńców tylko jeden, należący do rasy inteligentnych płazów zamieszkujących system odległego Szarego Słońca, wspomniał, że owszem, w pobliżu jego ojczyzny istniała niegdyś zielona planeta, ale zrobiono z niej poligon dla prób z nowymi rodzajami broni i zieleń z planety dawno już znikła. A pijusy w knajpach i tawernach okazywali gotowość do korzystania w nieograniczonych ilościach z darmowych poczęstunków i dlatego opowiadali o zielonych planetach dużo i ze szczegółami, przy czym cały czas kłamali.

W końcu Wielki Ośmionóg stracił cierpliwość i prawie się już zdecydował całkowicie wycofać z niewyraźnego przedsięwzięcia, gdy do jego gabinetu wleciał najwierniejszy zausznik i wykonawca wymagających największej zręczności poleceń Wstrst.

Wstrst był jedyną istotą, którą Wielki Ośmionóg dopuszczał do siebie bez uprzedniej zapowiedzi. Zgodnie ze zwyczajem zawisnął głową w dół, owinął się w błoniaste skrzydła i przesłonił oczy bezzręsyimi powiekami.

- Mów - pozwolił Wielki Ośmionóg.

- Bądź pozdrowiony, Wielki! - powiedział Wstrst. - Słyszałeś o jakimś Dwugłowym Julu?

- Tak - odparł Wielki Ośmionóg. - Słynny wolny pirat. Zamontowaliśmy mu jeden z pierwszych

aparatów z żywych umysłów.

- Właśnie wrócił z głębokiego Kosmosu.
- Tak.
- Dowiedział się, że potrzebujemy informacji o zielonych planetach.
- Tak!
- Wie co nieco o pewnej zielonej planecie.
- Tak!!
- Jest gotów porozmawiać z tobą osobiście.
- Tak!!!
- Dziś wieczorem oczekuje cię na pokładzie swojej „Czarnej Piranii”.
- Uhm...

Kogokolwiek innego na miejscu Wielkiego Ośmionoga takie bezceremonialne zaproszenie z pewnością by obraziło. On, Wielki, ma się wlec w gości do zwykłego pirata, który niczego nie posiada poza bezczelnością i podniszczonym gwiazdolotem! Ale Wielki Ośmionóg, w najwyższym stopniu przedsiębiorczy nosiciel intelektu, nie był z tych, którzy przejmują się takimi drobiazgami.

- Świetnie - burknął Wielki Ośmionóg. - Powiedz mu, że będziemy po zachodzie Protubery.

Późnym wieczorem, gdy krwawoczerwona Protubera skryła się za ostrymi szczytami Grzbietu Męczarni i na fioletowym niebie pozostała jedynie trupiosina tarcza Nekrydy, długi raketomobil Wielkiego Ośmionoga z zamkniętą karoserią wtoczył się na kosmodrom. Ach, jakież to okręty można było ujrzeć na głównym kosmodromie Planety Łotrów! Jonoloty, atomoloty, neutronoloty, grawiloty, latające talerze, latające rondle, latające bańki, latające samowary; duże i małe, nowe jak spod igły i dziobate od blizn po meteorach, okręty ataku i okręty obronne, jawnie groźne, najeżone śmiertcioną bronią kosmiczne liniowce i pozornie bezbronne okręty-pułapki, kryjące śmierć głęboko w ładowniach... Nawiasem mówiąc, pośród tych pancernych dziwolągów nie było widać żadnego ruchu, jako że wszystkie załogi w komplecie piły i grały w kości w portowych szynkach.

Raketomobil Wielkiego Ośmionoga poleciał w najdalszy kąt kosmodromu i zatrzymał się przed wielkim szarocznym jajem. Była to wzbudzająca strach „Czarna Pirania”, złowroga brygantyna Dwugłowego Jula. I ledwie czterech ponurych, sześciorekich i dziesięciookich gigantów - strażników wyciągnęło z raketomobilu nosze, na których spoczywał Wielki Ośmionóg, wzmożony przez głośnik podwójny głos słynnego pirata zagrział:

- Bądź pozdrowiony, Wielki! Oczekuję cię.

Strosząc błoniaste skrzydła i kołysząc się na krótkich łapkach, jako pierwszy wstąpił w otwarty właz Wstrst; strażnicy z noszami weszli na pokład „Czarnej Piranii” w ślad za nim. Oczywiście Wielki Ośmionóg mógł się swobodnie poruszać bez niczyjej pomocy, ale będąc w najwyższym stopniu praktycznym nosicielem intelektu, słusznie uważał za rzecz nierozsądną wystawiać słynnego pirata na pokuszenie. Nosze były świetnym pretekstem do zatrzymania przy sobie ochrony osobistej. Strażnicy Wielkiego Ośmionoga byli istotami okrutnymi, nie całkiem rozumnymi, lecz nadzwyczaj wiernymi i dowcipów w ich obecności nie zaryzykowałby nawet taki

zabijaka jak ów dwugłowy drań. Nawet dla miliardowego okupu.

Dwugłowy Jul przyjął gości w sześciokątnej mesie z okrągłym stołem pośrodku i białą lodówką pod ścianą. Na lodówce tkwiło jakieś wypchane zwierzątko. Pirat stał pod ścianą naprzeciwko drzwi na szeroko rozstawionych długich, chudych nogach, z nawyku trzymając ręce na zwisających mu u bioder kaburach pistoletów. Prawa głowa z czarną opaską na prawym oku paliła papierosa, oczy lewej zimno i obojętnie przyglądały się Wielkiemu Ośmionogowi.

Strażnicy postawili nosze na stole, usunęli się do kątów i skryli w cieniu. Wstrst przeszukał wzrokiem wymalowany w czerwono-zieloną szachownicę sufit, nie znalazł niczego, za co można by się zaczepić i pozostał na nogach u boku Wielkiego Ośmionoga.

Dwugłowy Jul zaproponował Wielkiemu Ośmionogowi łyk rtęciowego koktajlu, ale ten odmówił.

- Przystąpmy do rzeczy, Dwugłowy - mruknął.

- Jak do rzeczy to do rzeczy - zgodził się pirat.

- Potrzebne mi są zielone planety - powiedział Wielki Ośmionóg. - Nie wiem, gdzie zielonych planet szukać. Poinformowano mnie, że wiesz coś o pewnej zielonej planecie. To prawda?

- Prawda - odparła lewa głowa.

- Wiesz, gdzie leży?

- Wiem.

- Ale to na pewno zielona planeta?

- Na pewno.

- Tlen, chlorofil, woda, czerwona krew?

- Dokładnie wszystko. I wiele rzeczy poza tym.

- Rzeczy poza tym mnie nie interesują. Istnieje na niej życie rozumne?

- Jeszcze jakie!

- Świetnie. Ile chcesz za współrzędne planety?

Prawa głowa Dwugłowego Jula wypluła niedopałek i zaśmiała się.

- Najpierw powiedz mi, Wielki, co zamierzasz z nią robić.

- To ciebie nie dotyczy.

Głowy popatrzyły na siebie, po czym Dwugłowy Jul wzruszył ramionami.

- Jak chcesz - powiedziała lewa głowa. - Za współrzędne zapłacisz mi niedrogo - jedyne sto tysięcy. A jeśli chodzi o resztę, miej żal do siebie samego.

Wielki Ośmionóg, w najwyższym stopniu przedsiębiorczy nosiciel intelektu, z zaskoczeniem wlepił wzrok w dwugłowego pirata i warknął:

- Co masz na myśli?

- Posłuchaj, Wielki, po co owijać rzecz w bawełnę? Zapomniałeś, że moja aparatura nawigacyjna została skonstruowana na specjalne zamówienie. Ona mówi. Cóż poradzić, moja słabość - lubię pochlapać ozorem, zwłaszcza lewym i lubię posłuchać, jak płaczą pokonani. Tak więc świetnie wiem o twoich sprawkach z Majstrem Kregiem i domyślam się, do czego ci potrzebna zielona planeta. Klnę się na purpurową Protuberę i siną Nekrydę, całkowicie popieram

twoje chęci, ale...

- Ale?

- Ale obawiam się, że będzie cię to drogo kosztować.

- Niby dlaczego?

- Widzisz, planetę zamieszkują tak zwani ludzie.

- No i co z tego?

- A to, że to już nie mówiące żaby z systemu Szarego Słońca i nie tchórzliwe koty z Kyrkei, które udają nieżywe, ledwie ich dotkniesz...

- Sądzisz, że mogą mnie powstrzymać mieszkańcy jakiejś parszywej planetki. Mnie? Wielkiego Ośmionoga? Przecież ja ich na proch zetnę, w mózdzierzu utłukę, na wiatr rozrzucę!

- Przypuśćmy. Możesz spróbować zatruć ich obrzydliwą tlenową atmosferę, zamienić w parę ich straszliwe wodne oceany, zgasić ich skandaliczne żółte słońce. Ale nawet jeśli ci się to uda uczynić bezkarnie - celu swego tak czy owak nie osiągniesz! Jak rozumiem, potrzebne ci są żywe głowy, a nie martwe czaszki...

Wielki Ośmionóg odął się i czas jakiś milczał. Później warknął ochryple:

- Dobra. Opowiadaj.

- Informacja ma swoją cenę. Razem ze współrzędnymi będzie cię to kosztowało milion.

Wielki Ośmionóg spojrział na Wstrsta, ten długą białą trąbą wyciągnął z noszy worek z pieniędzmi i rzucił piratowi do stóp. Ale Dwugłowy Jul nie patrzył na worek. Wlepił wzrok w znane jemu jednemu głębiny mrocznej i krwawej przeszłości.

- Odkryłem planetę i dwukrotnie ją odwiedziłem. Po raz pierwszy wylądowałem osiemset lat temu. Udało mi się zgarnąć trochę złota i wziąłem na próbę setkę jeńców. W drodze powrotnej jeńcy zbuntowali się...

- Co? Co powiedziałeś?

- Jeńcy zbuntowali się. Innego słowa nie znajdę. Zabrali się do niszczenia wszystkiego dookoła niczym załoga okrętu niezadowolona z kapitana i zabili mi bosmana. Od tej pory latam bez bosmana...

- I co zrobiłeś?

- Musiałem otworzyć zewnętrzne luki ładowni - powiedział z odrazą Dwugłowy Jul - po czym wyrzuciłem trupy za burtę. W ten sposób po raz pierwszy w swoim długim życiu zostałem bez łupu. Po raz drugi odwiedziłem planetę czterysta lat temu. Szalała wojna. Postanowiłem skorzystać z zawieruchy i upiec przy ich ogniu swoją pieczeń... a ognia tam było w nadmiarze, mogę cię, Wielki, zapewnić...

- I cóż?

- Wlepili mi z dwóch stron naraz. Straciłem prawe oko prawej głowy, najlepszego kanoniera i spory kawał rufy. Rufę później podremontowałem, ale od tej pory latam bez prawego oka i bez kanoniera...

- I...

- I zmykałem nie oglądając się za siebie, przy czym wcale się tego nie wstydę. Tak zostałem

bez łupu po raz drugi w życiu.

- I co dalej?

- To właściwie wszystko.

Wielki Ośmionóg powiedział w zamyśleniu:

- Informacja bez wątpienia warta miliona. A co byś mi w takim razie doradził?

- Ludzi nie można zastraszać i uprowadzać - powiedział powoli Dwugłowy Jul. - Ich trzeba kraść!

Zapanowało milczenie. Wstrst znieacka rozwinął błoniaste skrzydła, załopotał nimi gulgocząc na cały głos i po mesie powiał cuchnący wiatr.

- Hm... - powiedział Wielki Ośmionóg. - Ale to za delikatna robota na łapy moich zabijaków. Oni umieją jedynie łupić i palić...

- Powierz sprawę mnie - zaproponował Dwugłowy. - Mam z ludźmi stare porachunki. Z moimi zuchami załatwię wszystko czyściutko, możesz być pewien. Do takich robótek nas, wolnych piratów, od pierwszych pazurów przyuczają...

- Ile? - zapytał natychmiast Wielki Ośmionóg.

- Miliard - natychmiast odpowiedział Dwugłowy Jul. - I udział w zyskach.

Potargowali się i stanęło na siedmiuset milionach i jednej dziesiątej procenta.

- Załatwione - rzekł Wielki Ośmionóg i odsapnął. - Od tej chwili jesteś u mnie na służbie. Będiesz dostarczał żywych ludzi i odpowiednie tereny dla podtrzymania ich przy życiu. Dostaniesz kontraktor, sprawy techniczne obgadasz z Majstrem Kregiem. Jeszcze jedno. Nie wplątywać się w żadne awantury. W żadnym wypadku nie ujawniać się. Niech waszą dewizą pozostanie: napaść, porwać i zniknąć bez śladu.

- Transakcja zawarta - oświadczył Dwugłowy Jul. - A teraz pozwól przedstawić sobie moją drużynę.

- Pozwalam - rzekł Wielki Ośmionóg.

- Załoga! Zbiórka! - ryknął Dwugłowy Jul.

To dopiero była niespodzianka. Okrągły stół pośrodku mesy wygiął się, zrzucił z grzbietu nosze i przemieniwszy się w długonogiego jaszczura wyciągnął się na baczność przed Dwugłowym Julem. Z sufitu, zachowując na ciele jego czerwono-zielony wzór szachownicy, spadła rosochata rozgwiazda i stanęła obok jaszczura. Otworły się drzwi lodówki, z wnętrza wyskoczył otulony obłoczkami pary włochaty małpiszon i stanął obok rozgwiazdy. A wypchane zwierzątko ześliznęło się z lodówki na podłogę i zamarło obok małpiszona.

- Moja drużyna! - obwieścił Dwugłowy Jul. - Najzuchwalsze i najchytrzejsze chwaty w całym znanym Wszechświecie. Oto Ka - wskazał jaszczura. - Może przyjmować dowolną postać i udawać dowolny przedmiot. Oto Ki - wskazał rozgwiazdę. - Posiada wspaniały dar mimikry. Jest zdolny w przeciągu dwóch sekund zlać się z tłem i stać się niewidzialnym. Oto Ku - pokazał małpiszona. - Potrafi dowolnie długo przebywać w przestrzeni kosmicznej bez jakiegokolwiek skafandra. I na koniec... - wskazał nikogo nie przypominającego malca. - Oto mój mały Jaturkenzensirchiw, szpieg, którego nosi się w kieszeni.

- Miło mi poznać - oświadczył demokratycznie Wielki Ośmionóg, uśmiechając się uprzejmie.
- Załoga, na mój rozkaz! - szczerknął Dwugłowy Jul. - Na cześć naszego nowego szefa - czołem!
- Czołem, Wielki! - ryknęła załoga.
- Spocznij - powiedział Wielki Ośmionóg i wrócił na nosze. I już układając się wygodniej, podginając pod głowotułów groźnie wyglądające macki, spytał:
- A propos, jak się nazywa twoja zielona planeta?
- Ziemia - wycedziły chórem przez zęby obie głowy Dwugłowego Jula.

10.

- Wystarczy, Mchtand - powiedziała Gala. - Resztę znam. Piraci porwali połowę Zielonej Doliny i tysiąc ludzi, w tym mojego dziadka. Teraz ich los zależy od nas. Wymyśl coś...

- Co tu można wymyślić! - zaprotestował z rezygnacją Mchtand. - Niczego nie wymyślisz. Myśmy pięćdziesiąt lat myśleli i co z tego?

- Przecież nic jeszcze nie wiesz - tłumaczyła cierpliwie Gala. - Tę... „Czarną Piranię” ścigają moi przyjaciele, depczą jej po piętach, a za nimi lecą na wsparcie dwie ziemskie eskadry...

- Chyba jednak trafiła kosa na kamień! - krzyknął radośnie Mchtand, ale natychmiast ponownie oklapnął. - To na nic. Dwugłowy Jul jest chytry, za godzinę wejdzie w podprzestrzeń i szukaj wiatru w polu. Twoi przyjaciele powinni po prostu zniszczyć „Piranię” i koniec. A może nie mają wystarczająco potężnej broni?

- Mają wszystko - powiedziała z przekonaniem Gala. - Ale przecież razem z „Piranią” zginęliby również więźniowie...

- Ach! Lepsza śmierć niż nasz straszliwy los.

- No, o tym nie ma powodu rozprawiać. Myśl, Mchtand, myśl! Czy wy nie możecie zatrzymać „Piranii”?

- Możemy, oczywiście. Możemy zatrzymać, zawrócić, pokręcić w kółko... Okrętem kierujemy my, bez nas „Pirania” to pusta puszka. Statków kosmicznych nie prowadzi się ręcznie. Ale ledwie cokolwiek zaczniemy robić, przybiegnie ten dwugłowy kat i naciśnie czerwony guzik...

Gala podeszła do konsoli.

- Słuchaj, Mchtand... - powiedziała szeptem i przerwała. - Słuchaj, Mchtand - krzyknęła. - A jeśli by wyrwać przeklęty guzik z gniazda, co wtedy?

Mchtand pomilczał sekundę, po czym wychrypiął zdumiony:

- Szmaragdowe niebiosy Oaby! Nie na darmo wy, mieszkańcy Ziemi, macie po piętnaście miliardów komórek! Zuch jesteś, Galu! My oczywiście zginiemy, ale tym razem twoi rodacy nas pomszczą... Naciśnij oba czarne guziki! Zbudź wszystkie węzły! Szybciej, dopóki jesteśmy sami!

Podczas gdy Mchtand bezgłośnie wyjaśniał swoim nieszczęsnym przyjaciółom położenie, Gala, łamiąc paznokcie, wydzieriała z pulpitu czerwony guzik.

- Zrobione! - powiedziała. - Co dalej?

- Oto co dalej - oznajmił surowo Mchtand. - Nas teraz z pewnością zabiją. Żegnamy się z tobą, Galu z Ziemi, nie wspominaj nas źle. I nie smuć się: śmierć będzie nam wybawieniem.

A ty uciekaj. Z kabiny nawigacyjnej korytarzem w lewo, tam zobaczysz właz w podłodze. Otwórz właz i zejdź na sam dół. Zobaczysz drzwi, za drzwiami jest komora kapsuły ratunkowej. Wsiądź do kapsuły, nie zapomnij zatrzasnąć za sobą pokrywy i pociągnij na siebie drążek sterowania. Zrozumiałaś?

- Zrozumiałam - powiedziała Gala słabym głosem. - A wy?

- Zatrzymamy „Czarną Piranię”. Potem nas zabiją. Reszta to sprawa twoich przyjaciół. Uciekaj. Masz do dyspozycji parę minut.

I Gala uciekła. Cóż jej innego pozostało? Liczyła sobie zaledwie siedemnaście lat, była udręczona, głodna, zaszczuta, miała na sobie jedynie porwany szlafroczek, a życie ukochanego dziadka wisiało na włosku. Lecz nie zdążyła dobiec do włazu, gdy w najbardziej oplakany sposób wyszło na jaw przeoczenie Mchtanda.

Ledwie zbuntowany komputer pokładowy wyłączył silniki, znikło ciężenie. Gala siłą bezwładności przeleciała za właz, uderzyła w przegrodę i zawisała w powietrzu. Nigdy jeszcze nie zdarzyło się jej znaleźć w równie idiotycznym położeniu. Wiła się całym ciałem, kopała nogami, wymachiwała rękoma, ale ani o centymetr nie mogła się przybliżyć do włazu. Tymczasem z sześciokątnej mesy doleciał wściekły ryk, ochryple przekleństwa, dźwięk ciskanych naczyń i w korytarzu pojawiła się koszmarna procesja. Na przedzie, rozkraczony niczym gigantyczny czarny pająk, mknął po ścianie Dwugłowy Jul; za nim, wczepiony w jego pas z kaburami obijał się w powietrzu szkaradny brzuchaty jaszczur, biały w niebieskie kropki, cały lśniący, jak gdyby zlany potem; za jaszczurem, pulsując niczym monstualna meduza, leciała fioletowa rozgwiazda, a z tyłu, gorączkowo odbijając się to od ścian, to od sufitu, to od podłogi, pospieszał rozczochrany małpison Ku. Na widok tego okropieństwa Gala o mało nie zemdląła. Na szczęście piraci w pośpiechu nie zauważyli dziewczyny i znikli w kabine nawigacyjnej, skąd natychmiast zadudnił okrutny bas Dwugłowego Jula i zabrzmiał ochryply, pełen złośliwej satysfakcji głos Mchtanda:

- Co to za sztuczki? Czemu wyłączyliście silnik?

- Taką mieliśmy ochotę, Dwugłowy. Twoja „Pirania” nie ruszy więcej z miejsca. Gra skończona.

- Gdzie jest czerwony guzik? Klnę się na Protuberę i Nekrydę, to sprawka tej przeklętej dziewczyny! Hej wy, mózgi bez skorupy! Do roboty, żywo! Bo jak nie, to wszystkich powystrzelam!

- Nie boimy się, Dwugłowy. My tu doświadczyliśmy czegoś gorszego niż śmierć. Ty zresztą niewiele nas przeżyjesz...

- A więc gińcie! Zagrzmiały wystrzały.

- Koniec... - wychrypiał Mchtand. - Bądź przeklęty, piracie... Żegnaj, Oabo... szmaragdowe niebo...

- Do roboty! - wrzasnął Dwugłowy Jul. - Ruszajcie no się, jeśli wam skóra droga! Wszyscy do kabiny abordażowej i przygotować się do walki!

Piraci ponownie wypadli na korytarz, ale tym razem Dwugłowy Jul w końcu zauważył Gałę, wciąż jeszcze szamoczącą się nieporadnie pod sufitem. Wyrwał z kabury pistolet, ale rozmyślił się.

- Nie - powiedział. - Postąpimy sprytniej. Zawsze w czasie walki robię się głodny. Ka, weź dziewczynę i porządnie zwiąż. Po bitwie pożrę ją żywcem.

Zaciskając zęby żeby nie krzyknąć ze strachu, Gala broniła się rękami i nogami, ale jakże się mogła obronić przed zwinnym i doświadczonym w podobnych sprawach złoczyńcą? Nie minęła nawet minuta, jak zawleczono ją skrępowaną, związaną, do jakiegoś tonącego w półmroku pomieszczenia i niedbale ciśnięto w kąt. Byli tam już wszyscy, skupieni przed wielkim na pół ściany ekranem. Matowo błyskały noże, krwawym ogniem płonęły oczy. Dwugłowy Jul wygłaszał ostatnią mowę przed bitwą:

- Słuchać mnie, nicponie! Nasza sprawa kiepsko stoi. Z „Piranią” koniec. Okręt Ziemiaków mamy tuż-tuż i dwie eskadry lecą mu na pomoc. Grozi nam wszystkim szubienica i mamy jedną jedyną szansę na uratowanie się: atakować abordażem tamten okręt, przejąć go i próbować nim uciec. Nie wiem, co z tego wyjdzie. Z Ziemiaków, jak widać, istoty zuchwałe, z takimi nie mieliśmy jeszcze do czynienia. Jedna dziewczynka ile jest warta... Znacnie mnie, dzieci nieczystych światów! Jeśli ja coś mówię, to znaczy, że tak jest. Walczcie o swoje życie. Ale żadnej broni palnej - tylko mięśnie i noże, inaczej zniszczymy coś i znowu wyjdziemy na głupców. To wszystko. Przygotować się!

Dwugłowy Jul przesunął dźwignię na pulpicie przed ekranem i kabinę abordażową wypełniło niskie buczenie.

11.

Pościg w kosmosie dobiegał końca. Powoli i ostrożnie, na najniższych obrotach, „Strzegący” zbliżał się do nieruchomej „Piranii”. Powoli rósł przesłaniając gwiazdziste niebo gigantyczny korpus pirackiej brygantyny. Atos i Aramis siedzieli przed konsolą nie odrywając wzroku od ekranu szerokiego pola widzenia, nie zdejmując palców z przycisków sterowania, nie zdejmując nóg z pedałów dział laserowych. I nagle, niczym wataha demonów ze świata starożytnych diabelskich historii Gogola wtargnęli przez ekran do kabiny „Strzegącego” piraci.

I teraz oto przydały się refleks i umiejętność szybkiego reagowania - efekt treningów prowadzonych przez Portosa. Nagłość i sposób ataku zdumiały ich, ale nie oszołomiły. Zaczęło się starcie wręcz w warunkach nieważkości. Dwugłowy Jul szepił się z Atosem, jaszczur, rozgwiżdża i małpison zwalili się na Aramisa, a mały, puszysty Jaturkenzensirchiw, szpieg, którego nosi się ze sobą, z zapalem zaczął podskakiwać na krawędzi ekranu, wymachując przy tym kindżalem niczym szablą. Tak, z podobnym przeciwnikiem jeszcze się nigdy piraci nie zetknęli. Ziemiaki walczyli z zimną krwią i z przerażającą bezwzględnością, uchylali się od ciosów noży i ze zwinnością wprost nieprawdopodobną zadawali uderzenia o zabójczej sile. Nie minęło pięć minut i lewe oko lewej głowy Dwugłowego Jula zakryła wielka liliowa opuchlizna, z prawego nosa pociekła zielona krew, a prawa ręka bezsilnie zwisała porażona sprytnym chwytem sambo. Jaszczur, wepchnięty

kopniakami pod fotel pilota, leżał półmartwy, a Aramis, trzymaną za końce macek rozgwiadą, dobijał lamentującego małpiszona.

- Koniec - wychrypiał Dwugłowy Jul. - Wygraliście. Poddaję się.

Wisiał w powietrzu pośrodku kabiny i powoli obracał się wokół własnej osi. Jego obie głowy chwiały się bezsilnie na długich, wyciągniętych szyjach, ręce i nogi kołysały się jak przywiązane na nitkach. Starcie wyraźnie nie wyszło mu na dobre. Atos przyciągnął go do siebie, zdjął mu pas z kaburami i posadził w fotelu.

- Gdzie jest Gala? - spytał, ocierając z czoła pot.

- Tam... - ledwie słyszalnie wymówił łotr, próbując wskazać ręką ekran i skrzywił z bólu obie fizjonomie.

Atos na wszelki wypadek mocno przypiął go do fotela pasami bezpieczeństwa, a tymczasem Aramis wrzucił rozgwiadę do schowka, zagonił tamże pochlipującego małpiszona i zataszczył wciąż nieprzytomnego jaszczura. Zamknąwszy schowek powrócił do kabiny, podszedł do ekranu, włożył weń rękę aż po ramię i, trzymając dwoma palcami za futerko, wyciągnął Jaturkenzensirchiwa. Zwierzak pokornie podkulił łapki i zmrużył ślepką oczekując nieuniknionej kary. Aramis potrząsnął nim.

- A ty co, bandyto? - spytał.

- Ja już nigdy więcej nie będę - zapisał żałośnie zwierzak. - Nie karzcie mnie, proszę. Ja nic nie zrobiłem... Przecież trzeba z czegoś żyć, osądźcie sami! Prawda, mały jestem, ale wszystko jedno, żyć się chce...

- Przestań biadolić - powiedział Aramis już swoim zwykłym, cichym głosem. - Mów szybciej, gdzie jest Gala?

- Tutaj, całkiem blisko! - zajazgotał z zachwytem Jaturkenzensirchiw. - Zostawili ją w kabynie abordażowej... Właśnie chciałem rozwiązać i dostarczyć tutaj, ale akurat tak zręcznie złapał mnie pan...

- Nie kłam. Po prostu chowałeś się i podsłuchiwałeś. Zaraz pokażesz gdzie iść... Atos, zostań proszę z tym dwugłowym łotrem i nie spuszczaaj z niego oczu. Postaram się wrócić najszybciej, jak tylko można.

Aramis, wciąż trzymając Jaturkenzensirchiwa dwoma palcami za futerko, wskoczył na konsolę, przesadził krawędź ekranu i zniknął. Dwugłowy Jul poruszył się w fotelu.

- Siedź spokojnie! - krzyknął groźnie Atos.

- A ty nie krzycz na mnie - odezwała się kłótliwym tonem lewa głowa. - Za młody jesteś, żeby na mnie krzyżeć... Jestem ze dwieście razy od ciebie starszy, w porównaniu ze mną możesz być co najwyżej przecinkowcem...

- To panu nie pomoże - zaprotestował sucho Atos, ale ponieważ w owych czasach młodzież już miała we krwi szacunek dla starości, dodał: - Rozumiem, niewygodnie siedzieć tak w pętach, ale sam pan sobie winien. Zresztą zaraz zbliży się nasza eskadra. Przekażę pana dowódcy, tam będzie wygodniej...

- Jak sądzisz, powiesz mi?

- Nie wiem. Jakoś nie zastanawiałem się nad podobną możliwością. Ale w końcu, czemuż by nie?

- Nic z tego! - oznajmił ze złośliwą satysfakcją Dwugłowy Jul.

- A to dlaczego?

- A dlatego, kochany, że komputer mojej „Piranii” leży w drzazgach i teraz po tej stronie bariery podprzestrzennej nikt poza mną nie zna współrzędnych Planety Łotrów.

- Jakiej planety?

- Planety Łotrów. Naszej bazy.

- Zapomina pan, że mamy również innych jeńców...

- Cha-cha! Ka, Ki, Ku i ten mały zdrajca nie tylko o współrzędnych - oni o zwykłej arytmetyce nie mają pojęcia. Na liście wypłat odbiór swojej części łupu krzyżykami podpisują. Tak, że bądź spokojny, mój wrogu, jestem niezastąpiony i będziecie musieli się z tym liczyć.

Atos nie znalazł odpowiedzi. Rzeczywiście, ziemskie eskadry miały za zadanie wdrzeć się na karkach piratów w najbliższe okolice głównej bazy kosmicznych łotrów i zmusić ją do kapitulacji. I jeżeli dwugłowy pirat nie kłamał (a jeśli się zastanowić, to po co miałby kłamać), położenie poważnie się komplikowało.

- Ale być może pod groźbą kary śmierci...

- Zapomnij o tym. Masz do czynienia ze starym i kutym na cztery nogi kosmicznym wilkiem. Walczyć się nie oduczyliście, trzeba przyznać, ale jeśli chodzi o karę śmierci... Nie! Odwieziecie mnie do siebie na Ziemię, umieścicie w doskonałych warunkach, a ja będę wspominał przeszłość i cierpiał targany wyrzutami sumienia. Być może nawet lekko oszaleję, ale później, otoczony powszechną opieką zresocjalizuję się i wszystko wówczas opowiem ze łzami w trojgu oczach...

Zza ekranu tymczasem wyszedł na konsolę Aramis z Gałą na rękach. W ślad za nim wskoczył do kabiny Jaturkenzensirchiw zwycięsko wymachujący zwojem sznurka. Aramis ostrożnie ułożył dziewczynę w fotelu drugiego pilota. Jej głowa bezwładnie opadła na piersi. Opuchnięte od łez oczy miała zamknięte.

- Omdlenie - powiedział Aramis. - Straciła dużo sił, nadenerwowała się, umęczyła...

- Nic jej nie będzie - burknął Dwugłowy Jul. - Wiem dobrze, żelazna dziewczyna! Takie królów brały pod pantofel, imperia na zatrofę skazywały... Ech, nie rozgryzłem jej w porę, nie domyśliłem się, stary dureń...

Aramis tylko spojrzał na niego mimochodem i ciągnął, zwracając się do Atosa:

- Zresztą, o ile się znam na medycynie, to nic poważnego. Podałem środek uspokajający, za dziesięć minut napijemy ją bulionem z kury i mocną herbatą, a tymczasem, należy przypuszczać, nadciągnie eskadra z lekarzem... A teraz - ten puchaty lizus przekazał mi informację pierwszorzędnej wagi. Poddany trójwymiarowej kontrakcji fragment Zielonej Doliny wraz z całą ludnością jest zapakowany w piętnaście kontenerów, które mają w ładowni... I mam wrażenie, że łotry ze sto lat zajmują się podobnym rozbojem w zamieszkałych światach!

- Mogę sobie wyobrazić - powiedział ponuro Atos i z nienawiścią spojrzał na Dwugłowego Jula. - Ale cała bieda w tym, że nie uda się nam od razu dobrać do ich gniazda.

Aramis uniósł brwi i już otworzył usta, żeby zadać kolejne pytanie, ale w tejże chwili w kabinie zahuczał władczy głos:

- Uwaga „Strzegący” Mówi dowódca eskadry! Widzę was! Widzę obok was obcy okręt! Co się zdarzyło? Zameldujcie o sytuacji!

Atos podszedł do mikrofonu.

- Dowódco eskadry, słyszymy was. „Strzegący” melduje. Dwadzieścia siedem minut temu piracki okręt nagle zatrzymał się i jego załoga w składzie pięciu... hm... różnorodnych istot, wykorzystując nie znany nam trick techniczny wtargnęła do kajuty „Strzegącego”...

Wysłuchawszy uważnie meldunku Atosa admirał powiedział:

- Zrozumiałem cię, „Strzegący”. Gratuluję całkowitego zwycięstwa. Wasz meldunek przekazaliśmy na Ziemię Radzie Światowej. Podchodzę do was. Przygotujcie się do przyjęcia lin. Natychmiast po przycumowaniu zabieram na pokład Galę na badanie lekarskie i w celu zaaplikowania pełnego odpoczynku. Przejmuję również wszystkich jeńców, a przede wszystkim dwugłowego herszta, aby go dokładniej przesłuchać. Przygotujcie się do przyjęcia i przeprowadzenia do ładowni pirackiego okrętu grupy rozładunkowej w składzie piętnastu robotów i dwóch inżynierów. Sądzę, że pierwszy etap naszej wyprawy można uznać za zakończony. Przed przystąpieniem do drugiego etapu...

- Przed przystąpieniem do drugiego etapu, szanowny dowódco eskadry-admirale, będziesz musiał wrócić z niczym na Ziemię! - ryknął Dwugłowy Jul. - Uzbrójcie się w cierpliwość, Ziemianie, klnę się na purpurową Protuberę i siną Nekrydę, że się wam przyda!...

Zaśmiał się i zachłysnął kaszlem, zginając się w fotelu. Atos z litości walnął go pięścią w szerokie plecy.

- Co do jednego mogę was pocieszyć, mistrzowie walki na pięści - ciągnął Dwugłowy Jul. - Po tamtej stronie bariery podprzestrzennej współrzędne waszej zielonej planety znałem też tylko ja jeden. Żadna żywa dusza ich tam więcej nie zna. Tak więc, dopóki macie mnie u siebie, możecie się nie niepokoić!...

- Dziękuję, nie niepokoiimy się - powiedział uprzejmie Aramis i Jaturkenzensirchiw, przez cały ten czas ocierający się o jego nogi, zachichotał służalczo.

12.

Oto jak się stało, że po raz pierwszy ziemskie eskadry musiały powrócić na ojczystą planetę nie dobrawszy się do pirackiego gniazda. Dwugłowy Jul nie skłamał (zresztą, jeśli się zastanowić - po co miałby kłamać): nikt z jego załogi nie miał pojęcia nie tylko o współrzędnych Planety Łotrów, nie tylko o współrzędnych w ogóle, ale nawet o zwykłej tabliczce mnożenia. I nawet tego nie żalowali. Radiooperator Ka, biały jaszczur w niebieskie kropki, potrafiący z jednakową zręcznością przemieniać się i w wielkiego białego ptaka, i w kupę zmurszałych belek, interesował się wyłącznie grą w karty. Kanonier Ki, monstrualna rozgwiazda władająca zdumiewającą właściwością mimikry,

nie umiał liczyć nawet do dwóch i ciągle mylił przesłuchującego go admirała z Dwugłowym Julem. Kwatermistrz Ku, dziwny małpiszon, lękający się temperatur pokojowych, lecz całkowicie obojętny na mróz międzygwiazdnych przestrzeni, przejmował się jedynie swoją kolekcją złotych monet i drogocennych kamieni, którą to kolekcję przechowywał w mieszkach policzkowych i częściowo w żołądku. A maleńkie ciało Jaturkenzensirchiwa, zawodowego szpiega, którego nosi się ze sobą, było po uszy nafaszerowane instynktem samozachowawczym.

Co się zaś tyczy Dwugłowego Jula, to oczywiście wiedział wszystko, ale wszystkimu zaprzeczał i żadne perswazje, groźby i apele do resztek sumienia nie mogły złamać jego uporu. Żadnych Wielkich Ośmionogów, Majstrów Kregów i Mchtandów na oczy nie widział i po raz pierwszy o nich słyszy; demaskującą opowieść Gali określił od początku do końca jako majaczenie wywołane niefortunną chorobą dziewczyny; komputer pokładowy zniszczył wcale nie dlatego, że ów zbuntował się i zatrzymał okręt, ale z całkowicie zrozumiałej chęci zachowania w tajemnicy współrzędnych ojczystej planety, którą to planetę chciał obronić przed wtargnięciem agresywnych Ziemiaków; do kradzieży części ziemskiego terytorium wraz z ludnością, zwierzętami i światem roślinnym chętnie się przyznaje, ale...

- Spójrzcie na istoty rozumne, z którymi byłem zmuszony mieć do czynienia! - darł się patetycznie, wskazując na przestraszonych Ka, Ki, Ku i Jaturkenzensirchiwa. - Spójrzcie na nich, a pojmiecie, jak samotny byłem zawsze. Stęskniłem się do podobnych mi nosicieli intelektu, choćby nawet z inną ilością głów. Szukałem po całym Wszechświecie i odczułem wielką radość odkrywając ich na Ziemi. Tak, ukradłem tysiąc ludzi. Ale w jakim celu? Chciałem przewieźć ich na ojczystą planetę, pod krwawoczerwoną Protuberę i trupiosiną Nekrydę, i bez burz pożyć wśród nich spokojnym, szczęśliwym życiem...

Jednym słowem bezczelnie łgał i pożytku nie było zeń żadnego. Na domiar wszystkiego, kiedy mu się znudziły kłamstwa, zagroził, że odgryzie sobie oba języki i dano mu spokój. Dowódca eskadry po naradzie z Ziemią wydał rozkaz powrotu.

Dni popłynęły swoją koleją. Ukradzona połowa Zielonej Doliny z całą jej ludnością, zwierzyzną i szatą roślinną wróciła na swe pradawne miejsce i zaczęła żyć jak przedtem szczęśliwie. „Czarną Piranię”, po oczyszczeniu z wypełniającego ją wielowiekowego brudu i paskudztwa, przyholowano do Księżyca i umieszczono pośrodku krateru Archimedesza pod przezroczystą kopułą ze spektrolitu; początkowo specjaliści interesowali się nią, próbując przeniknąć tajemnicę strzaskanego eksplodującymi kulami komputera pokładowego, po czym dali spokój. Dwugłowego Jula, po odbyciu wyznaczonej kwarantanny psychologicznej, osiedlono na niewielkiej wysepce pochodzenia wulkanicznego, gdzie pirat pozostaje po dziś dzień, oddając się tworzeniu różnego rodzaju nowych kompozycji kulinarnych z siarki, wulkanicznego popiołu i pumeksu; chodzą słuchy, że związał się blisko z miejscowymi fokami i lubi im opowiadać o swoich niezwykłych przygodach. Ka, Ki i Ku wprosiły się na Marsa i nie bez powodzenia występują na estradzie domu kultury jednego z tamtejszych miasteczek; wkrótce po ich przybyciu z pobliskiej fermy drobiowej zaczęły często ginąć kury, ale dobroduszni Marsjanie patrzą na to przez palce.

Pewnego razu (a było to już w rok po opisanych wypadkach) w jasny, słoneczny dzień skrajem

szerokiej szosy przecinającej Zieloną Dolinę, obok kwitnących sadów i zieleniących się łąk, obok przytulnych domków i ażurowych pawilonów, przez strumienie i rzeki, po garbatych mostkach i po prostu w bród pędziło konno troje jeźdźców. Na przedzie mknęła Gala z Jaturkenzensirchiwem na ramieniu, a za nią galopowali Atos i Aramis. Jeden za drugim uciekały do tyłu słupki kilometrowe z czarnymi cyframi na białych emaliowanych tabliczkach: 117... 118... 119...

Przy słupku na sto dwudziestym kilometrze osadzili konie i postali chwilę spoglądając na obelisk z czarno-czerwonego marmuru naprzeciwko akacjowego gaju, po czym stępa ruszyli w dalszą drogę. Gala strząsnęła z rzęs łzę; dała Jaturkenzensirchiwowi lekkiego prztyczka w nos i powiedziała:

- Wszystko zaczęło się tutaj, nieprawdaż, mały łotrze?

Jaturkenzensirchiw pisnął obrażony:

- Ja wcale nie jestem łotrem. Ja się dawno poprawiłem. Jakiś czas jechali w milczeniu. Potem Aramis oświadczył swoim zwykłym, cichym głosem:

- Odczuwam głęboką potrzebę odwiedzenia Planety Łotrów.

- A ja nie umrę, dopóki nie porozmawiam z Wielkim Ośmionogiem i Majstrem Kregiem - wycedził przez zęby Atos.

Gala odwróciła się do nich.

- Jedźmy szybciej - powiedziała. - Dziadek nie lubi, kiedy się spóźniamy...

Puścili konie galopem i po chwili słupek z cyfrą 121 pozostał w tyle.

Operacja Itai-itai

1.

Na skraju skrajów wspaniałej surowej krainy, gdzie ocean od milionów już lat bezskutecznie szturmuje niezniszczalne skały, a podziemny ogień od czasu do czasu bezsilnie usiłuje podpalić nabrzmiące deszczem i śniegiem chmury, daleko od przejezdnych dróg i ruchliwych portów stoi stara tawerna „Samotna Konwalia”.

Nikt nie wie już, i nawet nikogo nie interesuje, kiedy i po co wzniesiono niepozorną budowlę z upstrzonego mchem i porostami betonu, z długimi, wąskimi oknami w narożnikach i zardzewiałą żelazną rurą tkwiącą pośrodku płaskiego dachu. Ale w wilgotnej mgle i w nocnym mroku przytulnie promienieje złocisty szyld.

Zmarznięty wędrowiec - pilot transportującego drewno sterowca czy pasterz wielorybów, któremu dokuczyła ciasnota jego łodzi podwodnej, surowy geolog czy padający ze zmęczenia turysta, włóczęga-malarz czy weterynarz z tajgi - schodzi po wyrąbanych w skale szerokich stopniach, otwiera dębowe drzwi i wkracza do zalanej światłem izby; rozcierając zeszywniałe dłonie ogląda wyłożone wyblakłym brązowym plastikiem ściany, wytarty czerwony dywan, sufit pomalowany tak, żeby udawał głęboki błękit nieba. Jego spojrzenie zatrzymuje się mimo woli na ognisku, w którym wesoło potrzaskuje gorący płomień, na prostych drewnianych stołach i drewnianych taboretach, na zastawionych szkłem i porcelaną półkach kredensu; nozdrza jego zziębniętego nosa rozdymają się, chłonąc niezwykle smakowite zapachy świeżo upieczonego chleba i ciastek waniliowych, baraniej polewki z czosnkiem i pieczonej wieprzowiny, wszelkich możliwych kiszzonek i marynat. A oto zza liliowej portiery wyłania się gospodarz, dziadek Witioma, były nadzorca stacji termojądrowej - wielki, życzliwy, uśmiechnięty - wyciąga na przywitanie potężne ramiona i oznajmia głębokim basem:

- Serdecznie witamy, nisko się kłaniamy. Proszę się rozebrać, usiąść przy ognieku, a ja podam na poczęstunek szklaneczkę grzanego wina... Tak, przyjaciele. Życie jest piękne. Brak słów, żeby opowiedzieć, jak wspaniale jest po sytej kolacji posiedzieć przy ognisku, w roztargnieniu przysłuchując się wyciu nocnego wichru w kominie i odwiecznemu, głuchemu rykowi fal, a potem rozpaczliwie ziewając i przecierając klejące się powieki zejść do sypialni i spocząć na miękkim łóżku, w wykrochmalonej pościeli pachnącej świeżym sianem. Dziadek Witioma jest człowiekiem niezwykle gościnnym i nie ukrywa tego.

W dzień, gdy zaczęły się niezwykle wydarzenia opisane w niniejszej części naszej prawdziwej bajki, w ów słotny, jesienny dzień, dziadek Witioma miał doprawdy niezwykle szczęście. Goście hurmem sypali się do „Samotnej Konwalii”. I to jacy goście! Jako pierwszy zjawił się stary przyjaciel dziadka Witiomy, wędrowny chirurg Staruszek Sasza; łomocząc gigantycznymi buciorami wtargnął do tawerny, cisnął w kąt lśniący od jesiennej wilgoci płaszcz z kapturem i nie

mówiąc ani słowa skierował się prosto do ogniska - sapiąc i wzdychając zabrał się do suszenia przy ogniu przemoczonej brody. Dziadek Witioma stanął nad nim ze swoją zwyczajową szklanką w pogotowiu. Kiedy z brody buchnęły kłęby pary, Staruszek Sasza po raz ostatni wzburzył ją wszystkimi dziesięcioma palcami, opadł na drewniane oparcie i oznajmił:

- Uch!

Dziadek Witioma niezwłocznie wcisnął mu do ręki szklankę. Staruszek Sasza jednym łykiem wprowadził do przewodu pokarmowego ognisty płyn i oznajmił po raz drugi:

- Uch!

Po raz trzeci powtórzył ową czysto emocjonalną frazę, gdy usiadł do stołu i zajrzał do glinianego garneczka wypełnionego nader apetyczną mieszaniną duszonej cielęciny, ziemniaków i morskiej kapusty.

- Ależ pogoda dzisiaj, dziadku Witiomo! - stwierdził opróżniony garneczek do połowy. - Psia pogoda!

- Gdzież to byłeś, Sasza? - zapytał dziadek Witioma.

- A na Czarnej Skale, u tego dwugłowego kryminalisty. Znów z nim kiepsko.

Dziadek Witioma cmoknął współczująco i postawił przed gościem gliniany kufel z musującym kwasem chlebowym własnej roboty. Staruszek Sasza popił z kufla i ciągnął dalej:

- „Wy, Ziemianie” - mówi - „mnie nie wyleczycie. Umrę” - mówi - „na tej waszej Ziemi i będziecie mieć za swoje. Dla mnie” - mówi - „śmierć to nic specjalnego, a was zamęczą wyrzuty sumienia”.

Dziadek Witioma znowu cmoknął i zapytał:

- Co mu właściwie takiego jest? Nie dalej jak w tym tygodniu zajrzał do mnie, popił octowej esencji...

- No właśnie. Foki nauczyły go pływać i z radości stracił rozum. Opił się octu, zanurkował głębiej i ponoć ktoś go tam w głębinie rąbnął czymś twardym w prawą głowę, akurat w tę, co jej i bez tego jednego oka brakuje. Tak twierdzi on. Według mnie kłamie. Sam uderzył o jakąś skałę. Obejrzałem - faktycznie, ma guz na mózgu, pod kością ciemieniową...

- Coś podobnego!

- Oczywiście trzeba by operować, ale przecież jego anatomia jest całkiem odmienna od mojej i twojej. I krew ma zieloną, i kości czarne, i serca ma trzy, i w ogóle... Zwołam konsylium, tak że przygotuj się: lada dzień zbierze się u ciebie cały kwiat planetarnej medycyny i weterynarii... Pozaplanetarnej zresztą może również.

- Oczywiście będę bardzo rad. Ale czy nie prościej odwieźć go do Moskwy... albo, powiedzmy, do Kalkuty?

Staruszek Sasza dopił kwas i pokręcił głową.

- Nie chce. Proponowałem już, prosiłem, nawet groziłem. Za żadne skarby. „Na Czarnej Skale” - mówi - „trzy latka cierpiałem z waszej łaski i na Czarnej Skale umrę. Pośród moich” - mówi - „jedynych przyjaciół - szlachetnych fok...”

W tejże samej chwili drzwi rozwarły się ponownie i na progu, w obłoczku deszczowych kropeł

zjawił się wysoki, chudy człowiek w długiej do pięt nieprzemakalnej pelerynie, z wąską, kościstą twarzą pokrytą niezwykłą, szarobrązową opalenizną, po której bezbłędnie rozpoznaje się ludzi pracujących w Głębokim Kosmosie. I rzeczywiście, gdy nieznajomy przywitał się i zdjął pelerynę, ukazał się spod niej czarno-srebrny mundur Floty Kosmicznej. Na widok naszywki na prawym ramieniu i znaczka w kształcie czerwonej flagi nad lewą górną kieszenią bluzy Staruszek Sasza z szacunkiem uniósł się zza stołu: miał przed sobą admirała Floty Kosmicznej i członka Rady Światowej.

- Witajcie, przyjaciele - powiedział dźwięcznym głosem nieznajomy, przyglądając dłońmi siwe włosy. - Pozwólcie się przedstawić - admirał Macomber, dowódca trzeciej eskadry kosmicznej. Nie przeszkadzam?

- Ależ skądże, skąd... - zmieszał się Staruszek Sasza, a dziadek Witioma tylko zamachał rękoma i pospieszył nalać osławionemu admirałowi grzanego wina.

- Nie pamiętasz mnie, dziadku Witiomo? - spytał kosmonauta przyjmując szklankę. - Trzydzieści... nie, trzydzieści dwa lata temu w czasie lotu treningowego miałem awarię, byłem zmuszony katapultować się i spadłem w tajdze jakieś czterdzieści kilometrów stąd. Z trudem się wówczas do ciebie dowlokłem, dwa dni mnie oddechowiwałeś... Nie pamiętasz?

- Akurat zapamiętasz wszystkich! - odparł beztrąsko dziadek Witioma. - Trzydzieści lat! Przez ten czas tyłu was tu z nieba naspadało, nawypęzało z oceanu, z tajgi się naschodziło, że nikt by nie zdołał zapamiętać... Proszę, admirale, siadaj i czuj się jak u siebie w domu. I lepiej powiedz, czym cię ugościć?

- Wszystko jedno czym. A zresztą, chwileczkę... Gdyby się znalazło lekko opieczone udko utuczzonego indyka w goździkowym sosie, z kropelką ekstraktu żurawinowego... i filiżaneczka żółtowego bulionu... Znajdzie się? Wspaniale.

Dziadek Witioma pospieszył do kuchni, a słynny admirał łyknął nieco grzanego wina i popatrzył przyjaźnie na Staruszkę Saszę.

- A pan jak się tu znalazł, młody człowieku? - spytał.

- Właściwie jestem miejscowym chirurgiem - powiedział nieśmiało Staruszek Sasza. - Właściwie odbywałem obchód... dokładniej mówiąc oblot... no i wpadłem na chwilę.

- Wspaniale! - wykrzyknął admirał Macomber. - Dopisuje mi dziś niezwykle szczęście! A powiedz, mój miły chirurgu... - tu odstawił szklankę i ponad stołem, dotykając piersią blatu i spoglądając Staruszkowi Saszy prosto w oczy zapytał półgłosem: - Powiedz, mój miły chirurgu, czy przypadkiem nie masz pacjenta na wyspie zwanej Czarną Skałą?

Staruszek Sasza nawet nie zdążył się zdziwić - nowe i o wiele silniejsze wrażenie całkowicie przegnało z jego głowy zagadkowe zainteresowanie dowódcy trzeciej eskadry kosmicznej i członka Rady Światowej dwugłowym jeńcem z Czarnej Skały. Albowiem drzwi otworzyły się znowu i do tawerny wbiegła, składając parasolkę, najcudowniejsza dziewczyna, jaką Staruszek Sasza przez całe swoje niezbyt długie życie miał okazję zobaczyć w oryginale, a nie na ekranach, czy też na fotografiach ilustrowanych czasopism. Nieznajoma miała zarumienioną od jesiennego chłodu twarz, wielkie zielone oczy, wijące się kasztanowe włosy... Jednym słowem była to dziewczyna

jego, Saszy, marzeń. Zachwyty, jaki eksplodował w piersiach młodego chirurga wkrótce zresztą został przyćmiony: w ślad za dziewczyną wkroczył do tawerny ponurawy dryblas w na wskroś przemoczonym szarym kombinezonie mistrza, potężny niczym dąb, z danymi zewnętrznymi, które, jak to natychmiast i z goryczą zauważył Staruszek Sasza, biły na łeb najpiękniejsze brody świata.

- Gala - przedstawiła się dziewczyna ślicznym głosem.

- Atos - rzekł po chwili zwłoki dryblas.

- O! - zawołał kosmiczny admirał Macomber wstając z ławy. - Kogo ja widzę!

Ale w tejże chwili zza liliowej portiery wyszedł promieniejący zachwytem dziadek Witioma z dwoma parującymi szklankami w rękach.

- Serdecznie zapraszamy! - rzekł. - Rad jestem... Ależ całkiem przemokliście, moi drodzy! Do ognia, do ognia! Wypijcie to. Wypij, dziewczyno, od razu się rozgrzejesz... Siadajcie przy ogniu, obsuszycie się, a ja pomyślę, czym wam trafić do gustu...

- Wybaczcie, wpadliśmy tylko na chwilę - powiedziała zmieszana dziewczyna, ściskając w drobnych dłoniach szklankę. - Chcieliśmy jedynie zapytać...

- Tak, powinniśmy ruszać dalej - przerwał jej ponurawy Atos. - Dzień dobry, admirał Macomber. Dziwne, myślałem, że jest pan na Plutonie i przygotowuje wyprawę do układu Fomalhauta.

- A ja myślałem, że ty tkwisz na Tajmyrze i montujesz kolejny łańcuch słońcowodu - odparował z dziwną intonacją admirał Macomber.

- Galu, oto admirał Macomber - powiedział Atos, nie odrywając upartego spojrzenia od kosmonauty. (Ależ spojrzenie! pomyślał z zazdrością Sasza) - Pamiętasz admirała Macombera, Galu? Prawda, byłaś wówczas nieprzytomna. To dowódca trzeciej eskadry kosmicznej.

Gala wydała radosny okrzyk i nim Staruszek Sasza zdążył westchnąć, objęła Macombera i głośno ucałowała go w oba policzki. Macomber ze wzruszeniem poklepał ją po plecach.

- Rad jestem widzieć cię żywą i zdrową, dziecinko - rzekł. - A więc postanowiliście powłóczyć się po staruszce Ziemi?

- Myśmy... - zaczęła Gala, ale Atos ponownie jej przerwał:

- Oczywiście admirał Macomber żartuje - powiedział zimno. Staruszek Sasza nic nie rozumiał. Dziadek Witioma - również.

Tyle, że dziadek Witioma miał się czym zająć. Dziadek Witioma rzucił się w wir walki. Oznajmił, że w ciągu najbliższej godziny pod groźbą śmiertelnej obrazy nikt nie ośmieli się opuścić „Samotnej Konwalii”. Pociągnął Galę do stołu i usadził ją. Prawie na siłę wcisnął Atosa w drewniany fotel przed ogniem. Przyniósł admirałowi Macomberowi udko utuczonego indyka z odpowiednimi przyprawami i filiżanką znakomitego żółtowego bulionu. Z niewiarygodną dokładnością określił, że Gala koniecznie musi się posilić miską zupy cebulowej i skrzydełkiem kuropatwy, a Atos może zniszczyć do wyboru albo kotlet po kijowsku, albo duszoną kapustę z mięsem z patelni.

- Poza tym wszystkich poczęstuję wyśmienitymi czardżujskimi melonami - zakończył. - Dopiero co wczoraj przyjaciel-malarz przysłał mi dziesięć.

Staruszek Sasza już doszedł do siebie po pierwszych wstrząsach i nawet zaczął wygładzać brodę, ale spokój nie był mu sądzony. Nie wiadomo skąd na ramieniu ślicznej Gali pojawił się dziwny, puszysty zwierzaczek: wielkości dwóch pięści, biały jak śnieg, z czerwonymi ślepkami - ni to kociak, lecz z bardzo krótkim ogonkiem, ni to króliczek, lecz z bardzo małymi uszkami. Zwierzaczek rozejrzał się rzeczowo i zapiszczał:

- A co ja dostanę?

- Ba! I ty jesteś tutaj, mały bandyto? - zawołał ze śmiechem admirał Macomber. - Jak ci się żyje u nas na Ziemi?

- Dziękuję, czuję się na waszej planecie całkiem znośnie - odparł sucho zwierzak. - Jednakże pozwolę sobie zauważyć, że nazywając mnie bandytą jest pan w głębokim błędzie.

- To Jaturkenzensirchiw - niezupełnie zrozumiale wyjaśnił admirał Macomber wstrząśniętemu dziadkowi Witiomie i osłupiałemu Staruszkowi Saszy. - Były szpieg, którego nosi się przy sobie. Daj mu mleka z twarogiem, dziadku Witiomo. Jeśli mnie pamięć nie myli, to smakuje mu u nas najbardziej.

- Dziękuję, admirale - powiedział z godnością Jaturkenzensirchiw. - I nieco lipowego miodu, jeśli się znajdzie...

Dziadek Witioma klasnął w potężne dłonie i oddalił się do kuchni, a admirał Macomber, zwracając się ponownie do Gali i Atosa, rzekł:

- A więc cała drużyna w komplecie. Dokładniej - prawie cała. Gdzież podziewa się zacny Aramis?

- Straciliśmy go z oczu rok temu - powiedziała smutno Gala. - Nie powiedział nam ani słowa i gdzieś zniknął. Regularnie przysyła życzenia z okazji urodzin i świąt, ale gdzie jest - zupełnie nie wiadomo. Mówią, że niedawno widziano go na Marsie...

- Na Marsie? Tak - tak... - powiedział w zamyśleniu admirał. - No więc ręczę wam: nie dziś to jutro znów go zobaczycie.

- Gdzie? - spytali chórem Gala, Atos i Jaturkenzensirchiw.

- Tutaj, ma się rozumieć - odparł admirał i z zimną krwią zabrał się za indycze udko.

Nastąpiło milczenie, po czym Atos zapytał:

- Dlaczego pan tak myśli, admirale?

- Ja po prostu jestem pewien. Wszak pozostali trzej piraci mieszkają na Marsie.

Ponownie zapanowało milczenie. Staruszek Sasza zdecydowanie nic nie rozumiał i z wysiłku nawet rozchylił usta, czego, nawiasem mówiąc, dzięki jego bujnej brodzie nie było widać.

- Dobrze, admirale Macomber - powiedział w końcu Atos, wstał i odwrócił się plecami do ognia. - Poddaję się. Złapał nas pan. Owszem, wybraliśmy się na Czarną Skałę zobaczyć Dwugłowego Jula. Ale skąd pan to wie? Śledził nas pan czy jak?

- O mnie później - oświadczył ogryzając kostkę słynny kosmonauta. - Kontynuuj, zacny Atosie. Skąd się dowiedzieliście, że Dwugłowy Jul jest poważnie chory?

- Dzięki Jaturkenzensirchiwowi - powiedziała Gala i puszysty zwierzak na jej ramieniu napęczniał z poczucia ważności. - Okazuje się, że utrzymuje z Julem ciągły kontakt telepatyczny.

Przedwczoraj odebrał telepatemę, że Jul zachorował i prosi, żebyśmy go odwiedzili.

- I oto jesteśmy - zakończył Atos. - Jak pan widzi, wszystko jest bardzo proste, admirale.

Kosmonauta dopił grzane wino, starannie otarł serwetką wargi i palce, i powiedział:

- Chcecie to wierzyć, chcecie nie wierzyć, przyjaciele, ale nie miałem pojęcia, że zobaczę was tutaj. Ze mną sprawa przedstawia się jeszcze prościej. Widzicie, ze służbowej powinności zobowiązałem pewną osobę do pilnowania wszystkiego, co dzieje się na Czarnej Skale. I oto trzy dni temu pewien mój... hm... znajomy pasterz wielorybów przekazał otrzymaną od zaprzyjaźnionego delfina informację, jakoby wśród miejscowych fok krążyły słuchy...

Nagle umilkł, jak gdyby coś sobie przypomniał i zwrócił się do Staruszka Saszy:

- Powiedz, miły chirurgu, w jakim stanie zastałeś dziś Dwugłowego Jula?

Staruszek Sasza odchrząknął. Staruszek Sasza wygładził brodę na prawo i na lewo. Staruszek Sasza powiedział:

- Trudno stwierdzić coś kategorycznie mając do czynienia z istotą o tak obcej nam konstrukcji. Lecz jeśli sędzić na podstawie nastroju, bólów, jakie odczuwa, a zwłaszcza na podstawie wyglądu guza na mózgu, jego stan nie może nie budzić poważnych obaw.

- Z Dwugłowym jest bardzo, bardzo źle! - wypiszczął Jaturkenzensirchiw. - On się obawia, że umrze.

Admirał popatrzył pytająco na Staruszka Saszę.

- Zgonu nie można wykluczyć - przyznał chirurg.

- Na to właśnie liczę - rzekł admirał Macomber. Wszyscy ze zdumieniem wlepili weń wzrok. - Tak, przyjaciele, nie przejęczyłem się. Nie zapominajcie, że gdzieś w dalekim Kosmosie dalej kwitnie sobie Planeta Łotrów - odrażające gniazdo kosmicznego rozboju, nieustająca groźba dla wszystkich pokojowych cywilizacji. Jeden tylko Dwugłowy Jul w całym znanym Wszechświecie wie, gdzie się owa planeta znajduje, lecz do chwili obecnej uparcie milczał. Być może teraz, w obliczu śmierci, odczuje skruchę albo znuży go dochowywanie tajemnicy...

- Jak pan może tak mówić, admirale! - krzyknęła z oburzeniem Gala. - Człowiek jest ciężko chory, umiera w niewoli, daleko od ojczyzny, a pan...

Staruszek Sasza zobaczył w jej ślicznych oczach łzy i zadrżał. Ale admirał surowo ściągnął siwe brwi.

- Milcz, głupi dzieciaku! - ryknął głosem, którym przypuszczalnie rozkazywał „Eskadra, w szyku zwrot!” - Co mnie obchodzi życie i śmierć jednego łotra, gdy spoczywa na mnie odpowiedzialność za bezpieczeństwo ojczystej planety i setek innych bratnich światów? A któż to wie, ile jeszcze zła zdołał wyrządzić Wielki Ośmionóg ze swoją bandą przez te trzy lata, gdy dwugłowy drań chłodził się wśród morsów na Czarnej Skale? Ojczyzna, mówicie? Ten podlec nie ma i nie może mieć ojczyzny! To przeklęty zdrajca wielkiego bractwa rozumu we Wszechświecie i swoją winę może odkupić tylko w jeden sposób...

- Ma pan całkowitą rację, admirale Macomber! - rozległ się u drzwi nowy głos.

Wszyscy słuchali jak zaczarowani gniewnej przemowy słynnego admirała, nawet dziadek Witioma, zastygły koło liliowej portierny z patelnią i miską w rękach, i nikt nie zauważył, że w

tawernie pojawił się jeszcze jeden gość. Zjawił się całkiem bezgłośnie, nie usłyszał go nawet były szpieg Jaturkenzensirchiw ze swoim superwyostrzonym słuchem, znajdował się wewnątrz już od dobrych paru chwil - najwidoczniej również słuchał. Stał zgarbiony, oparty piersią o ciężki stalowy oścień - wysoki młodzieniec w czerwono-białym, przylegającym do ciała skafandrze płetwonurka przeznaczonym dla polarnych szerokości geograficznych, z bardzo bladą, urodziwą twarzą, w której wyróżniały się wielkie zielone oczy. Oczy wydały się Staruszkowi Saszy uderzająco znajome. Z młodzieńca kapąło na potęgę i wytarty dywan pod jego nogami solidnie przemókł.

- Aramis! - krzyknęła radośnie Gala i, przeskoczywszy stołek, zawisła mu na szyi.

- Aramis! - powiedział ze zdumieniem Atos.

- Aha, oto i Aramis - stwierdził z zadowoleniem admirał Macomber.

- A ja od dawna wiedziałem, że Aramis przyjdzie - pisał Jaturkenzensirchiw chwytając się włosów Gali, żeby w zamieszaniu nie spaść na ziemię.

Staruszek Sasza oczywiście nic nie powiedział, a dziadek Witioma, któremu wszystko było obojętne poza apetytem gościa zahuczał z powagą:

- Witamy serdecznie, drogi Aramisie! Cieszę się, że znowu cię goszczę w „Samotnej Konwalii”.

- Witajcie, przyjaciele - rzekł Aramis ciskając do kąta swój ciężki oścień. - Witaj, krewniaczk - powiedział obejmując niezrównaną Galę. - Witaj, Atosie, sto lat się nie widzieliśmy! Witam, admirał Macomber, jak zwykle przybywa pan jak najbardziej w porę. Witaj, dziadku Witiomo. Witaj i ty, mały szpiegu!

- Już od dawna nie jestem szpiegiem - zaprotestował obrażony Jaturkenzensirchiw.

Aramis zręcznie przytknął go w podobny do guzika nos.

- A kto skrywał przed wszystkimi, że komunikuje się bezpośrednio z Dwugłowym Julem?

Nie minęła minuta i skafander płetwonurka znalazł się w kącie obok ościenia, a zagadkowy Aramis w czarnym treningowym trykocie i ze szklanicą grzanego wina w ręku zasiadł przed ogniem.

Dziadek Witioma znowu pomknął do kuchni przyrządzać oszałamiający pilaw, a tymczasem Staruszek Sasza miał wątpliwą przyjemność brania udziału w przedstawieniu, którego sensu nie pojmował ani trochę.

- Przypuszczalnie jesteś tu z tego samego powodu co i my - powiedział Atos, chmurząc się lekko.

- Niewątpliwie - odparł Aramis i popatrzył na kosmonautę. - Jak widzę, pan również nie tracił czasu na próżno, admirał Macomber?

- Dziękuję za komplement - skłonił się kosmonauta.

- Prosto z Marsa? - prostodusznie poinformowała się Gala.

- No, niezupełnie prosto...

- W jaki sposób dowiedziałeś się, że Dwugłowy Jul zachorował i wzywa nas? - spytał bez ogródek Atos.

- Nie ma w tym nic dziwnego - rzekł zza portiery bas dobrego dziadka Witiomy. - Czcigodny Aramis zjawił się akurat na dzień przed tym, jak dwugłowemu przydarzyło się nieszczęście.

- Ach, a więc nawet tak... - powiedział słynny admirał. Wpatrywał się Aramisowi prosto w oczy. - Czy pozwolisz, czcigodny Aramisie, że zapytam, co robiłeś przez cały rok na Marsie?

- Dobre pytanie - roześmiał się Aramis. - Pozwolę. Męczyłem się z naszymi piratami. Uczyłem jaszczura Ka czytać; wpajałem rozgwieździe Ki reguły społecznego współzycia; oduczałem małpiszona Ku kradzenia kur, a nawet złotych monet.

- Czyżby coś się udało? - zapytał z niedowierzaniem Jaturkenzensirchiw.

- No cóż, nigdy nie miałem gorliwszych uczniów. Ani tępszych, nawiasem mówiąc...

- A poza tym?

- Co - poza tym?

- Co poza tym porabiałeś z naszymi piratami?

- Proszę posłuchać, admirale! - rzekł gniewnie Aramis. - Chyba nie podejrzewa pan, że ukradkiem podburzałem ich do buntu i zatknięcia na Fobosie czarnej flagi z trupa czaszką?

- Ależ skąd, czcigodny Aramisie! Zwykła ciekawość. Po prostu uderzył mnie zbieg okoliczności: znikasz na Marsie na cały rok, potem zniemacka pojawiaasz się w okolicach Czarnej Skały - i proszę, na drugi dzień Dwugłowy Jul rozbija sobie głowę!

- Nie takie rzeczy się zdarzają - powiedział dziadek Witioma stawiając na stole talerz superaromatycznego pilawu. - Bardzo proszę, drogi Aramisie, częstuj się.

Aramis podziękował i siadł za stół. Jakiś czas wszyscy przyglądali się, jak je - przymykając z rozkoszy oczy i z widocznym wysiłkiem powstrzymując się przed napychaniem ust do pełna. Jasne było, że czcigodny Aramis potężnie wygłodniał.

- W jaki sposób dowiedziałeś się, że tu jesteśmy? - spytał nagle Atos.

Aramis wzruszył ramionami i przełknął kolejną porcję pilawu.

- Muszę przyznać, że nawet obecność admirała Macombera niezbyt mnie zdziwiła. A co się tyczy ciebie i Gali, to kilka godzin temu rozmawiałem z Dwugłowym Julem i on mnie poinformował o waszym przyjeździe... - Odsunął talerz i odłożył serwetkę. - A więc tak, przyjaciele. Dwugłowy Jul oczekuje nas jutro o dziewiątej rano na Czarnej Skale z zamiarem odbycia prywatnej i nader ważnej według jego mniemania rozmowy. To znaczy oczekuje Gali, Atosa i mnie, ale jak rozumiem pan również się przyłączy, admirale Macomber?

- Oczywiście, czcigodny Aramisie - powiedział spokojnie słynny admirał. - Domyślam się, o czym Dwugłowy Jul zamierza z wami rozmawiać, i jeśli się nie mylę, oznacza to, że nie na darmo porzuciłem swoje sprawy na dalekim Plutonie.

- A teraz - powiedział Aramis wstając zza stołu - proszę wszystkich o wybaczenie. Dotarłem tu z Czarnej Skały wpław i niezgorzej się zmęczyłem. Za waszym pozwoleniem i z aprobatą dobrego dziadka Witiomy wezmę prysznic i pójdę spać. Dobranoc, do jutra.

Już ruszył w stronę wjazdu prowadzącego do dolnych pomieszczeń, ale ponownie zatrzymał się.

- O mało nie zapomniałem! Słyszałem pańską odpowiedź mojej pechowej krewniczce, admirale Macomber, i chcę raz jeszcze powtórzyć, że w pełni się zgadzam z pańskim poglądem na sprawę. Dobranoc.

I zniknął we włazie. Admirał milczał. Staruszek Sasza spojrzał nań i zauważył, że kosmonauta

patrzy w kąt. Staruszek Sasza również popatrzył w kąt i zobaczył zostawiony przez Aramisa oścień. Ciężki, stalowy oścień.

Staruszek Sasza nie wiedział i za ledwie mętnie mógł się domyślać, że jego niezwykle dwugłowy pacjent z Czarnej Skąły popełnił przeciwko ludzkości takie przestępstwo, za które trzysta lat wcześniej powieszono by go za obie szyje; że śliczna dziewczyna siedząca za stołem naprzeciwko i kręcąca w zamyśleniu kulki z chleba była u owego przestępcy w niewoli i o mało nie zginęła; że chmurny mistrz, siedzący przy ogniu z pogrzebaczem w ręku, i zagadkowy Aramis, który dopiero co zszedł do sypialni, w stoczonym ze zbrodniarzem bezpośrednim starciu uratowali od straszliwego losu tysiąc ludzkich istnień; że dowódca trzeciej eskadry kosmicznej a zarazem członek Rady Światowej Macomber nie zdołał złamać uporu przestępcy i po raz pierwszy w swoim długim życiu nie wypełnił rozkazu Ziemi.

Tak, wydarzenia, które miały miejsce trzy lata przedtem, a zostały opisane w pierwszej części naszej historii, przeszły jakoś obok Staruszka Saszy. Trzeba powiedzieć, że w naszych czasach, pełnych wielkich i dziwnych cudów, trudno prześledzić wszystko, co się dzieje we Wszechświecie, a Staruszek Sasza zdawał wówczas egzaminy na dumny tytuł praktykującego chirurga i w dodatku kibicował rodzimej drużynie „Ziemian z Marsa”. I któż mógłby mieć mu to za złe? Czy ktokolwiek wie na przykład, że w zeszłym roku Staruszek Sasza wraz z przyjacielem, wielorybim weterynarzem Kawabatą rozdzielał potężnego kaszalota Chrika i rozjuszonego kalmara Sylwestra, którzy zwarli się w śmiertelnym boju na głębokości dwóch kilometrów, a potem operował poranionego Kawabatę wprost na wąskim pokładzie łodzi podwodnej?...

Gala wstała i przetarła piąstką oczy.

- Jaki dziwny zrobił się Aramis - powiedziała.

- Tak. Dziwny - potwierdził Atos i również wstał. - Pora spać. Czuje moje serce, że jutro zacznie się coś dziać.

2.

Czarna Skąła jest w rzeczywistości wielkim garbem czarnego bazaltu, miliony lat temu wytłoczonym przez siły wulkaniczne z głębin na powierzchnię oceanu. Położone wokół szczytu garbu szczeliny i skalne stopnie upatrzyły sobie krzykliwe kłótnice - mewy, na północnym brzegu zadomowił się liczny foczy ród, któremu przewodził słynny w okolicy Filka, a stok południowy Rada Światowa wyznaczyła trzy lata temu na miejsce pobytu wziętemu do niewoli kosmicznemu rozbójnikowi. W bazaltowej masie wytopiono przestronną czteropokojową pieczarę, trzy izby napełniono siarką, pumeksem, różnymi pirytami i innymi delicjami (oczywiście ani kropli rtęci), a w czwartej, ze wspaniałym widokiem na południowy horyzont, postawiono wymontowany z „Czarnej Piranii” fotel z niezwykle szerokim oparciem, uprzednio jak należy zdezynfekowany, zdezynsekwany i zdezaktywowany.

Przez pierwszy rok były wolny pirat prowadził życie nader zamknięte i całymi tygodniami nic

nie robił, a jedynie w ponurym odosobnieniu żarł swoje piryty odwrócony szerokachnymi plecami do oceanicznych przestworów: najwidoczniej nasza zielona planeta ze swą czerwoną krwią, chlorofilem, wodą i powietrzem mocno go mierzyla. Pod koniec pierwszego roku przywyknął, a może swoje zrobiła nuda. Zaczął regularnie wychodzić na powietrze i nieoczekiwanie dla siebie samego zasmakował w jaskach mew, zdobywanych za cenę wielkiego wysiłku i niemałego ryzyka, jako że alpinista był z niego kiepski. Zaczął nawet wchodzić do oceanu - nie głębiej niż po pas, bo wody wciąż bał się, a i pływać wcale nie potrafił, i równie dla siebie samego nieoczekiwanie zasmakował w morskiej kapuście, zawierającej jak wiadomo dużo jodu. W wodzie zetknął się i wkrótce zaprzyjaźnił z fokami, i sprawy potoczyły się zupełnie dobrze. W owym czasie Dwugłowy Jul odczuwał już na tyle ostrą potrzebę towarzystwa, że foczy ród mógł się go nie obawiać. Niańczył oseski, opowiadał młodzieży wstrząsające wyobraźnią historie o kosmicznych bitwach i prowadził ze starym, doświadczonym Filka długie rozmowy o filozoficznym oraz moralno-etycznym charakterze.

Z kim przestajesz, takim się stajesz. Powolutku Dwugłowy Jul nauczył się pływać. Zresztą nie okazało się to takie znów trudne. Odkrył, że oceaniczna woda zawiera całą masę pożywnych soli i stary pirat w swoje dni dietetyczne zaczął zastępować śniadanie, obiad i kolację długimi kąpielami. A pół roku temu po raz pierwszy pokonał wpływ pięćdziesięciokilometrową cieśninę i ostrożnie wsunął lewą głowę w drzwi tawerny „Samotna Konwalia”. Wypada nadmienić, że dziadek Witioma nawet nie mrugnął okiem na widok dwugłowego człowieka. Nie mrugnął, nawet kiedy ów dwugłowy człowiek odmówił zjedzenia doskonałej kaszy gryczanej i zażyczył sobie popiołu z dogasającego ogniska. Popiwszy popiół butlą stężonego octu podziękował i wyszedł, ale po tygodniu znowu powrócił. A po następnym znowu... Dla octowej esencji w „Samotnej Konwalii” niegodziwiec opuścił swoich przyjaciół - foki. Do dnia, kiedy to wyciągnęły go z wody z dziurą w prawej głowie...

Kiedy równo o dziewiątej rano Gala z Jaturkenzensirchiwem na ramieniu, admirał Macomber oraz dwóch muszkietierów przestąpili próg pieczary na Czarnej Skale, Dwugłowy Jul siedział w swoim fotelu z nogą założoną na nogę i rękoma skrzyżowanymi na piersi. Prawie się nie zmienił w przeciągu minionych trzech lat, nawet jego czarne ubranie i czarne rękawice wytworzone przez nieznaną mistrzów na nieznaną światach, nawet kabury straszliwych pistoletów, które przyniosły zgubę nieszczęsnemu Mchtandowi i jego rodakom, pozostały takie same. Jedynie z prawą głową coś było nie tak. Lewa, wygolona na zero, uszasta, dumnie tkwiła jak i trzy lata wcześniej na długiej, prostej szyi, i złośliwie błyskała oczami, ale prawa, niczym turbanem owinięta grubą warstwą bandaży, żałośnie opadła na bok, a jej jedyne oko spoglądało mętnie przez szczelinę spod opuchniętej, pozieleniałej powieki.

- Aha! - głuchym, okrutnym głosem rzekła lewa głowa. - Sami znajomi. Przyszli rzucić okiem, jak zdycha samotna istota rozumna. Cóż, gapcie się, będziecie mieli co wspominać w bezsenne noce, gdy mnie zabraknie. Przyjemnie popatrzeć na dzieło własnych rąk, nieprawdaż? Kogo to poszczuliście na mnie pod wodą? Jakiegoś żałosnego, tchórzliwego żółwia? Zawodowego zabójcę - narwala?...

Gali zrobiło się go żal do łez, ale Aramis niecierpliwie powiedział:

- Wezwałeś nas - jesteśmy. Podziękuj i nie odstawiaj komedii, Dwugłowy. Mamy mało czasu, ty zresztą również. Mów szybciej, co chciałeś powiedzieć.

Dwugłowy Jul włożył rękę do lewej kabury, wyjął garść drobnych morskich muszelek i napełnił nimi lewą paszczę. Rozległo się pochrupywanie, lewa głowa wypluła skorupki jak łupinki pestek i, skinąwszy w kierunku admirała Macombera, oznajmiła ponuro:

- Przy nim rozmowy nie będzie.

Aramis wzruszył ramionami.

- W takim razie rozmowy nie będzie w ogóle - powiedział i odwrócił się do wyjścia.

Słynny kosmonauta zatrzymał go gestem.

- Bądź rozsądny, Dwugłowy - rzekł surowo. - Nie zapominaj, że jesteś jeńcem. Nie możesz dyktować tutaj swoich warunków. Tutaj warunki dyktujemy my.

Wówczas lewa głowa wytrzeszczyła oczy i zaczęła krzyczeć. Krzyczała, że on, Dwugłowy Jul, jeńcem nigdy, nigdzie, ani u nikogo nie był i nie będzie, że oddał się w ręce Ziemian całkowicie dobrowolnie w nadziei, że w końcu znajdzie towarzystwo podobnych sobie, a prawdziwość jego słów mogą potwierdzić choćby ci oto chłopcy i ta oto dziewczynka, którym mógłby być prapraprapradziadkiem, a jeśli odmówią potwierdzenia, to znaczy, że są najpodlejszymi, najbardziej zakamieniałymi kłamcami w całym znanym Wszechświecie; że on, Dwugłowy Jul, weteran dalekich kosmicznych szlaków, cały pokryty bliznami od meteoratów, wrażeń kul i ukąszeń obcoplanetarnych potworów w niczym nie jest gorszy od jakiegoś tam admirała, co to okopał się na swojej trzeciorzędnej zielonej planecie i wyobraża sobie, że jest coś wart w porównaniu z nim, Dwugłowym Julem: że jego, Dwugłowego Jula, niejedną raz zdradzano w przeciągu setek lat burzliwego życia i pożytecznej działalności, tylko że zdrajcy nie żyli długo i bliska jest godzina, kiedy on, Dwugłowy Jul, zedrze z jednego z takich zdrajców puszystą białą skórę i każe sobie zrobić z tej skórki rękawicę na prawą rękę...

Krzyczał tak, klął i ryczał dość długo, co najmniej pięć minut. Aramis wyjął z kieszeni jakąś książkę i udawał pogrążonego w lekturze; Atos zaczął ziewać, uprzejmie osłaniając usta dłonią, Gala na wszelki wypadek skryła się cichaczem za jego plecami, a porażony strachem Jaturkenzensirchiw schował się jej za pazuchę; admirał Macomber zaś, krzywiąc się, przystąpił do obserwowania swoich paznokci. Potem nagle prawa głowa wyjęczała ochryple: „Na Protuberę i Nekrydę, czy skończysz kiedyś z tym przeklętym hałasem? Wszystko mnie już w środku rozboleło od twoich diabelskich wrzasków!...” I lewa głowa umilkła, łapiąc oddech.

- A więc? - jak gdyby nigdy nic nie zaszło zapytał Aramis, zamykając swoją książkę.

- Źle ze mną, przyjaciele - powiedziała lewa głowa i z ciężkim westchnieniem opadła na pierś. - Dni moje policzone. Przyznajmy szczerze - jestem trzy ćwierci od śmierci.

Wszyscy milczeli. Gala chlipnęła i strząsnęła z policzka łezkę.

- A więc wezwałem was, przyjaciele, żeby szczerze pogadać - ciągnął Dwugłowy Jul, powolutku nabierając ducha. - Krucho ze mną, na waszej Ziemi nikt mi pomóc, uwierzcie, nie może. Inaczej bym was w żadnym wypadku nie wzywał. Ale skoro moje sprawy tak stoją, że

pozostaje już jedynie zdechnąć jak najędzniejszy pies, postanowiłem plunąć na wszystko i opowiedzieć szczerą prawdę. Albowiem, przyjaciele, nie ma sensu milczeć, skoro już widzę kres żywota...

- To już zrozumieliśmy - stwierdził zimno Aramis.

- W istocie, Dwugłowy - powiedział admirał Macomber. - Jesteś w końcu mężczyzną, chociaż łotrem. Nie maż się, nie lamentuj, tylko od razu przystępuj do sedna sprawy.

- Sedno, przyjaciele, w tym - powiedział zniższy głos Dwugłowy Jul. - Nie mam ochoty umierać, oto w czym sedno. A przecież nie żebym bał się śmierci. Widziałem wszystkie jej rodzaje: śmierć w ogniu, pośród lodów i głodową... Sam niemało zabijałem, mnie też zabijali... Nie, na śmierć się napatrzyłem i wcale się jej nie boję. Ale mimo to umierać nie mam ochoty.

Dwugłowy Jul aż oczy zmrużył z litości nad sobą.

- I oto teraz - ciągnął i ni to zaśmiał się, ni to chlipnął cichutko - została mi jedna jedyna szansa ratunku. To wielka tajemnica, u was żywa dusza o niej nie wie, ale ja ją wam odsłonię całkowicie i do końca. Tylko że najpierw muszę się do czegoś przyznać i macie zagwarantować, że wasze władze nie powieszają mnie potem za obie szyje.

- Żadnych gwarancji nie będzie - rzekł spokojnie admirał Macomber.

- To niby z jakiej parafii ja... - zaczęła z niezadowoleniem lewa głowa, ale prawa ochryple wyszeptowała jej na ucho:

- Nie strugaj głupka, nikt nas nie powiesi, skoro do tej pory tego nie zrobili.

- Dobra! - powiedział Dwugłowy Jul i z całej siły rąbnął pięścią w poręcz fotela. - Raz kozie śmierć! Polegam na waszej szlachetności, szanowni państwo! Uroczyście, dobrowolnie i szczerze przyznaję, że wszystkie sprawki, o których ten szkodnik Mchtrand opowiedział obecnej tu dziewczynce są najczystsą prawdą. I Planeta Łotrów, i Wielki Ośmionóg, oby zdechł, i Majster Kreg... i aparaty z żywych umysłów... i powód, dla którego na „Czarnej Piranii” zawitałem na Ziemię...

- Od samego początku wiedzieliśmy, że to najczystsza prawda - przerwał mu zniecierpliwiony admirał Macomber. - Proszę kontynuować, Dwugłowy. Proszę wyjawić nam swoją wielką tajemnicę.

- Wiedzieliście? - krzyknęła ucieszona lewa głowa. - Czemu nie powiedzieliście od razu? Wiedzieli i nie powiesili! Takie porządki macie na waszej Ziemi... No, jeśli tak, posłuchajcie.

Oto co powiedział Dwugłowy Jul.

Dawno temu, przed ponad tysiącem lat Modliszek Panda, jeden z najzuchwalszych rozbójników Wielkiego Ośmionoga, myszkując w poszukiwaniu zdobyczy po skraju Małego Obłoku Magellana natknął się na niepozorne pomarańczowe słońce z jedyną, ale za to kwitnącą planetą pokrytą fluorowodorowymi oceanami i gęstą atmosferą z mieszaniny fluoru i neonu. Zazwyczaj na podobnych światach jest się czym pożywić, jako że zamieszkują je z reguły liczni i bardzo pracowici nosiciele intelektu, ale ta akurat planetka, ku zdumieniu i rozczarowaniu Modliszka, była kompletnie pusta. To znaczy oczywiście jej lądy pokrywały gęste fioletowe lasy i żyzne liliowe pola, fluorowodorowe rzeki i oceany również kipiały życiem, ale rozumnych istot żywych na

planetce nie znaleziono. Ze złości Modliszek Panda chciał zrzucić na największy kontynent parę bomb tlenowych, ale pohamował się, bo na tlen na pograniczu Małego Obłoku Magellana nawet i teraz nie każdego stać, co dopiero wówczas. Musiał Modliszek plunąć na wszystko i zawrócić swoim krążownikiem od fluorowej planetki.

Po kilku godzinach piraci natknęli się na nieznaną statek kosmiczny idący przeciwnym kursem. Tym razem, wydawało się, sprawa była pewna. Statek natychmiast zaatakowano i wzięto abordażem. I jakże rozczarowany był ponownie Modliszek Panda, kiedy się okazało, że nie nowinki techniczne, nie dzieła sztuki i rzemiosła, nie sztaby złota zapełniały ładownie nieszczęsnego statku, ale łóżka-amortyzatory z chorymi i okaleczonymi nosicielami intelektu. Statek był transportowcem sanitarnym. Rozjuszeni piraci poczęli rąbać nieboraków białą bronią i na tym wszystko by się skończyło, gdyby Modliszek nagle się nie zastanowił: a właściwie dlaczego statek sanitarny z ładunkiem półżywych istot rozumnych leciał na pustynną fluorową planetkę? Rozkazał przerwać rzeź i doprowadzić do kajuty pozostałych przy życiu; przywleczono mu poranionego i ledwie żywego z powodu ran kapitana, podobnego do wielkiej mrówki, i na wpół martwego ze strachu sanitariusza podobnego do gigantycznego motyla. Modliszek Panda przesłuchiwał ich osobiście, w niczym się nie hamując. Co prawda kapitan-mrówka zmarł w trakcie przesłuchania, ale to, o czym uparcie milczał, pospiesznie zdradził motyl-sanitariusz.

Okazało się, że na północnym biegunie fluorowej planetki, pod kilometrową warstwą fluorowodorowego lodu mieszka jakiś lekarz-cudotwórca o imieniu Itai-itai. Doktor ów jakoby leczy wszelkie choroby i nawet odtwarza wszelkie utracone organy wszelkim nosicielom intelektu. Od wielu już tysięcy wiele setek cywilizowanych ras zamieszkujących wiele dziesiątków systemów planetarnych z okolic pomarańczowej gwiazdy wysyła swych nieuleczalnie chorych i okaleczonych obywateli doktorowi Itai-itai, i nie było jeszcze przypadku, żeby ktoś nie wrócił do domu całkowicie uzdrowiony. Zwraca uwagę fakt, że proces uzdrawiania trwa kilka minut a nawet sekund, a diagnoza stawiana jest momentalnie, na pierwszy rzut oka. Skąd się wziął doktor Itai-itai, jaka rasa go zrodziła, jak i kiedy usadowił się na owej samotnej planetce gwiazdy bez większego znaczenia - nikt nie wie, jako że pytań, nie mających związku z pracą, uzdrowiciel nie znosi. Nawiasem mówiąc uczniów doktor bierze chętnie, miał ich niezliczone mrowie, jednakże żaden nie był w stanie pojąć nawet początków zdumiewającej sztuki.

Zakończywszy przesłuchanie Modliszek Panda wydał rozkaz natychmiastowego powrotu na fluorową planetę. Reszta była kwestią techniki. Wkrótce cudownego doktora Itai-itai pojmano i umieszczono w najlepszej kajucie krążownika, a jego skryty pod lodem szpital oczyszczono do ostatniego skalpela i wysadzono przy pomocy atomowego detonatora. Trzeba powiedzieć, że powierzchowność cudownego doktora wprawiła w zdumienie nawet jadających z niejednego pieca chleb piratów Głębokiego Kosmosu. Modliszek, który nie miał ani odrobiny wyobraźni i fatalnie się wysławiał, opisał go jako „takie okrągłe jak koło od woza albo i większe i jeszcze z jakimiś ogonami zamiast wszystkiego innego”. Z początku nawet nie uwierzył, że stoi przed nim właśnie cudowny doktor, a nie jakiś dziwaczny instrument medyczny. Nie uwierzył nawet wtedy, gdy cudowny doktor doszedł do siebie po przeżytym wstrząsie, i zaczął protestować i wymyślać. I

dopiero po uzyskaniu potwierdzenia sanitariusza-motyła uspokoił się i dał rozkaz startu. Nie, słowo „uspokoił się” jest niewłaściwe. Z zachwytu dosłownie wbiegł na sufit: jego wszechmocny pan, Wielki Ośmionóg, często zapadał na zdrowiu i za podobną zdobycz można by było zgarnąć niemałą nagrodę.

Ale wszystko wyszło niezupełnie tak, jak planował. Prawda, hojność Wielkiego Ośmionoga, w najwyższym stopniu przedsiębiorczego nosiciela intelektu, nader bogatego drania i nadzwyczaj wpływowej na Planecie Łotrów osobistości przeszła wszelkie oczekiwania. Zaznajomiwszy się z cudownym doktorem Itai-itai i sprawdziwszy jego sztukę na kilku niewolnikach porwanych w rozmaitych zakątkach znanego Wszechświata, Wielki Ośmionóg wydał Modliszkowi i jego załodze wspaniałą ucztę, na której, nawiasem mówiąc, podano galaretę z sanitariusza-motyła smażonego w stężonym kwasie siarkowym pod ciśnieniem siedemdziesięciu atmosfer; każdego nagroził swoim portretem w czterdziestofuntowych ramach z czystego złota, a samemu Modliszkowi Pandzie podarował poza tym nieduży asteroid. I pewnie wszystko skończyłoby się dla szczęściarzy dobrze, ale piraci Głębokiego Kosmosu mają swoje przyzwyczajenia. Od razu po wspaniałej uczcie u Wielkiego Ośmionoga rozpełzli się po portowych knajpach i spelunkach, i zaczęli rozpuszczać języki. I teź samej nocy wszyscy co do jednego zniknęli. Wierny zausznik i wykonawca wymagających największej zręczności poleceń Wielkiego Ośmionoga, niejaki Wstrst, usilnie rozpowszechniał plotkę jakoby Pandę i jego drużynę wysłano z pilnym zadaniem do centrum Wielkiego Obłoku Magellana, ale w kilka dni później ktoś znalazł oderwane kleszcze Modliszka w kupie śmieci na miejskim wysypisku, ktoś inny widział jeszcze coś...

- Jednym słowem, wszystko było jasne - zakończył Dwugłowy Jul. - I nigdy więcej nikt nie zobaczył cudownego doktora Itai-itai.

- Bardzo interesujące - powiedział po długim milczeniu admirał Macomber. - Ale być może to tylko legenda? Przecież minęło dziesięć wieków...

- Akurat legenda! - prychnęła pogardliwie lewa głowa. - Wielki Ośmionóg, ta bezkrotna kreatura, dawno już powinien zgnieć żywcem i zdechnąć na rozpad mózgu, a jest zdrowy jak rydz, żre i pije do woli i obraca trylionowymi sumami... Nie, sprawa jest jasna. Schował gdzieś cudownego doktora i leczy się u niego, kanalia, sam jeden. Przed wszystkimi nosicielami intelektu takiego lekarza ukrył! - ryknęła nagle straszliwym głosem lewa głowa i umilkła.

- Wszystko ślicznie - powiedział zimno Aramis. - A teraz mów, po co to wszystko naplotłeś.

- Jak to po co? - wykrzyknął z oburzeniem Dwugłowy Jul. - Jasne po co! Cudowny doktor to moja jedyna szansa ratunku! Bo co mi jest potrzebne, przyjaciele? Muszę tylko wrócić na Planetę Łotrów. Tam padnę Wielkiemu Ośmionogowi do stóp, zapłacę jak nowo narodzona foka, załkam niczym mewa przed burzą, skłamię, że zraniono mnie, gdy walczyłem o jego interesy i przekonam, żeby pokazał mnie cudownemu doktorowi Itai-itai. Wielki Ośmionóg oczywiście ulituje się i po chwili będę zdrow.

- I to wszystko?

- Co znaczy „wszystko”? Przecież rozumiem, że i wy musicie pilnować swoich interesów. Dowiedziawszy się, gdzie przebywa cudowny doktor porywam go i dostarczam prościutko do

waszych rąk. Szybko, bez hałasu i dokładnie jak w aptece. Po czym znowu i już ostatecznie osiedlam się w tej jaskini i spędzam resztę swych dni pośród bliskich memu sercu fok. Mogę nawet obiecać na przyszłość nie wchodzić nigdy do oceanu w nietrzeźwym stanie. Piękny plan, nieprawdaż, przyjaciele? Ale na tę okazję zwróćcie mi moją „Czarną Piranię” i moich oddanych przyjaciół Ka, Ki, Ku i Jaturkenzensirchiwa, a poza tym zamontujcie na „Piranii” elektroniczną aparaturę nawigacyjną...

- A tyśdziesiątka odpowiadających technicznym warunkom głów na dodatek nie potrzebujesz? - przymilnie zainteresował się Aramis.

Atos zaśmiał się krótko i ostro, a admirał Macomber wyszczerzył w złowieszczym uśmiechu mocne zęby.

- Ach tak, rozumiem - powiedział domyślnie Dwugłowy Jul. - Jasne, przyznaję, na razie nie mam prawa liczyć na wasze pełne zaufanie. Cóż, zgadzam się zabrać ze sobą waszą dziewczynkę Galę, niech pilnuje, żeby wszystko odbyło się honorowo...

Atos zaśmiał się ponownie.

- Rzeczywiście, co za brednie pan plecie! - powiedziała gniewnie Gala. - Wstyd słuchać.

- Nie można wam dogodzić - burknął Dwugłowy Jul i zamyślił się. Po chwili wykrzyknął jakby olśniony - Oczywiście, przyjaciele, czemu od razu o tym nie pomyślałem! Nie ufacie Ka, Ki i Ku. Słusznie nie ufacie. To dzielne zuchy, ale... jakby to wyrazić? Krótko mówiąc rzeczywiście w pewnych sytuacjach są do niczego. Brzęk złota, rozmaite pokusy... Dobrze, jestem gotów lecieć bez załogi. Polecimy we dwójkę z Galą. Umowa stoi?

- A teraz, Dwugłowy, pomówmy poważnie - powiedział rzeczowym tonem admirał Macomber. - Wszyscy zdajemy sobie sprawę, do czego dążysz. Chcesz żyć, to całkiem zrozumiałe. Masz nadzieję dotrzeć do Planety Łotrów, zebrać tam bandę podobnych sobie zuchwałych drani, napaść na rezydencję Wielkiego Ośmionoga i siłą zawładnąć cudownym doktorem. Też całkiem zrozumiałe. Ale przecież to głupota. Najprawdopodobniej cała awantura skończy się tak, że ktoś znajdzie twoje oderwane kleszcze na miejskim wysypisku.

- Nic nie mam do stracenia - odparła ponuro lewa głowa. - Tak czy owak jedna śmierć. A ryzyko, jak wiadomo, czasem może się opłacić. O moje życie nikt poza mną się nie zatroszczy.

- Wręcz przeciwnie! - zaoponował admirał Macomber. - Proponujemy inny plan. Podajesz nam współrzędne Planety Łotrów, lecimy na nią w sile trzech eskadr kosmicznych i zajmujemy to gniazdo nikczemności. Hersztów aresztujemy, niewolników oswobadzamy, a cudownemu doktorowi umożliwiamy powrót na jego fluorową planetę. W nagrodę doktor w jednej chwili cię uzdrawia. Umowa stoi?

- Mam zdradzić swoją planetę? Swoich braci w rzemiośle i towarzyszy broni? Przyjaciół z bitew i od butelki? - zakrzyknął Dwugłowy Jul i normalnym głosem dodał - z przyjemnością. Ale jest jeden problem, panie admirał. Jak tylko wasze eskadry pojawią się w okolicach krwawoczerwonej Protubery i trupiosinej Nekrydy, natychmiast namierzą je strażnicze placówki i podniosą alarm. Jak tylko podniesie się alarm, ruszy na was cała zjednoczona flota Planety Łotrów. Rozpocznie się gigantyczna bitwa. Założmy, że zwyciężycie, w życiu nie widziałem takich zuchów

jak Ziemianie. Ale słabo znacie Wielkiego Ośmionoga. Zanim zdążycie się desantować, po nim już nawet ślad ostygnie. A zarazem i po cudownym doktorze Itai-itai. Tak się sprawy mają, panie admirale. Nie, przez strażę przejdzie tylko „Czarna Pirania”. Już ją tam znają, i pamiętają moją brygantynkę...

Admirał Macomber spojrział na Atosa i Aramisa i muszkietierowie skinęli głowami.

- A więc proponujemy jeszcze jeden plan, ostatni - powiedział słynny kosmonauta. - Oddajemy ci „Czarną Piranię” i montujemy na niej komputer pokładowy. Dajemy również załogę. Tylko czemu koniecznie Ka, Ki i Ku? Tym razem na Planetę Łotrów polecą z tobą Ziemianie. Twoim nowym kwatermistrzem będę ja. Twoim nowym kanonierem - Atos. A twoim nowym radiooperatorem zostanie Aramis.

Gala, żeby nie krzyknąć ze strachu, przycisnęła palce do ust. Dwugłowy Jul kręcił w oszołomieniu lewą głową. Nawet prawa głowa szeroko otworzyła jedyne oko.

- Kiedy „Pirania” przetnie orbitę Plutona, oznajmisz Wielkiemu Ośmionogowi, że miałeś awarię - ciągnął tymczasem admirał Macomber. - Wylądujesz na swoim zwykłym miejscu na kosmodromie. Zaprosisz na pokład agentów Wielkiego Ośmionoga w celu przyjęcia ładunku. Dalej będziemy działać zależnie od okoliczności. Od momentu startu do powrotu na Ziemię dowodzić będę ja. W przypadku najmniejszej niesubordynacji - rozstrzelanie na miejscu według praw Dalekiego Kosmosu.

- Oho, ale ostro... - mruknął Dwugłowy Jul.

- I miej na uwadze, Dwugłowy - ciągnął admirał - żadnych głupich sztuczek! Bez nas zobaczysz cudownego doktora jak... - chciał powiedzieć „jak własne uszy”, ale umilkł i machnął ręką. - Jednym słowem przewiduję, że będziemy musieli dotrzeć do samego serca legowiska Wielkiego Ośmionoga.

- Ech! - wycodził przez zęby Dwugłowy Jul. - Żebyście wiedzieli, gdyby nie to, że sprawy tak się potoczyły, od razu wszystkich was bym na miejscu skasował...

- Wiemy, wiemy - przerwał ze zniecierpliwieniem admirał Macomber. - Nie przechwalaj się, bo inaczej przedsięwziemy odpowiednie środki... Na przykład popatrzymy, co tam masz pod czarną opaską na prawej głowie!

- Dobra, dobra - mruknął Dwugłowy Jul. - I tak jasne, że jesteście górą. Rzeczywiście, ten plan pasuje mi najbardziej. Z wami, przyjaciele, góry poprzenosimy. Sam jeden bym sobie oczywiście nie dał rady... A więc kiedy zaczynamy?

Admirał Macomber już był otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale nagle przerwał mu Aramis.

- Powiedz, Dwugłowy - zapytał - czy to prawda, że doktor Itai-itai może ożywiać umarłych?

Wszyscy popatrzyli na niego. Głowy Dwugłowego Jula wymieniły spojrzenia i również wpatrzyły się w Aramisa.

- Z choinki się urwał, a na wesele trafił - powiedziała lewa głowa. - Co o tym wiesz?

- Prawda czy nie? - swoim zimnym jak noc polarna głosem spytał Aramis.

- Chodziły podobne słuchy... - odparła niechętnie lewa głowa. - Gadało się po knajpach i tawernach... A co tobie do tego?

- Aramis, skąd wiesz o doktorze? - poderwała się Gala, ale Atos położył jej na ramieniu dłoń i umilkła.

- A więc prawda czy nie?

Lewa głowa skrzywiła się i Dwugłowy Jul podrapał ją po potylicy.

- Jakby to powiedzieć... Był jeden pre-ce-dens. No właśnie, był. Ze trzysta lat temu. Ma Wielki Ośmionóg takiego jakby sekretarza, starucha Wstrsta. Pewnego razu Wesoły Pluskwiak - jest u nas jeden taki - wrócił z bogatym ładunkiem i ów Wstrst orznął go przy rozrachunku... a może zaszło między nimi coś innego. Krótko mówiąc: Wesoły Pluskwiak wyciągnął pistolet i wpakował we Wstrsta cały magazynek, setkę pocisków eksplodujących. Wstrst naturalnie leży i dymi, Wesoły wziął nogi za pas... Zresztą nie o nim mowa. Na własne oczy widziałem, jak zbierali Wstrsta po kawałku i ponieśli wyprawić pogrzeb, a w tydzień później patrzę ja i tymże samym własnym oczom nie wierzę - znowu Wstrst paraduje głową do dołu i trąbę wystawia... A więc wychodzi na to, że cudowny doktor i umarłych wskrzesza. Ale chyba to nas specjalnie nie dotyczy, co?

Już go nie słuchali. Gala z zachwytem i lękiem spoglądała na Aramisa, Atos z czułym smutkiem patrzył na Galę, a mały Jaturkenzensirchiw gładził po cichu Galinę włosy. Admirał Macomber z uwagą przyglądał się swoim paznokciom. Aramis z trudem złapał oddech.

- Jasne - powiedział. - Tak. W cuda nie wierzę. Ale na „Czarnej Piranii” poleci razem z nami Portos.

Gala wydała cichy okrzyk. Atos uniósł ręce, żeby ją przytulić, ale zaraz odstąpił krok do tyłu i ręce opadły.

- Trzy lata spoczywa Portos w spektrolitowej kapsule na sto dwudziestym kilometrze - ciągnął jednostajnym głosem Aramis. - Przyjaźń nade wszystko, Atosie. Przyjaźń jest silniejsza od miłości, krewniaczko. On oddał za nas życie i spróbujemy zwrócić dług.

Admirał Macomber nachmurzył się.

- Poważnie zamierzasz zabrać w Kosmos martwe ciało, drogi Aramisie? - zapytał.

- Było to moim zamiarem od samego początku, admirale Macomber - odparł Aramis.

Słynny kosmonauta wzruszył ramionami.

- No dobrze - powiedział. - Wszystko jasne, Dwugłowy?

- Cóż prostszego! - warknął Dwugłowy Jul. Czuł się nieswojo. - A więc kiedy startujemy?

- Dadzą ci znać - powiedział admirał.

- Tylko miejcie na uwadze jedno! - ryknął nagle Dwugłowy Jul.

- Gdyby nie to, że oberwałem od was w głowę, za żadne skarby bym się nie zgodził na podobną awanturę!

- Mamy na uwadze - odezwał się złowieszczo Aramis. - My przez cały czas wszystko mamy na uwadze, piracie!

Admirał Macomber ruszył ku wyjściu z jaskini, reszta w milczeniu poszła w jego ślady. Weszli na ślizgacz, admirał włączył silnik i nieważka łódź, powoli nabierając prędkości, odbiła od brzegu. Powyciągane nie opodal na płaskich kamieniach foki cichutko śpiewały starą pieśń, podchwyconą przez ich dalekich przodków gdzieś za oceanem:

W daleką drogę, niebezpieczną, wyprawił się MacNay. I myśli, dureń, że na świecie on najmądrzejszy jest...

A kiedy ślizgacz przepłynął obok nich, jedna z fok posłała za nim przyspiewkę ułożoną przez Dwugłowego Jula:

Ja-turken-žen-sirchi-wiec! Param-param-pam-pam! Tyś mały jest parszywiec! Param-param-pam-pam!

Jaturkenžensirchiw udał, że nie słyszy.

3.

Powoli, na najmniejszych obrotach, opromieniona krwawoczerwonym blaskiem Protubery i trupiosinym światłem Nekrydy siadała „Czarna Pirania” na nabitym po brzegi latającą zastawą kosmodromie Planety Łotrów. Wracała z dalekich wędrówek po Wszechświecie po raz tysięczny i pierwszy, ale nigdy jeszcze na jej pokładzie nie było równie schludnie i czysto. Przez trzy lata na Księżycu, z otwartymi na oścież włazami, gruntownie się wywietrzyła, troskliwie roboty asenizacyjne starannie wyskrobały ją i wylizały tak od wewnątrz jak i z zewnątrz, a przed samym startem Gala, zalewając się łzami, udekorowała sterownię i kajuty wielkimi bukietami nigdy niewiędnących niezapominajek. I nigdy jeszcze na pokładzie „Czarnej Piranii” nie było równie niezwyklej załogi. Dwugłowy Jul, ongiś słynny wolny pirat, a obecnie zaledwie kapitan tytularny, chmurnie siedział w słynnym swoim fotelu, oburącz podtrzymując całkiem już opadłą z sił prawą głowę. Komenderował wszystkim dowódca trzeciej eskadry kosmicznej i członek Rady Światowej, słynny admirał Macomber, w dodatku ze wszędobylskim Jaturkenžensirchiwem na ramieniu. Przy nowym elektronicznym nawigatorze, nie odstępując ani na krok, dyżurował niewzruszony Aramis, a przy działach laserowych, nie zdejmując nogi z pedału urządzenia spustowego, siedział mroczny Atos. I nigdy jeszcze nie było w ładowniach „Czarnej Piranii” równie niezwyklego ładunku. Tuż przy włazie towarowym spoczywała na sprężynowych linkach mocujących przezroczysta spektrolitowa skrzynia, a w niej zalane ciekłym argonem leżało ciało Portosa - wyprostowane, jakby w ostatnim wysiłku, z szeroko otwartymi martwymi oczami, z pięściami przyciśniętymi do bioder.

Jeszcze w podróży, na krótko przed wejściem w podprzestrzeń, gdzie, jak wiadomo nie istnieją ani czas, ani ruch, ani odległość, Dwugłowy Jul na rozkaz admirała Macombera połączył się z Wielkim Ośmionogiem. Traf chciał, że w tym samym momencie Wielki Ośmionóg łączył się z niejakim Katem Trytonem, odkomenderowanym, o ile się można było domyślić, z zadaniem wyciśnięcia daniny ze zniewolonego ludku jakiejś prowincjonalnej planetki, i załoga „Czarnej Piranii” niemało się uśmieła z rozgardiaszu, który z tego wyniknął. Zerkając z wyrzutem na admirała Macombera siedzącego naprzeciwko z pięćdziesięciostrzałowym blasterem na kolanach Dwugłowy Jul przez bite pięć minut tłumaczył swemu byłemu pracodawcy, że będąc Dwugłowym Julem i wolnym piratem w żaden sposób nie może być zarazem atamanem karnej ekspedycji Katem

Trytonem, w związku z tym nie jest w stanie wydzielić grupy krążowników do manewru w stronę systemu Pstrego Słońca i w związku z tym nie będzie potrzebował wsparcia Dicka Eleganta. Przyjawszy w końcu do wiadomości, że rozmawia z nim zaginiony bez wieści przed trzema laty wolny pirat Dwugłowy Jul - Wielki Ośmionóg oniemiał ze zdziwienia. A Dwugłowy Jul skorzystał z pauzy i zaczął informować go o swych niedolach. W jaskrawych barwach odmalował swoje wyczyny w starciach z wielką flotą przeklętych Ziemiaków; z łkaniem opowiadał, jak to bohaterską śmiercią legli na polu bitwy wierni Ka, Ki i Ku; suchymi wojskowymi słowami opisał manewr, przy pomocy którego udało mu się oderwać od prześladowców; i na koniec, przerywając sobie jękami i zgrzytaniem zębów, rozsmarowując po lewym obliczu prawdziwe łzy poskarżył się na straszliwe cierpienia, jakich przyczynia mu śmiertelna rana w prawej głowie.

- Czekaj, Dwugłowy - w niejaki oszołomieniu rzekł Wielki Ośmionóg - gdzieżeś przepadał przez całe te trzy lata?

Dwugłowy Jul odparł, że w potyczce jego brygantynę wzdłuż i wszerz pocięły na plasterki laserowe działa, i że całe te trzy lata co do ostatniego dnia były mu potrzebne, aby załatać pancerz i wyremontować uszkodzone silniki. Oczywiście, dodał z goryczą, kto inny na jego miejscu, będąc skazanym na nieuniknioną śmierć od śmiertelnej rany, nie przejmowałby się, a po prostu osiadł na jakimś pustynnym asteroidzie i bez zbędnych kłopotów spoczął wiecznym snem na dnie samotnego krateru, ale on, Dwugłowy Jul, zbyt przywykł wypełniać swoje obowiązki i postanowił najpierw dostarczyć na miejsce przeznaczenia zamówiony ładunek...

- A więc ładunek ocalał? - krzyknął Wielki Ośmionóg swoim niskim, tłustym głosem. - Od tego trzeba było zaczynać! Zuch z ciebie, Dwugłowy, pochwalam. Resztę opowiesz po powrocie, teraz nie mam czasu. Bądź zdrow.

- Bądź zdrow, Wielki! - ryknął Dwugłowy Jul, i na tym seans łączności zakończył się.

Admirał Macomber schował blaster do kieszeni i krzyknął do Atosa, żeby ów zablokował aparaturę radiową.

Przy podchodzeniu do Planety Łotrów radio zresztą odblokowano ponownie i ledwo rufa „Czarnej Piranii” zetknęła się z wypalonym, pokrytym szczelinami betonem pomiędzy pogiętym latającym samowarem i nadpękniętym latającym spodkiem, pod sufitem rozległ się zgrzytliwy głos Wstrsta, wiernego zauszniaka i wykonawcy najbardziej skomplikowanych poleceń Wielkiego Ośmionoga:

- Wielki wiesz ci szczęśliwego powrotu, Dwugłowy...

- Ładny mi szczęśliwy powrót! - rzekła sarkastycznie lewa głowa. - Jak to mówią, wojnę przegrał i głowy pół stracił...

- Cha-cha-cha! - zaniósł się Wstrst skrzypiącym śmiechem. - Niezły żart, Dwugłowy. Ale musisz się zgodzić, że to drobiazg. Najważniejsze, że uratowałeś towar i dowiozłeś cały i nienaruszony. Bo przecież cały i nienaruszony?

- Cały i nienaruszony - potwierdziła lewa głowa.

- No widzisz. Reszta jakoś się ułoży, mogę cię zapewnić. Przekazuję polecenie Wielkiego: nie oddalać się od statku, przygotować wszystko do wyładunku, czekać.

Admirał Macomber lufą pięćdziesięciopięciorzutowego blastera szturchnął Dwugłowego Jula pomiędzy łopatki. Lewa głowa krzyknęła z oburzeniem:

- Cześć? A na co czekać? Z jakiej niby racji mam czekać? Przekaż Wielkiemu, że w każdej chwili mogę zemrzeć! Lekarz mi potrzebny, a nie czekanie! Przekaż mu, że potrzebny mi najlepszy lekarz, zrozumiałeś? I to zaraz!

- Dobrze, Dwugłowy, zaraz przekażę - zgrzytnął Wstrst i nagle zapytał przymilnie - a czemuż to nie działa twój ekran w komorze abordażowej?

Admirał Macomber ponownie szturchnął Dwugłowego Jula lufą między łopatki, ale ten odtrącił lufę łokciem i ryknął jeszcze głośniejsze:

- Na krwawą Protuberę i śmiertelnie bładą Nekrydę, ty co, nie wiesz, gdzie byłem? Wydaje ci się, że te przeklęte dzieci tlenu, chlorofilu i czerwonej krwi częstowały mnie moim ulubionym rtęciowym koktajlem? Gdybyś zobaczył ich chociaż jednym okiem, ze strachu całe futro na grzbiecie by ci wyliniało! Dziękuj, że komorę abordażową rozwaliło mi bezpośrednim trafieniem, gdyby nie to, nie zostałaby z ciebie mokra plama, ledwie byś wcisnął tutaj swoją trąbę! Nikt nie wejdzie na pokład mojej brygantyny, dopóki nie zbada mnie najlepszy lekarz na planecie! Tak przekaż Wielkiemu: żadnego rozładunku nie będzie. Znam ja was, przedsiębiorczych nosicielei intelektu! Dopóki nie będzie doktora, towaru nie dostaniecie. Wszystko jasne?

- Wszystko jasne - złowieszczko krótko odparł Wstrst i wyłączył się.

Dwugłowy Jul naskoczył na admirała Macombera. I to jak! Widać rozmowa z zausznikiem i wykonawcą najbardziej skomplikowanych poleceń rzeczywiście doprowadziła go do hysterii. Szalał. Parskał śliną i tupał nogami. Zatkanął palcami uszy prawej głowy i ryczał tak, że Jaturkenzensirchiw ledwo się trzymał na ramieniu słynnego kosmonauty. Co sobie wyobraża ten admirał-dowódca? Jak śmie jego, Dwugłowego Jula, szturchać w plecy jakimś żelastwem? Co za maniery, czy on w ogóle ma pojęcie o dobrym wychowaniu? Skoro go swędzą ręce, niech szturcha żelastwem w plecy jakichś tam Ziemiaków! I niech wie ten admirał-dowódca... i dalej w podobnym duchu.

W trakcie owych przedłużających się i nie powiązanych ze sobą wynurzeń, gdy Dwugłowy Jul szalał, tupał i pluł, admirał Macomber przyglądał się swoim poznokciom, a Jaturkenzensirchiw mrużył ślepkę i wtulał puszystą głowę w puszyste ramiona, do kabiny nawigacyjnej wszedł bez szmeru Aramis, włączył iluminatory i zaczął kolejno przechodzić od jednego do drugiego badając okolicę. Należy zauważyć, że iluminatory na „Czarnej Piranii” były przezroczyste tylko od wewnątrz, z zewnątrz w ogóle się ich nie widziało. Kiedy Dwugłowy Jul umilkł, Aramis zapytał, nie odwracając się:

- Poważnie liczysz na to, piracie, że Wielki Ośmionóg przyśle tu cudownego doktora Itai-itai?

- Akurat - odparł pogardliwie Dwugłowy Jul przyglądając się swoim palcom wskazującym i wycierając je o spodnie. - Prędzej padnie, niż przyśle!

- To zupełnie niemożliwe - potwierdził cienkim głosikiem Jaturkenzensirchiw. - Wielki Ośmionóg nie podejmie podobnego ryzyka choćby dlatego, że to przypuszczalnie jedyny lekarz na całej planecie.

- Jak to? - zdziwił się admirał Macomber.

- Właśnie tak - powiedział Jaturkenzensirchiw. - Widzicie, na Planecie Łotrów zebrali się przedstawiciele najrozmaitszych cywilizacji całego znanego Kosmosu. Rozumie się, że wcale nie najlepsi przedstawiciele. A w dodatku sprawiedliwość każe zaznaczyć, że nawet objawy wdzięczności u pewnych cywilizacji przyjmują czasem bardzo dziwne formy.

- Nie rozwlekaj, mały nicponiu! - powiedział Aramis, jak uprzednio nie odwracając się.

- Owszem, jestem mały - rzekł z godnością Jaturkenzensirchiw. - Ale już trzeci rok jestem poń. A co się tyczy istoty sprawy, to lekarzom po prostu planeta nie służy. Kupił sobie taki, załóżmy, praktykę, wyleczył z ran jednego, z wrzodu żołądka drugiego, z wewnętrznego krwotoku trzeciego, a czwarty, którego wyleczył z alkoholizmu, z wdzięczności wziął go i zjadł.

- Co ty mówisz! - przeraził się admirał Macomber.

- Mówię najszczerzą prawdę. Co tam zresztą daleko szukać! Weźmy na przykład obecnego tu byłego wolnego pirata Dwugłowego Jula...

- Zamilcz, zdrajco! - ryknęła lewa głowa. - A wy też dobrzy jesteście, admirałowie-muszkietery! Zamiast zajmować się czym trzeba i ratować mnie od pewnej śmierci, nadstawiacie uszu i słuchacie kłamstw tego drania! Myślcie lepiej, co robimy dalej! Tylko miejcie na uwadze, że Wielki Ośmionóg - niech zgnije żywcem! - za nic nie przyśle cudownego doktora na pokład mojej brygantyny. Nie jest taki głupi, oby nie ujrzał więcej krwawoczerwonej Protubery i trupiosinej Nekrydy! Tak że dotrzeć do cudownego doktora będziemy musieli własnymi siłami. Myślcie, Ziemiańskie. A nawiasem mówiąc nieźle by było coś przekąsić.

- Chwileczkę - powiedział nagle Aramis. W dalszym ciągu stał plecami do nawigatorki i z twarzą przy jednym z iluminatorów. - Ten... jak mu tam... Wstrst...

- Co? - rzekł niecierpliwie Dwugłowy Jul. - Wstrst? Wstrętny Staruch. Co z tego?

- Jest mniej więcej mojego wzrostu?

- Tak.

- Kudłaty, ze skrzydłami jak u nietoperza?

- Tak!

- Ma długą, białą trąbę?

- Tak!!

- I szaroniebieskie futro?

- Tak!!!

- I niskie czoło, i małe wyłupiaste oczka?

- Tak, do diabła! Tak! Dadzą mi dziś zjeść?

- W takim razie nie ulega wątpliwości, że właśnie Wstrst zbliża się do „Czarnej Piranii” w asyście czterech... hm... istot z sześcioma rękami każda.

Dwugłowy Jul ryknął coś nieartykułowanego i skoczył do iluminatora. Wyjmując w biegu blaster admirał Macomber ruszył za nim.

Rzeczywiście, ostrożnie stąpając gołymi, trójpalczystymi łapami po wypalonym i potrzaskanym betonie zbliżał się do „Czarnej Piranii” nosiciel intelektu, któremu podobnych nikt z Ziemiańskich nigdy

nie widział. Któż wie w jakim ponurym zakątku Wszechświata stworzyła ewolucja równie dziwną bestię podobną zarazem do pingwina, słonia, nietoperza i królika. Ale wszak gdzieś powstała nawet cywilizacja takich bestii, a jeśli już o tym mowa, nie bestii, bo w ziemskim języku słowo „bestia” jest obelgą, ale istot; i istoty owe przeszły najprawdopodobniej tę samą drogę co szlachetni Ziemianie: drżały z zimna i strachu w swoich jaskiniach, polowały na swoje mamuty, modliły się do swoich bogów. Dokonywały rzeczy dobrych i złych i u nich również silny gnębił słabszego, i niewykluczone, że w końcu tak jak na naszej Ziemi zapanowało tam królestwo braterstwa i rozumu - bo z jakiej innej przyczyny ten ohydny odszczepieniec zmuszony był uciekać ze swojego świata i lizać macki napuchniętego od krwi i złota potwora?

W ślad za wstrętnym staruchem Wstrstem kroczyła sztywno czwórka sześciorekich i dziesięciookkich gigantów. Krwawe i trupiosine błyski tańczyły na ich potężnych fioletowych ciałach. Nagle Aramis zmrużył oczy i wpatrując się przylgnął czołem do iluminatora.

- Atos! - zawołał niegłośno.
- Widzę - odparł Atos z wieżyczki artyleryjskiej.
- Twoim zdaniem?
- Można spróbować.
- Plan?
- Pozwlekać dziesięć minut i wpuścić.
- Lepiej piętnaście.
- Wystarczy dziesięć.

Niby nic szczególnego nie zostało między muszkietierami powiedziane, ale napięcie na pokładzie brygantyny momentalnie sięgnęło zenitu. Dwugłowy Jul z lękiem spojrzął z boku na Aramisa i odsunął się. Jaturkenzensirchiw zadygotał niczym osikowy listek i puszyste włosy jego futerka stanęły dęba. Admirał Macomber otworzył usta, żeby coś rozkazać albo o coś zapytać, ale zamknął je nic nie powiedziawszy i tylko uważnie sprawdził rygiel zamka swojego blastera. Potem Dwugłowy Jul ocknął się.

- Jak to - wpuścić? - ryknął. - To znaczy chcecie wpuścić tutaj całą ich bandę? A czy wy wiecie, admirałowie-muskietery, że ci... szescioręcy... to osobista ochrona Wielkiego Ośmionoga?

Przecież oni tu wszystko w puch rozniosą ledwie was zobaczą! Jak was Wstrst zauważy, to tylko na nich mrugnie...

- Wszyscy przepadniemy, wszyscy zginiemy! - dygocąc całym ciałem wymamrotał w panice Jaturkenzensirchiw.

- Istotnie, czcigodny Aramisie - rzekł admirał Macomber chmurząc się - chyba źle was rozumiem. Istotnie, nie można przecież...

- Admirale Macomber - powiedział chłodno Aramis - gdy przyjdzie rozwiązywać problemy strategiczne lub choćby taktyczne, całkowicie będziemy polegać na panu. Teraz mamy przed sobą zadanie czysto naukowo-techniczne i dlatego będzie pan łaskaw nie wtrącać się.

- Jak to - nie wtrącać się? - całkiem już tracąc ze strachu obie głowy jęknął Dwugłowy Jul. - Jak

tu się nie wtrącać, skoro ich nie bierze nawet działo przeciwpancerne z bliskiej odległości, skoro swoimi przeklętymi łapskami kruszą skały, skoro są niezbyt rozumni, a za to niezwykle oddani Wielkiemu Ośmionogowi?

- Być może dla ciebie, piracie, ten twój Wielki Ośmionóg rzeczywiście jest wielki - wycodził przez zęby Aramis. - Jednakże widać od razu, że z Ziemianami do czynienia nie miał... - I tu Aramis jakby się zerwał z łańcucha: - Zamilcz, dwugłowy draniu, i rób co każą, jeśli droga ci twoja skóra! - wykrzyczał zaciskając pięści. - Chciałeś, żebyśmy zaczęli działać? Zaraz zaczniemy! Chcieliście wojny, podła zgrajo krwawych bandziorów, niepiśmiennych bydlaków, gnębiciele bezbronnych! Zaraz będziecie mieli prawdziwą wojnę! - Na powrót opanował się i kontynuował swoim zwykłym lodowatym tonem: - Tak zwany Wielki Ośmionóg popełnił właśnie dziejowy błąd. Można nie wątpić, że przysłał tu tego półsłonia-półpingwina na negocjacje ze zdradą w finale. Można nie wątpić również, że ów niedosłoń-niedopingwin zaraz zacznie dobijać się i usiłować wziąć ze sobą na pokład swoich... sześciorekich. I oczywiście można nie wątpić, że ten quasisłoń-quasipingwin będzie ci składał bardzo kuszące propozycje. A więc ty te propozycje przyjmiesz.

- Jak to? - spytał oszołomiony Dwugłowy Jul.

- Bardzo prosto. Skusisz się i przyjmiesz.

- Nic nie rozumiem.

- Tego nikt od ciebie nie żąda.

- A co z tymi... sześciorekimi?

- O sześciorekich zapomnij. Sześciorecy to nasz kłopot. A twoja rzecz - potargować się ze Wstrstem jakieś dziesięć minut, po czym wpuścić wszystkich na pokład. Jasne?

- Jasne - powiedział słabym głosem Dwugłowy Jul, jako że oksydowana lufa pięćdziesięciostrażalowego blastera wbijała mu się już w bok.

- Chwileczkę... - pisnął Jaturkenzensirchiw, ześliznął się z ramienia admirała Macombera i zamknął w lodówce.

- Uwaga! - szczerknął pod sufitem żelazny głos Atosa.

Na ścianie zapłonęło niebieskie światełko - znak, że włączono komunikator. Wstrst i czterech sześciorekich tytanów stanęli przed włazem „Czarnej Piranii”.

- Któż, ach któż w tej chatynce mieszka? - zabeczał skrzypiąco Wstrst. - Jeszcze raz pozdrowienia od Wielkiego Ośmionoga, Dwugłowy. Przysłał mnie, żebym otwarcie z tobą pogadał.

- Dawaj, dawaj - burknął Dwugłowy Jul i gniewnie odtrącił rękę admirała Macombera, przyciskającą mu do boku lufę blastera. - Tylko najpierw powiedz, który z tych czterech jest lekarzem.

I zaczęli się spierać - przewlekle, bez przekonania, ale czepiając się szczegółów. Był to jeden ze sporów, w których o obu stronach z góry wiadomo, że kłamią, i obie strony o tym wiedzą, ale z jakiegoś powodu nie tracą nadziei na przekonanie oponenta. Wstrst zaklinał się, że jedynym celem Wielkiego Ośmionoga jest pełne wynagrodzenie Dwugłowego Jula za waleczność, obowiązkowość i poniesione ofiary. W odpowiedzi na to Dwugłowy Jul przypomniał mu przez nos, że waleczność, obowiązkowość i ofiary wolnego pirata kosztują drogo, i nie stać na nie nawet Wielkiego

Ośmionoga. Wstrst przyznał z pokorą, iż zrozumiał aluzję, ale problem w tym, że doktor, którego sprawiedliwie żąda Dwugłowy Jul w żaden sposób nie może się zjawić na pokładzie „Czarnej Piranii”, będąc całkowicie nieprzystosowanym do poruszania się po powierzchni planety. Dwugłowy Jul zaprotestował, twierdząc, że jego, Dwugłowego Jula, rany i kontuzje są tego rodzaju, iż obecnie w jeszcze mniejszym niż doktor stopniu jest się w stanie poruszać. Wstrst oznajmił bezzwłocznie, że Wielki Ośmionóg przewidział ową smutną okoliczność i dlatego przysłał z nim, Wstrstem, tych oto czterech swoich pokornych służących, którzy raz-dwa dostarczą Dwugłowego Jula do doktora. Dwugłowy Jul zjadliwie zauważył, że z równym powodzeniem owi pokorni słudzy mogliby raz-dwa dostarczyć doktora do niego, Dwugłowego Jula. Wstrst znowu zaklinał się co do jedyne go celu Wielkiego Ośmionoga i jako dowód zaproponował natychmiastowe wypłacenie za pokwitowaniem Dwugłowemu Julowi przypadającego mu honorarium bez potrąceń za utracony kontraktor. Tu Wstrst zachęcająco począł wymachiwać brezentową torbą, z której rozlegało się ciężkie, kuszące pobrzękiwanie, a czterech fioletowych tytanów za jego plecami zgodnie przytaknęło głowami i na znak pełnej aprobaty pokazało odstawione kciuki prawych rąk.

W tym momencie w luk wieżyczki artyleryjskiej zajrzała blada twarz Atosa. Aramis skinął głową i dał znak admirałowi Macomberowi, i admirał Macomber lekko szturchnął Dwugłowego Jula między łopatki: „Już czas!”

- Dobra! - ryknął Dwugłowy Jul przerywając w pół słowa długą przemowę, którą eksplodował był Wstrst dowodząc uczciwości swej misji. - Dobra. Niech będzie, co ma być. Wszystko mnie boli, prawa głowa dosłownie pęka na kawałki, nie mam siły dłużej czekać. Ale niech wszyscy wolni piraci będą świadkami, że Wielki Ośmionóg zobowiązał się nie tylko zapłacić mi, ale i zapewnić mi wykwalifikowaną pomoc medyczną. A tym, którzy nie rozumieją równie długich słów, wyjaśniam, że Wielki Ośmionóg zobowiązał się dać mi doktora, który wyleczy moje rany i kontuzje odniesione w służbie Wielkiego Ośmionoga. Amen.

Błękitne światełko komunikatora zgasło i Dwugłowy Jul zgrzytnąwszy zębami przesunął dźwignię sterującą zewnętrznym włazem. Ciężka płyta z wtórnie krystalizowanej stali powoli opadła, otwierając wejście do śluzy „Czarnej Piranii”. Wstrst, strosząc błoniaste skrzydła, wspiał się po trapie. Przed sobą uroczyście niósł brezentowy worek z honorarium. Fioletowi tytani gęsiego poszli za nim. Dwoma bezgłośnymi susami Aramis pokonał sterownię i zaczął się u drzwi. W martwej ciszy słychać było, jak po rowkowanej podłodze śluzy najpierw zastukotały szponiaste łapy Wstrsta. Potem huknęły kroki pierwszego sześciorekiego, drugiego, trzeciego, czwartego...

- Właz! - syknął Aramis.

Dwugłowy Jul, dygocąc z podniecenia, szarpnął dźwignię w odwrotną stronę. Stalowa płyta włazu z głuchym szcękaniem uniosła się z powrotem na swoje miejsce. W tejże samej chwili drzwi do sterowni otwarły się i w progu stanął Wstrst.

- Cha-cha-cha, oto i ja! - zaczął i nie skończył.

Aramis błyskawicznym ruchem złapał go za trąbę i z całej siły pociągnął na siebie. Wstrst wpadł do sterowni i potoczył się Dwugłowemu Julowi pod nogi, a Aramis jednym kopnięciem

zatrzasnął drzwi tuż przed nosem pierwszego sześciorękiego.

- Dawaj, Atos! - krzyknął przywierając do drzwi. Groźny, wibrujący ryk wypełnił brygantynę. Cienko zabręczały jakieś nieumocowane metalowe części, zadzwoniły jakieś niedopasowane szyby, ściany przebiegł dreszcz, a ryk wciąż się nasilał, stawał się coraz wyższy i przeszedł w ogłuszający, zgrzytliwy pisk. Wszystkich zabolowały zęby, wszystkim włosy stanęły dęba i na ich koniuszkach poskwierkując zatańczyły straszne liliowe ogniki, a z oksydowanej lufy blastera w rękę admirała Macombera zaczęły ześlizgiwać się i pękać z hukiem małe pioruny kuliste. Zapachniało świeżością burzy. Nagle wszystko skończyło się i pod sufitem rozległ się stalowy głos Atosa:

- Cała czwórka gotowa.

Admirał Macomber przesunął dłonią po mokrej od potu twarzy i rozejrzał się. Dwugłowy Jul skulił się w kłębek w swoim fotelu wcisnąwszy obie głowy między kolana i nakrywszy się rękoma. U jego stóp, z odrzuconą w bok pomarszczoną trąbą, leżał nieprzytomny Wstrst. Aramis klęczał pod drzwiami i z troską obmacywał swoje plecy. Drzwi były przekrzywione i pogięte od straszliwego uderzenia z zewnątrz. Admirał Macomber schował do kieszeni blaster i, nie zwracając się do nikogo, jak gdyby po prostu chcąc wypróbować głos, zapytał:

- Co się właściwie wydarzyło?

Do sterowni zeskoczył miękko Atos, pomógł Aramisowi stanąć na nogi i zaczął ściągać z przyjaciela bluzę i koszulkę.

- Nic szczególnego, admirale - powiedział. - Od razu pojęliśmy z Aramisem, że sześcioręcy to nie żywe istoty, tylko roboty. No, a mieć do czynienia z robotami przywykliśmy...

Zręcznie opatrując maścią z podręcznej apteczki wielki purpurowy siniec na plecach Aramisa, Atos wyjaśniał, że podczas gdy Dwugłowy Jul spierał się ze Wstrstem, on wziął z maszynowni napędowe solenoidy i rozmieścił je wokół komory śluzowej. Kiedy sześcioręcy weszli do komory, wytworzył wewnątrz niej zmienne pole elektromagnetyczne o niezwykle wysokiej częstotliwości, niezbyt silne, wszystkiego jedna stumilionowa część mocy dyspozycyjnej, ale wystarczyło to z nadmiarem do pełnej demobilizacji najdokładniejszej nawet, najlepiej zabezpieczonej maszyny cybernetycznej. Sześciorękich zmogło jak się patrzy, można nie mieć wątpliwości.

- Jeden mimo wszystko zdążył uderzyć w drzwi - z trudem łapiąc oddech zauważył Aramis. - Żebra całe?

- Całe - powiedział Atos. - Tanim kosztem się wykręciłeś, muszkietrze. Skąd ci przyszło do głowy podeprzeć drzwi plecami?

- Dlaczego akurat przyszło? - zaoponował gniewnie Aramis wkładając koszulkę. - Wyszło mi to zupełnie odruchowo.

Admirał Macomber podszedł do zwichrowanych drzwi i spróbował je otworzyć. Drzwi były zaklinowane na amen. Zajrzał więc przez szczelinę. Fioletowi tytani leżeli w dziwacznych pozach na rowkowanej podłodze, podobni teraz do olbrzymich, szmacianych kukieł.

- Czysta robota - mruknął admirał Macomber.

- Protestuję!... - zaskrzybiał mu za plecami głos Wstrsta. Admirał odwrócił się. Zausznik i

wykonawca najsubtelniejszych poleceń Wielkiego Ośmionoga obmacywał się od stóp do głów rozdygotanymi rękoma i konwulsyjnie trzepotał błoniastymi skrzydłami. Trąba obwisła mu smętnie.

- Protestuję! - powtórzył. - W imię humanizmu, w imię wszystkiego co święte w całym znanym Kosmosie. Jestem gotów ofiarować dowolny okup. Moja śmierć zostanie straszliwie pomszczona. Daję wszelkie gwarancje.

- Wpadł, czort skrzydlaty! - wychrypiął Dwugłowy Jul wyjmując głowy spod prawego kolana. - No, teraz zapłaci kot za mysie łzy. Mów, gdzie jest cudowny doktor Itai-itai. Mów żywo, bo urwę trąbę!

Wstrst pospiesznie odpelzł od niego na środek sterowni i stękając powstał. Małe, wyłupiaste oczka żywo obejrzały Atosa, Aramisa i admirała Macombera, zatrzymując się na sekundę na uchwycie blastera wystającego z kieszeni słynnego kosmonauty.

- Aha! - zgrzytnął. - Wszystko jasne. Jesteście Ziemianami, nie próbujcie zaprzeczać. Ale pozwolę sobie zauważyć, że Planeta Łotrów nie znajduje się w stanie wojny z waszą planetą. Tak więc brutalny napad na mnie, wystarczająco ważną stanowiskiem osobistość Planety Łotrów, można rozpatrywać jedynie jako bezprecedensowe naruszenie...

- Nie, zobaczcie tylko, co za zwierzę! - z gniewnym zdumieniem zawołała lewa głowa Dwugłowego Jula.

A prawa ledwie słyszalnie wyjęczała:

- Udusić drania!

- Posłuchaj no, Wstrst - powiedział surowo admirał Macomber. - Twoje zadęcie na dyplomatyczny ton jest po prostu śmieszne. Planeta Łotrów to baza kosmicznego piractwa, znajduje się w stanie nie ogłoszonej wojny ze wszystkimi cywilizacjami poznanego Kosmosu i podlega rozgromieniu oraz zniszczeniu. I jako ważna osobistość w waszej pirackiej hierarchii możesz liczyć jedynie na szybką i pewną egzekucję. Ale jeszcze możesz uratować swoje życie...

- On sam świetnie to rozumie, admirał Macomber - wtrącił niecierpliwie Aramis. - Przejdźmy do sprawy.

- Tak jest! - odezwał się Dwugłowy Jul. - On gra na zwłokę, a pan się z nim cacka, bawi w objaśnienia!

- Nie przeszkadzaj, piracie - powiedział Aramis. - Proszę kontynuować, admirał Macomber.

- Tak więc - rzekł admirał Macomber - obecnie sytuacja zmieniła się diametralnie. W rezultacie drugiego dziejowego błędu tak zwanego Wielkiego Ośmionoga w nasze ręce wpadł najwspanialszy „język”, jakiego tylko można by sobie zażyczyć w krytycznym położeniu...

- A co było jego pierwszym błędem? - poinformował się naiwnie Dwugłowy Jul.

- Jego pierwszym błędem było wysłanie cię do nas na Ziemię - odparł Aramis. - Ale jeśli będziesz przerywać...

- Milczę, milczę - mruknął pospiesznie Dwugłowy Jul.

- Jest rzeczą oczywistą, że nasz pierwotny plan strategiczny - ciągnął admirał Macomber - przeniknąć skrycie przez ekran abordażowy na teren rezydencji Wielkiego Ośmionoga i na

wycucie szukać cudownego doktora - niesie ze sobą rozmaite i męczące niespodzianki. Liczna straż, wszelkie możliwe pułapki na każdym kroku... Planu rezydencji nie mamy. Ani Dwugłowy Jul, ani Jaturkenzensirchiw nigdy w rezydencji nie byli... Nawiasem mówiąc, gdzie jest Jaturkenzensirchiw?

Aramis podszedł do lodówki i otworzył drzwiczki. Buchnęła mroźna para.

- Wyłaź, mały łobuzie - powiedział Aramis.

Jaturkenzensirchiw wyszedł. Dygotał z zimna, pod ślepkami zamarzły mu łzy, puszyste futerko pokryła gruba warstwa szronu. Kichnął i z obawą pokręcił pobielełym nosem. Jego wzrok zatrzymał się na ponurym Wstrście.

- C-c-co? - zaszczekał cieniutko. - J-j-już po wszystkim?

- Po wszystkim, po wszystkim - powiedział Aramis i zamknął lodówkę. - Przepraszam, admirale.

- Krótko mówiąc, powodzenie naszego przedsięwzięcia według pierwotnego planu strategicznego nie było zbyt pewne. Inaczej teraz. Teraz możemy liczyć na dotarcie do doktora Itai-itai wprost z komory abordażowej.

- Tak - powiedział Aramis.

- Tak! - szczęknął stalowym głosem Atos.

- To niemożliwe - wygrzytał Wstrst. - W pokojach cudownego doktora nie ma ekranu odbiorczego.

- W takim przypadku, Wstrst - rzekł surowo admirał Macomber - dasz nam szyfr dowolnego ekranu odbiorczego na terenie rezydencji i osobiście zaprowadzisz do cudownego doktora.

- To niemożliwe! - kraknął Wstrst, przysiadając na uginających się łapach. - Ukatrupią mnie! Nie mogę!...

Aramis położył mu na karku swą silną dłoń.

- Zrobisz to - powiedział czule, spoglądając w zmartwiałe z przerażenia wyłupiaste oczka. - Wszystko zrobisz. I szyfr nam dasz, i zaprowadzisz do doktora Itai-itai.

4.

W starciu z Ziemianami „Czarna Pirania” straciła jedynie komputer nawigacyjny z żywych umysłów i Dwugłowy Jul oczywiście skłamał mówiąc Wstrstowi jakoby jego komorę abordażową zniszczono bezpośrednim trafieniem. Komora była cała, jedynie dalekowzroczny admirał Macomber rozkazał czasowo zablokować ekran, inaczej ciekawski Wstrst nie omieszkałby niezauważalnie podrzucić na pokład któregoś ze swych szpiegów - żeby ów popatrzył, posłuchał i powęszył. Trzeba powiedzieć, że zasada przemieszczenia teleekranowego od dawna była znana ziemskiej nauce, nie znalazła jedynie praktycznego zastosowania, jako że o szpiegostwie, rozbojach i kradzieżach zachowały się na naszej planecie jedynie mętne wspomnienia. Dla takiego mistrza jak Atos i takiego uczonego jak Aramis zorientowanie się w mechanizmach urządzenia znaczyło tyle,

co wypicie szklanki wody, nauczyli się nim sterować jeszcze na Księżycu, kiedy „Czarną Piranię” przygotowywano do rejsu powrotnego. I oto cała załoga w pełnym składzie przeszła z pokładu brygantyny wprost w podziemne korytarze rezydencji Wielkiego Ośmionoga.

Posuwali się gęsiego. Na przedzie kuśtykał, wlokąc po podłodze końce błoniastych skrzydeł, nastroszony i bardzo niezadowolony Wstrst. Dwa kroki za nim bezgłośnie stąpał admirał Macomber: w prawym ręku słynny kosmonauta ścisnął uchwyt pięćdziesięciostrażalowego blastera, w lewym niósł teczkę ze skóry wenusjańskiego hipopotama wypełnioną jakimiś ciężkimi, okrągłymi przedmiotami, kieszenie bluzy odstawały mu wypchane zapasowymi magazynkami. Na ramieniu admirała siedział plecami do kierunku marszu Jaturkenzensirchiw, wytrzeszczał czerwone ślepka i z napięciem wsłuchiwał się w myśli Dwugłowego Jula. Dwugłowy Jul włókł się za admirałem Macomberem, ostrożnie podtrzymując prawą głowę pod brodę; lewa głowa od czasu do czasu kłapała zębami i stroiła do Jaturkenzensirchiwa straszliwe miny, doprowadzające biedaka do drżenia. Za Dwugłowym Julem z ledwie słyszalnym buczeniem płynęła dziesięć centymetrów nad podłogą latająca platforma ze spektrolitową kapsułą Portosa; u steru platformy, wsparty na ciężkim stalowym ościeniu stał nieruchomo Aramis. Pochód zamykał chmurny Atos obwieszony ręcznymi granatami z ciekłym tlenem.

Admirał Macomber nie pożałował czasu i bardzo dokładnie przesłuchał Wstrsta. Okazało się to zadaniem skomplikowanym. Trzeba było stosować w dużych ilościach groźby i pochlebstwa. O mało nie doszło do użycia przymusu fizycznego. Początkowo Wstrst rwąc futro zaklinał się, że o cudownym doktorze nic nie wie. Potem, pokonany zeznaniami rozjuszonego Dwugłowego Jula jako świadka, przyznał, iż rzeczywiście miał miejsce incydent, kiedy to w niego, Wstrsta, wpakowano setkę pocisków eksplodujących i rzeczywiście jakiś cudowny doktor złożył go, Wstrsta, z kawałków, ale gdzie Wielki Ośmionóg chowa owego cudownego doktora on, Wstrst, nie ma pojęcia. I dopiero później, przerażony złowieszczymi manipulacjami Aramisa, który wziął cienki konopny sznurek i zaczął wiązać pętlę, Wstrętny Staruch przyznał, że zna miejsce przetrzymywania cudownego doktora Itai-itai.

Dalej poszło łatwiej. Wyjaśniło się, że cudowny doktor Itai-itai przebywa w jednym z pomieszczeń tak zwanego poziomu siódmego. Ów poziom siódmy to największa świętość Wielkiego Ośmionoga. Na poziomie siódmym ukrywa się, przechowuje i tworzy najtajniejsze i najcenniejsze przedmioty, więźniów i urzędników Wielkiego Ośmionoga. Dopuszczani są tam jedynie najbardziej zbliżeni z osobą Wielkiego Ośmionoga nosiciele intelektu. Jest tam jeden jedyny ekran odbiorczy, którego szyfr znają tylko Wielki Ośmionóg, Majster Kreg i on, Wstrst. Są tam jedne tylko schody i prowadzą prosto do gabinetu komendanta poziomu siódmego, straszliwej starej panny, Dziobatej Skolopendry. Zbirom z wewnętrznej ochrony poziomu siódmego pod groźbą śmierci zabroniono nawet zbliżać się do drzwi owego gabinetu, a przy odejściu na emeryturę z zaskoczenia pod narkozą amputuje się im pamięć; nawiasem mówiąc, oczywiście nie mają o tym pojęcia. Co się tyczy niewolników obsługujących poziom siódmy - tam też umierają. Droga od ekranu odbiorczego do pokoiów cudownego doktora jest dość długa, ale prawdziwe niebezpieczeństwo przedstawia tylko jeden odcinek: trzeba będzie przejść obok kantyny, gdzie

zazwyczaj zabawiają się wolni od dyżuru strażnicy...

- Pracownie Majstra Krega też są na poziomie siódmym? - spytał admirał Macomber.

Tego akurat Wstrst nie wie. Róbcie co chcecie - nie wie i koniec. Osądźcie sami, jaki sens miałyby ukrywanie takiej drugorzędnej tajemnicy, skoro opowiedział już tyle? Zresztą, jeśli Ziemianom uda się przechwycić tę wiedzmę, Dziobatą Skolopendrę, dowiedzą się wszystkiego. Ów straszliwy stwór jest naszpikowany tajemnicami Wielkiego Ośmionoga. Jeśli ją dobrze przycisnąć, opowie nie tylko o Majstrze Kregu, ale i o takich sztuczkach, o których nawet sam Wielki Ośmionóg woli nie pamiętać.

- Podaj szyfr - rozkazał admirał Macomber.

Szyfr otrzymali. Strażnik na warcie przy ekranie odbiorczym nie stawiał oporu, był zanadto zaskoczony i w dodatku pijany. Szybko wpakowali go do worka, mocno skrępowali sznurkami i rzucili w kąt komory abordażowej - w ten sam kąt, gdzie trzy lata wcześniej leżała związana Gala. Korytarz, który otworzył się przed nimi, przyjemnie rozczarował admirała Macombera. W końcu był to matecznik kosmicznego bandyty i potwora, w najwyższym stopniu przedsiębiorczego nosiciela intelektu. Na każdym kroku powinny były tu tkwić ponure, podejrzliwe straże, walać się czaszki i kości, wysuwać się z ambrazur lufy dział. Ale nie, korytarz wyglądał jak korytarz, wiele podobnych można było zobaczyć w starych biurowych budynkach na Ziemi: szeroki, niski, prosty jak strzała, tyle że słabo oświetlony. Czysta podłoga załatywała karbolem. Po obu stronach w płytkich niszach połyskiwały matowo okrągłe i kwadratowe metalowe drzwi-włazy, i było widać, że nie wszyscy mieszkańcy tego miejsca potrafią czytać: na drzwiach widniały nie numery i nie napisy, ale różnobarwne rysunki karcianych kolorów. Było tam pusto i cicho. Przez pierwsze pół godziny nikogo nie spotkali, nie otworzyły się żadne drzwi i słychać było jedynie jak postukuje szponami w podłogę Wstrst, pojękuje Dwugłowy Jul i miękko buczy silnik latającej platformy. Ale oto półmrok na przedzie zaczął rzednąć, doszło ich coś w rodzaju smętnego śpiewu i niewyraźnego pomruku licznych głosów. Wstrst zwolnił kroku, syknął: kantyna... i zatrzymał się rozpościerając skrzydła. Dwugłowy Jul uniósł obie głowy i zaczął hałaśliwie węszyć. Jaturkenzensirchiw cały się zatrzęsł i spróbował wejść admirałowi za kołnierz.

- Kwas siarkowy z siarkowodorem - oznajmiła z rozrzewnieniem lewa głowa Dwugłowego Jula, cmoknęła i splunęła. - I pumeks w jodowym sosie...

- A więc drzwi są uchylone - zgrzytnął Wstrst. - Mogą nas zauważyć...

- Naprzód! - zakomenderował niecierpliwie słynny kosmonauta. - I pamiętaj, Wstrst, strzelam celnie. W przypadku zdrady żaden cudowny doktor nie będzie w stanie pozbierać tego, co z ciebie zostanie po trafieniu z blastera.

Ruszyli dalej i wkrótce mogli obejrzeć niebezpieczny odcinek ze wszystkimi detalami. W odróżnieniu od pozostałych drzwi owego korytarza bez końca, drzwi kantyny były zrobione z grubego do utraty przezroczystości szkła i szerokie niczym brama. Faktycznie, były lekko uchylone i przez szczelinę padała na korytarz wąska smuga jaskrawego liliowego światła. Liliowe odbłyśki rozjaśniały wymyślny szyld ciągnący się pod sufitem w poprzek korytarza. Na szyldzie widniał napis „Trzy Wesołe Skorpiony” i rysunek przedstawiający trójkę obrzydliwych stworów

ściskających w kleszczach kufle z kipiącą pianą. Na korytarz falami wylewało się gęste, gorące powietrze przesycone gryzącymi woniami przeciwnych naturze potraw, zabójczych napitków i zgubnych używek do palenia, i było jasne, że zabawa w kantine toczy się pełną parą, ponieważ w chwili, gdy drżące łapy Wstrsta stanęły na smudze liliowego światła, niezgodny chór klekoczących, zgrzytliwych i syczących głosów ryknął nieoczekiwanie:

Gwiazdny blask i czarny Kosmos - życie grosz warte, hej!

Tam ramię w ramię pod dyszami wraży atak odpieramy...

Już prawie zrównała się z drzwiami latająca platforma i admirał Macomber uznał już prawie, że niebezpieczeństwo minęło, lecz nagle wypadki zaczęły rozwijać się błyskawicznie.

Drzwi otworzyły się na całą swoją bramopodobną szerokość i na korytarz, ledwie się trzymając na chwiejnych nogach, wypadł przypominający wielką modliszkę nosiciel intelektu - być może rodak albo nawet krewniak owego nieszczęsnego Modliszka Pandy, który dziesięć wieków wcześniej wziął do niewoli cudownego doktora Itai-itai. Na widok dziwaczego pochodzącego od razu zatrzymał się i unióś w górę przednią część potężnego tułowia. Trzeba oddać sprawiedliwość administracji Wielkiego Ośmionoga: umiała dobrać strażników. Nie minęły nawet dwie sekundy i doszczętnie pijany gigantyczny modliszek zdołał zorientować się, że coś jest nie tak.

- Kto? Co? - zgrzytnął, jak gdyby ktoś przeciągnął nożem po szkłe i unosząc groźnie straszliwie wyglądające ręce-kleszcze skoczył ku latającej platformie. - Wszyscy stać! Nie ruszać się!

Ale nigdy jeszcze nie miał do czynienia z Ziemiakami. Aramis z zimną krwią i z ogromną siłą pchnął go ościeniem w płaską chitynową paszczę dokładnie pomiędzy wyłupiaste ślepia i modliszek runął na bok. Jego najeżone zadziorem łapy-kleszcze jeszcze konwulsyjnie drapały podłogę, gdy Atos spokojnie, niczym na zawodach sportowych rzucił w otwarte drzwi jeden po drugim trzy granaty z ciekłym tlenem. Wnet cała kantyna napełniła się lodowatą mgłą, z której buchnęła kakofonia krzyków wściekłości, bólu, strachu. Admirał Macomber wystrzelił w kłęby mgły z blastera - coś tam błysnęło oślepiająco, gruchnęło, na korytarz poleciały jakieś dymiące gałgany, zapachniało spalenizną.

- Czemu stoicie! - wrzasnęła z całej siły lewa głowa Dwugłowego Jula. - Trzymajcie! Admirale! Przecież on ucieka, podlec, stara trąba, obłudnik!

Admirał Macomber, unoszący właśnie blaster do kolejnego strzału, obejrzał się. Rzeczywiście, Wstrst rozpostarł skrzydła i kurcgalopkiem czmychał w głąb korytarza.

- Wszyscy za mną! - rozkazał słynny kosmonauta i rzucił się w ślad za Wstrstem.

Z niszy przed nimi, po lewej stronie, wysunęło się coś szczeciniastego o trojgu oczach, pokrakało grożąco i w ścianę z tyłu i po prawej zabębniła krótka seria. Admirał Macomber, nie zatrzymując się, odpowiedział z blastera i z niszy wytrysnął ognisty wicher. Fala uderzeniowa poderwała Wstrsta pod rozpostarte skrzydła, Wstrętny Staruch piszcząc unióś się w powietrze, rąbnął głową o sufit i upadł na podłogę. Natychmiast poderwał się na czworaki i kręcąc kuperkiem pobiegł dalej. Admirał Macomber dogonił go, złapał pod skrzydła i jednym szarpnięciem postawił na nogi. Wstrst szlochał.

- Puście mnie - łkał. - Nie jestem przyzwyczajony! Stary jestem. Strzelanina mi szkodzi!...

- Weź się w garść, Wstrst - powiedział z wyrzutem admirał Macomber. - Tak przecież nie wolno, zachowujesz się jak histeryczka...

Żwawo podpłynęła do nich i zatrzymała się obok latająca platforma. Atos i Aramis zeskoczyli na podłogę, za nimi, przytrzymując się spektrolitowej kapsuły zszedł postępując Dwugłowy Jul.

- Zaraz zacznie się pościg - oznajmił Aramis. - Jest ich tam kilkudziesięciu. Ciekły tlen im się nie podoba, ale czy starczy nam granatów? I czemu właściwie stanęliśmy? Skoro już rozjuszyliśmy gniazdo szerszeni, trzeba się pośpieszyć...

- Spiesz się! - wrzasnął Wstrst aż wszystkim zadzwoniło w uszach - spiesz się nie ma już po co! Na wszystkich odcinkach ogłoszono już alarm i krwiożerca Skolopendra wysłała już z pewnością przeciw nam tarantule z miotaczami promieni! Jesteśmy w pułapce! Poddać się trzeba, rozumiecie?

Admirał Macomber westchnął i dwukrotnie trzepnął go dłonią po mokrych od łez policzkach. Wstrst ucichł.

- Tarantule - mruknęła lewa głowa Dwugłowego Jula. - Tarantule, przyjaciele, to fatalna sprawa. One do niewoli nie biorą.

- Do niewoli nikt się nie wybiera - oznajmił zimno słynny kosmonauta i popatrzył surowo na Wstrsta. - Trzeba znaleźć jakieś wyjście, Wstrst. Niemożliwe, żeby żadnego wyjścia nie było. Myśl, Wstrst! Jesteśmy na twoim terenie. Przecież rozumiesz - albo uratujesz się z nami, albo razem z nami zginiesz.

- Tak, tak - wyskrzypiał Wstrst pochlipując. - Zaraz. Niech tylko pozbieram myśli...

Sprawy przybierały zły obrót. Oczywiście Wstrst miał całkowitą rację: znaleźli się w pułapce. Naprzód iść nie można: już nadciągają stamtąd w rejon kantyny zaalarmowane i uzbrojone po zęby tarantule, doświadczone i bezlitosne zabijaki, które w przypadku starcia będą miały wszelkie atuty, jako że korytarze znają niczym swoje pięć palców czy sześć nogogłaszczek, czy ile tam czego mają. Zawracać nie ma sensu - nawet jeśli się uda przebić przez tłum pijanych rzezimieszków z kantyny i powrócić na pokład „Czarnej Piranii”, stratedzy Wielkiego Ośmionoga zdążą skojarzyć przyczyny ze skutkami i potną brygantynę na plasterki laserowymi działami przy pierwszej próbie startu. Czekać, nie ruszając się z miejsca... Ale właściwie na co?

- Przy okazji, gdzie jest Jaturkenzensirchiw? - spytał admirał Macomber.

- Według mnie u pana za pazuchą - odparł Aramis. Słynny kosmonauta włożył rękę za pazuchę i namacał w bocznej kieszeni ciepłe puszyste ciało z bijącym jak oszalałe sercem.

- Rzeczywiście - powiedział.

W mroku, w którym była teraz pogrążona kantyna, rozległo się szuranie, skrzypienie chitynowych pancerzy, drobny stukot pazurków i z dziesięć gardeł ryknęło chórem:

- Naprzód zuchy! Bić ich! Łapać!..

Admirał Macomber pośpiesznie złapał blaster, ale Atos zerwał już był z pasa kolejny granat i z szerokim zamachem cisnął go w stronę atakujących. Rozległo się dźwięczne klaśnięcie, ryk zastąpiły zduszone krzyki i zgrzytanie szczękoczułków, i wszystko na powrót ucichło.

- Dobrze jeszcze, że są prawie nieuzbrojeni - rzekł w zamyśleniu Aramis. - Widocznie do kantyny nie wolno im wchodzić z bronią, żeby w pijanym widzie nie powybijali się nawzajem... Przy okazji - co takiego ma pan w teczce, admirał Macomber?

- W teczce? - admirał Macomber spojrział na swoją teczkę ze skóry wenusjańskiego hipopotama, jak gdyby zobaczył ją po raz pierwszy w życiu. - A, w teczce... Nic szczególnego. Coś na czarną godzinę.

- Na czarną godzinę - stwierdziła z przekonaniem lewa głowa Dwugłowego Jula - należy mieć w zapasie flaszki rtęci, albo, jeśli ktoś nie stać na rtęć - octowej esencji...

I wtedy Wstrst dźwięcznie palnął się trąbą w czoło.

- Składy trunków! - pisnął. - Na krwawoczerwona Protuberę i trupiosiną Nekrydę, że też od razu nie pomyślałem! Jesteśmy uratowani! To znaczy niezupełnie uratowani, ale mamy wszelkie szanse znacznie opóźnić nieuniknioną śmierć... Szukajcie drzwi z asami pikowymi! Nie z asami czerwionymi, nie z asami karo i już broń Boże nie z treflowymi, ale właśnie z pikowymi. Dowolnego koloru!..

Wstrst ogromnie się podniecił, zaczął mówić zupełnie niezrozumiale i admirał Macomber był zmuszony po raz wtóry trzepnąć go w policzki, żeby powrócił do przytomności. Wówczas wyjaśniła się pewna interesująca okoliczność.

Pod poziomem siódmym rozciągały się gigantyczne składy trunków Wielkiego Ośmionoga. Przechowywano w nich cysterny najrzadszych izotopów rtęci, beczułki dwudziestotysięcznoletniego amoniaku, baki oszałamiających mieszanin kwasu fluorowodorowego, azotowego i siarkowego, jak również nieprzeliczone butle ciekłego chloru, musującego spirytusu metylowego i półwytrawnego propanu. Z przyczyn natury dyscyplinarnej specjalne wejście do składu było zabite na głucho, ale - a wiedzieli o tym jedynie sam Wielki Ośmionóg, jego osobisty podczaszy oraz Wstrst - bez trudu można było dostać się do składów przez dowolny apartament poziomu siódmego, apartament, którego drzwi znaczył pikowy as. Na szczęście drzwi do pokoiów cudownego doktora Itai-itai również są oznaczone asem pik.

- Ile takich drzwi mineliśmy? - powiedział z wyrzutem Dwugłowy Jul. - Czemu wcześniej nie pomyślałeś, barani łbie?

- Przygotować się do operacji! - rozkazał admirał Macomber. - Atosie, proszę zająć pozycję w straży tylnej. Nie żałuj granatów Aramis... Gdzie jest Aramis?

Okazało się, że Aramis nie czekał na wyjaśnienia i od razu ruszył na poszukiwanie drzwi oznaczonych asem pik, zaledwie wspomniął o nich Wstrst. Teraz stał jakieś sto kroków przed nimi i przyzywająco kiwał ręką. Admirał Macomber wepchnął Wstrsta na latającą platformę, pomógł wsiąść Dwugłowemu Julowi i sam stanął za kierownicę. Platforma ruszyła, Atos rzucił w ciemność jeszcze jeden granat i pobiegł za platformą.

- Powiedz Wstrst - rzekł słynny kosmonauta - czy podobne oznakowanie drzwi ma jakieś specjalne znaczenie? Kto się za nimi znajduje?

- Przede wszystkim jeńcy, na których eksperymentuje Majster Kreg - wyjaśnił Wstrst. - Nie powinni się upijać, żeby nie zniekształcić efektów eksperymentu... No i oczywiście jeńcy -

alkoholicy. Nie uwierzycie, ale za drzwiami z niebieskim asem pik dziesiąty już rok żyje pewne rozumne drzewo. No więc drzewo to wpadło na pomysł, przedarło się korzeniami przez chromoniklową podłogę i stalową pokrywę beczułka z amoniakiem... Co prawda Majster Kreg nie dawał mu ani kropli wody...

- Wierzę z łatwością - powiedział sucho admirał Macomber. Drzwi, przy których stał Aramis były kwadratowe, matowoczarne, z wielkim zielonym asem pik pośrodku. Admirał Macomber zatrzymał latającą platformę pod ścianą naprzeciwko i zapytał Wstrsta:

- Może być?

- Może być - odparł Wstrst.

- Kto jest za nimi?

Wstrst zmarszczył białe czoło, pomyślał, potem podrapał się trąbą za uchem.

- Nie przypominam sobie - przyznał.

- Jak je otworzyć?

Wstrst rozłożył ręce i rozpostarł skórzaste skrzydła.

- Klucze do wszystkich drzwi ma Dziobata Skolopendra - powiedział.

- Hm - mruknął słynny kosmonauta. - Zresztą drzwi i tak są za wąskie, nie przejdzie platforma. Trzeba będzie zburzyć ścianę. - Podeszedł do drzwi i zapukał. - Hej! - ryknął admiralskim głosem.

- Kto tam? - beknął przestraszony głos za drzwiami.

- Admirał Macomber, planeta Ziemia.

- Bardzo mi miło. Profesor Aj Chocha, planeta Moksa. Czym mogę służyć, admirale Macomber?

- Proszę odejść jak najdalej od ściany, profesorze. Burzę ścianę.

- W jednej chwili, admirale Macomber - zabeczał głos za drzwiami.

W ciszy, która nastąpiła, usłyszeli dalekie metaliczne skrzypienie i zgrzyt.

- Tarantule... - wyszeptał mdlejącym głosem Wstrst.

- Tak, trzeba się spieszyć - oznajmił słynny kosmonauta i rozkazał: - Wszyscy pod przeciwległą ścianę, położyć się twarzami do podłogi i zakryć głowy rękami!

Gdy wypełniono rozkaz - jako ostatni położył się Atos, rzuciwszy uprzednio jeszcze dwa granaty - admirał Macomber skoczył na platformę, położył teczkę na spektrolitowej kapsule Portosa i zaparł się plecami o ścianę. Dokładnymi, odmierzonymi ruchami przestawił mechanizm spustowy blastera na ogień ciągły i, ściskając oburącz uchwyt, uniósł lufę do poziomu oczu.

Blaster eksplodował trzema ogłuszającymi seriami. Kiedy uspokoił się ognisty huragan, opadł grad rozpalonych odłamków i ucichło ryczące i dzwoniące echo, wszyscy unieśli głowy i zobaczyli: matowoczarne drzwi z zielonym asem pik znikły, a na ich miejscu ziele wspaniała prostokątna dziura nie ustępująca szerokością wrotom kantyny.

- Jubilerska robota - wyrwało się Atosowi.

- Owszem, wyszło nie najgorzej - zgodził się skromnie słynny kosmonauta.

Stał na latającej platformie i przeładowywał blaster. Twarz i ręce miał czarne od sadzy i oparzelin, włosy mu dymiły, kurtka przepaliła się na piersiach, a z dziury wystawał lekko

przysmolony i dygoczący ogonek Jaturkenzensirchiwa.

- Też mi coś - mruknęła lewa głowa Dwugłowego Jula. - Ja na przykład na drugim księżycu Kasandry podpisałem się laserem na pionowej skale...

- Ale celowałem ja - zaprotestowała słabym głosem prawa głowa.

- Jak to ty? - zdumiała się lewa. - Przecież ty...

- Zostawić wspomnienia! - rozkazał admirał Macomber. - Wstrst, pokaż wejście do piwnic! Aramis, bądź łaskaw stanąć znów za kierownicą. Atos, jeśli ci to nie sprawi kłopotu, zajmij swoje stanowisko w tylnej straży! Marsz!

Przeszli na drugą stronę korytarza i weszli w otwór. W samą porę. Ledwo Atos, rzuciwszy po granacie w stronę kantyny i w kierunku zbliżających się tarantuli, przeskoczył buchający żarem próg, rzeka ognia zalała miejsce, gdzie przed chwilą stali.

Kiedy Atos, osłaniając się przed żarem, wyjrzał ponownie na korytarz, po prawej stronie w gęstym czarnym dymie rozlegały się jęki i krzyki poparzonych strażników, a z lewej nadciągała podobna do termitery stożkowata wieża z żelaznych opiłków oblepiona włochatymi, kłębiącymi się ciałami. Przez szczelinę obserwacyjną patrzył wodząc szarymi ślepiami szkaradny łeb: straszliwe sierpopodobne szczękoczułki pokryte grudkami zaschłego jadu chciwie zamykały się i otwierały. Najwidoczniej Dziobata Skolopendra we własnej osobie wiodła swoje tarantule do boju z nieznanymi przybyszami, którzy zuchwale wtargnęli do samego sanktuarium Wielkiego Ośmionoga.

5.

- Ach, ach! Kto by pomyślał? - wykrzyknął profesor Aj Chocha z planety Moksa, gdy mokry ze strachu Wstrst wtargnął do jego sypialni, nacisnął trąbą niepozorny guzik i cała sekcja podłogi ze zgrzytem wsunęła się w ścianę, odsłaniając ziejącą pustką studnię.

Profesor Aj Chocha okazał się starym koniem z nieczesaną grzywą i zbitym w kołtun ogonem. Potokiem słów wyjaśnił admirałowi Macomberowi, jak to piraci przed piętnastu laty wykradli go przez wyciąg laboratoryjny jego własnego laboratorium, prawie na oczach współpracowników. Nie ma pojęcia, gdzie trafił i dlaczego się w tym miejscu znajduje. Gdy go tu dostarczono, odbył długą i dość męczącą rozmowę z jakimś wielkim dwunastookim pajakiem żądającym zgody na rozpracowanie całkowicie bzdurnego pomysłu. O ile pamięta, sens owego pomysłu polegał na teoretycznym uzasadnieniu jądrowych reakcji łańcuchowych na skalę planetarną. Gdy odmówił, obito go z lekka i pozostawiono w spokoju. Dostarczają mu nawet papier i ołówki, chociaż wszystkie zapiski i wyliczenia, które tworzy dla zabicia czasu, regularnie ulegają konfiskacie. Karmią tu ohydnie, wodę mają wyraźnie syntetyczną. Dwukrotnie próbował ucieczki, ale dwukrotnie chwymano go i wysoce boleśnie kąsano w zad...

O cierpieniach nieszczęsnego zadu profesor Aj Chocha dopowiadał już w mrocznych wnętrzach składu na trunki Wielkiego Ośmionoga. Biorąc pod uwagę okoliczności, słuchano go nawet dość

uważnie i z widocznym współczuciem...

Tymczasem Wstrst, kuśtykając na gołych trójpalczastych łapach, prowadził ich pospiesznie niezbyt szerokim, słabo oświetlonym przejściem pomiędzy rzędami potężnych beczek i baków z szarego ołowiu. Piwnice Wielkiego Ośmionoga wyrąbano wprost w bazaltowym płaszczu Planety Łotrów; przynajmniej bazaltowa była podłoga: cała w obrzydliwych plamach wytrawionych przez rozlewane w przeciągu stuleci najmocniejsze trunki. Co pięćdziesiąt metrów w niskim łukowym sklepieniu połyskiwały mgliście prostokątne metalowe tarcze - pokrywy włazów prowadzących do apartamentów poziomu siódmego. Na pokrywach były wymalowane takie same różnokolorowe asy jak i na drzwiach w korytarzu. Jeden z baków miał niedokładnie zakręcony kranik i Ziemianie długo powstrzymywali oddech i zaciskali nosy, a siedzący na latającej platformie za kapsułą z Portosem Dwugłowy Jul uniósł obie głowy, oblizał się i cichutko westchnął:

- Ech, gdybym tak był zdrow...

Od momentu gdy Atos jako ostatni zeskoczył do lochu i podłoga w sypialni profesora Aj Chochy wróciła na swoje miejsce minęło już co najmniej pół godziny, a pogoni jeszcze nie było. Widocznie wdarłszy się do apartamentów spod znaku zielonego asa pik i odkrywszy, że przeciwnik w zagadkowy sposób zniknął, Dziobata Skolopendra udała się do Wielkiego Ośmionoga po instrukcje. Tak czy inaczej wyraźnie zyskali na czasie. Profesor Aj Chocha dalej snuł opowieści o pewnej zdumiewającej właściwości powłok elektronowych, którą już był miał na koniuszku pióra, ale admirał Macomber przestał go słuchać i pociągnął Wstrsta za błoniaste skrzydło.

- Daleko jeszcze? - zapytał.

Prawie w tej samej chwili Wstrst zatrzymał się, zadarł trąbę i wyszczał:

- Tutaj.

Wszyscy popatrzyli w sufit. Metalową płytę nad ich głowami zdobił pomarańczowy wizerunek asa pik.

- Tutaj - powtórzył Wstrst i otarł pot z czoła. - Tutaj znajdują się pokoje cudownego doktora Itai-itai.

- Naprzód! - ryknął dwojgiem gardzieli Dwugłowy Jul i zeskoczył z platformy.

Admirał Macomber podniósł rękę.

- Spokojnie - rzekł. - Wstrst, powiedz proszę, możesz otworzyć ten właz?

- Mogę - zaskrzypiał ponuro były wierny zauszniak i wykonawca najdelikatniejszych poleceń. - Mechanizm włazu uruchamia się naciskając guzik na suficie za prawą krawędzią włazu.

- Oczywiście, przecież masz skrzydła - domyślił się słynny kosmonauta. - W takim razie...

- Proszę wybaczyć - beknął nagle zaniepokojony profesor Aj Chocha - czy nie mógłbym się jednak dowiedzieć, admirał Macomber, o co chodzi? Przyszło mi właśnie do głowy, że zdecydowanie nie mam pojęcia, co się dzieje. Zburzyliście ścianę w moich apartamentach, wyciągnęliście do tej nieprzyjemnie pachnącej piwnicy, a teraz znów zamierzacie wtargnąć do jeszcze kogoś innego, najwyraźniej bez jego wiedzy. Musicie się zgodzić, wygląda to wysoce nagannie, a ja zdecydowanie nie mam ochoty okazać się współuczestnikiem jakiegokolwiek niezgodnego z prawem...

- Dajcie, ugryzę go w zad - ryknęła lewa głowa Dwugłowego Jula, i profesor Aj Chocha zamilkł i z obawą odskoczył w bok.

- Przestań, Dwugłowy! - powiedział surowo admirał Macomber. - Ucz się zachowywać przyzwoicie. Widzi pan, profesorze - zwrócił się uprzejmie do starego konia - wyjaśnienia zajęłyby dużo czasu, a my się bardzo spieszymy. Potem oczywiście dowie się pan wszystkiego, a na razie proszę zaufać mi we wszystkim i bezwzględnie we wszystkim mi się podporządkować. Mogę zresztą zapewnić pana, że nasze działania wypływają z jak najszlachetniejszych pobudek. Ma pan do czynienia z mieszkańcami Ziemi, profesorze.

- W takim przypadku - oznajmił uroczyście profesor Aj Chocha - czuję się usatysfakcjonowany i w pełni na panu polegamy, admirał Macomber.

Słynny kosmonauta skłonił się.

- Dziękuję panu - oświadczył. - A teraz - uwaga... Dwugłowy, proszę wrócić na platformę. Zostaniesz odtransportowany. Drogi Aramisie, przygotuj się do podniesienia platformy, ale oścień trzymaj w pogotowiu. Atos, będę bardzo zobowiązany jeśli dalej będziesz osłaniał nasze tyły. Wstrst, jeśli ci to nie sprawi kłopotu, proszę polecieć i otworzyć właz. I pamiętaj, że mamy cię na celowniku.

- Och, żeby to wszystko się już skończyło!.. - wyskrzypiał Wstrst, rozpostarł swoje wielkie skrzydła i ciężko wleciał pod sufit. Admirał Macomber uniósł lufę blastera i bacznie obserwował każdy jego ruch. Sapiąc i przeklinając półgłosem Wstrst popętlął wzdłuż prawej krawędzi włazu obmacując betonowe sklepienie. Coś sucho szcęknęło i metalowa płyta odsunęła się, odsłaniając jasno oświetlony prostokąt.

- Gotowe - skrzypnął Wstrst.

- Dziękuję - powiedział admirał Macomber. - Proszę odsunąć się na bok... Tak właśnie. Aramis, proszę...

Miękko ryknął silnik, latająca platforma powoli uniosła się, na chwilę przestoniła bielejący właz i zniknęła z widoku. Po chwili nad krawędzią włazu pojawiła się twarz Aramisa.

- Wszystko w porządku - powiedział niegłośnie muszkieter. - W tej sali nie ma nikogo.

- Doskonale - rzekł admirał Macomber. - A teraz, Wstrst, chciałbym się dowiedzieć jednej rzeczy. Czy Wielki Ośmionóg i jego osobisty podczaszy mają skrzydła?

- Skrzydeł nie mają - przyznał ponuro Wstrst.

- W takim razie bądź łaskaw opowiedzieć mnie i Atosowi, w jaki sposób obchodzą się tu bez nich owi nosiciele intelektu.

Wstrst płaczliwie wyskrzeczwał, że ani podczaszy, ani tym bardziej sam Wielki Ośmionóg nigdy nie muszą osobiście schodzić do składu trunków, a jeśli nawet taka potrzeba by zaistniała, to na podobną okoliczność skład posiada inne wejście, całkowicie nadające się dla istot bezskrzydłych...

Podczas gdy zaczepiony nogami o skraj włazu i wiszący głową w dół Wstrętny Staruch łgał i wykręcał się, admirał Macomber spoglądał ostentacyjnie na zegarek, Atos igrał dwoma ostatnimi granatami przerzucając je z ręki do ręki, a profesor Aj Chocha z niecierpliwością rył przednimi kopytami bazalt i hałaśliwie wzdychał. W końcu admirał Macomber przerwał Wstrstowi w pół

słowa.

- Twój czas minął - oznajmił nie dopuszczającym sprzeciwu tonem. - Wstrst, proszę sfrunąć na dół.

Wstrst pokornie zamilkł. Wstrst sfrunął i odwróciwszy się tyłem do słynnego kosmonauty pochylił grzbiet. Na znak admirała Macombera profesor Aj Chocha, chichocząc wstydliwie i pobekując z przestrachu, wgramolił się Wstrstowi na plecy i objął jego słoniową szyję przednimi kopytami. Wstrst przeciągle postępując wwindował ów ciężki ładunek przez otwór włazu, po czym wrócił po admirała Macombera i Atosa. Atos gotów był przysiąc, że gdy metalowa płyta zgrzytając wypełzła spod ściany i wróciła na swoje miejsce zakrywając wąż, jego uszy złowiły w oddali pod sklepieniem lochu ochryple krzyki Dziobatej Skolopendry myszkującej na czele tarantuli pośród baków i beczulek.

Pomieszczenie, w którym znaleźli się Ziemianie i ich jeńcy, okazało się całkowicie pustym pokojem ze ścianami i sufitem nieprawdopodobnej białości i bez jakichkolwiek śladów nie tylko okien (co zresztą było całkiem naturalne) ale i drzwi. I nie było w nim niczego ani nikogo wyglądającego jak „takie okrągłe niby koło od woza albo i większe i jeszcze z jakimiś ogonami zamiast wszystkiego innego”. Aramis ze swoim ościeniem obszedł po obwodzie pokój, wrócił do platformy, przysiadł na brzegu obok Dwugłowego Jula i w milczeniu popatrzył na Wstrsta. Wszyscy pozostali również popatrzyli w milczeniu na Wstrsta. Były wierny zausznik i wykonawca najsubtelniejszych poleceń nie wytrzymał owego milczenia i owych spojrzeń.

- Czego się na mnie gapicie? - wrzasnął, cofając się i wystawiając przed siebie trzęsące się ręce. - To nie moja wina! Nic więcej nie wiem! Nic, rozumiecie? Nie ważcie się tak na mnie patrzeć! Nie zwykłem! Ja mam nerwy!..

- Zdradziłeś nas, stara kulawa trąbo! - ryknęła lewa głowa Dwugłowego Jula i dwugłowy pirat powoli wstał. - Zwabiłeś do pułapki, podły zdrajco! No, ale mnie to już nie przeżyjesz!

- Proszę przestać, Dwugłowy - skrzywił się admirał Macomber z odrazą zbierając ze spodni mokre od potu kłaczki Wstrstowej sierści. - Krzyk nie pomoże... O co chodzi, Wstrst? Mam nadzieję, że się nie pomyliłeś? To rzeczywiście apartamenty cudownego doktora Itai-itai?

Tak, to w rzeczy samej apartament cudownego doktora. Nie może być żadnej pomyłki. Pomarańczowy as pik, wąż nad beczkami nalewki z kwasu cyjanowodorowego na kamieniach wątrobowych gigantycznych ptaków z planety Loki, jak to je zwał... Ale w tym pomieszczeniu pusto było zawsze, gdy Wstrst odprowadzał tu i odtransportowywał Wielkiego Ośmionoga. Sam Wstrst nigdy cudownego doktora nie widział na oczy. Dostarczał Wielkiego Ośmionoga albo drogich mu nieboszczyków, po czym bywał odsyłany z powrotem do piwnic z rozkazem czekać... Owszem, cudowny doktor wskrzesił go, ale gdzie i jak się to odbyło, Wstrst nie ma pojęcia. Nikt by nie miał, gdyby władowano weń taką ilość eksplodujących pocisków... I w ogóle on, Wstrst, zrobił wszystko, czego od niego żądano: doprowadził Ziemian na pokoje cudownego doktora Itai-itai, a co dalej - myślcie sami. Jemu, Wstrstowi, teraz tak czy owak śmierć pisana, ponieważ Wielki Ośmionóg za nic nie wybaczy podobnego postępuku. I nie trzeba żadnych pocieszeń ani obietnic. Jego, Wstrsta, kariera skończyła się raz i na zawsze, w najlepszym wypadku czeka go żalospny los

wygnańca na jakimś obrzydłym asteroidzie z dala od przyjaciół i bliskich, a on tymczasem przywykł był każdego ranka dostawać do łóżka filiżaneczkę gorącej wody leczniczej z południowego bieguna planety Złamanych Serc i świeżą bułeczkę upieczoną z mąki zboża rosnącego wyłącznie na jednej jedynej wysepce pośrodku Oceanu Wschodniego planety Podziemnych Tchórzy... Równie świetny znawca natury istot rozumnych jak admirał Floty Kosmicznej i członek Rady Światowej planety Ziemia doskonale pojmował, że tym razem starzec nie kłamie. Rzeczywiście nic nie wie. Zdał się całkowicie na litość zwycięzców i tylko u nich może teraz szukać ochrony przed gniewem byłego pana. Być może Wielki Ośmionóg domyślił się celu tajemniczego napadu i zarządził, aby cudownego doktora przeniesiono do innych apartamentów. Być może sam cudowny doktor nie życzy sobie mieć do czynienia z zuchwałymi przybyszami. Być może cudowny doktor w ogóle nie jest żadnym żywym nosicielem intelektu, lecz sprytnym urządzeniem, którego sekret zna ze słów nieboszczyka Modliszka Pandy jedynie sam Wielki Ośmionóg. Wszystko możliwe. A tymczasem pod ich nogami kłębią się żądne krwi tarantule Dziobatej Skolopendry, po korytarzu za którąś z białych ścian łomoczą pazurami uzbrojone po zęby oddziały straży, a na powierzchni planety, nad ich głowami, brzęczy postawionym w stan alarmu rojem cała bojowa potęga zawodowych morderców i łupieżców...

- A więc co robimy? - zwrócił się Aramis do admirała Macombera.

Słynny kosmonauta wzruszył ramionami, podszedł do jednej ze ścian i postukał w nią uchwytem blastera.

- Proszę wejść! - rozległ się dźwięczny i całkiem sympatyczny głos.

I ściana zniknęła.

Ziemińskimi cudami się nie zadziwi. Ziemińskimi sami stali się wielkimi znawcami, koneserami i twórcami cudów. Ale to, co odsłoniło się przed ich wzrokiem po zniknięciu ściany, wstrząsnęło nawet nimi. Wszystkiego, tylko nie tego oczekiwali w najgłębszych zakątkach nieskończonego im obcego i nieskończonego wrogo imperium zła.

Zobaczyli duży okrągły stół, nakryty białą serwetą i otoczony staroświeckimi krzesłami z miękkimi siedzeniami. Pośrodku stołu lśnił czystym srebrem i puszczał obłoczki pary wielki brzuchaty samowar z równie brzuchatym porcelanowym imbrykiem na górze. Samowar otaczały kryształowe wazy z konfiturami, srebrne tace ciastek i wyplatane koszyczki pełne sucharków i bułeczek. Na brzegu stołu przed każdym krzesłem pyszniły się porcelanowe filiżanki na spodkach i kryształowe talerzyki z małymi srebrnymi łyżeczkami. Nad owym zdumiewającym stołem unosiły się wonie mocnej, świeżo parzonej herbaty, wanilii i ciast, i teraz na Dwugłowego Jula przyszła kolej wstrzymać oddech i łapać się za nosy.

Niewysoki, bardzo tęgi i bardzo rumiany mężczyzna z pyszną siwą czupryną, krzaczastymi brwiami i akuracym wąsikami pod perkatym różowym nosem niespiesznie odstawił na stół naczynie, osuszył serwetką usta, i odsuwając krzesło, wstał.

- Witajcie rodacy - rzekł dźwięcznym, aksamitnym głosem. - W końcu zjawiliście się. A ja czekam na was już ponad tysiąc lat.

- To nie istnieje - powiedział z przekonaniem admirał Macomber i przetarł oczy.

- Zbiorowa halucynacja - westchnął smutno Aramis.

- I tutaj człowiek z Ziemi! - wychrypiała lewa głowa Dwugłowego Jula.

- Pachnie zdumiewająco smakowicie... - wybeczał z zachwytem profesor Aj Chocha.

- A ja właśnie czegoś w tym rodzaju się spodziewałem - wypiszczął Jaturkenzensirchiw, wychodząc zza pazuchy słynnego kosmonauty.

Wstrst w swoim kącie wyskrzeczwał coś całkiem niezrozumiałego (coś w rodzaju „Boże, zmiłuj się nad nami grzesznymi”) i z głową skrył się w swoich błoniastych skrzydłach. Jedyne Atos niczego nie powiedział. Z niejasnym dla niego samego niepokojem i wyczekiwaniem wpatrywał się w duże ciemne oczy nieznanego. Zdumiewająco znajome oczy!

Nieznanomy roześmiał się ukazując równe, białe zęby.

- Dobra, pozdumiewajcie się trochę - powiedział. - Czas jeszcze mamy. Nawiasem mówiąc, poznamy się. Bo ja was znam, a wy mnie - nie. Nazywam się... dokładniej mówiąc nazywają mnie tutaj cudowny doktor Itai-itai... Admirale Macomber, niech pan odstawi na podłogę swoją teczkę i schowa broń do kieszeni. Broń w ogóle nie będzie już panu potrzebna, a teczka przyda się nie wcześniej niż za kwadrans. Atos, schowaj proszę swoje granaty. Aramisie, mój nieoceniony kuzynie, odłóż oścień: Dwugłowy

Jul nie jest już więcej twoim przeciwnikiem, a Wstrst i bez tego ledwie zipie. Ach...

Szybkim, sprężystym krokiem ruszył ku latającej platformie. Dwugłowy Jul słaniając się z osłabienia i podniecenia, zastąpił mu drogę.

- Doktorze - rzekła lewa głowa. - Rzeczywiście nazywają cię cudownym doktorem Itai-itai? Wylecz mnie, doktorze! Klnę się na krwawą Protuberę i trupią Nekrydę, wylecz mnie, a nie pożałujesz!

Doktor Itai-itai odsunął go niedbale.

- Z tobą później. Najpierw muszę zerknąć na swego nieszczęsnego praprapra... (Tu admirał Macomber powtórnie przetaił oczy i potrząsnął głową)... praprapra... (Atos spostrzegł się i zaczął odliczać na palcach)... praprapra... (Aramis złapał głęboki oddech)... praprapradziadka.

Pochylił się nad spektrolitową kapsułą. Admirala Macomber, Atos i Aramis nie umawiając się postąpili ku niemu. Doktor Itai-itai wyprostował się i marszcząc krzaczaste brwi popatrzył na nich surowo.

- Tylko proszę nie przeszkadzać - oznajmił nie srogo, ale bardzo zdecydowanie. - I radzę odsunąć się dalej, tutaj zaraz będzie dosyć zimno. Nie - nie! - Uniósł zdecydowanie dłoń. - Żadnych pytań! Wskrzeszanie zmarłych to w ogóle sprawa bardzo odpowiedzialna, cóż dopiero wskrzeszanie własnego przodka. Nie rozpraszać mnie. Skończymy z pracą, siądziemy za stołem, wówczas będziecie zadawać pytania.

Ziemiańscy niczym we śnie odstąpili od platformy. Pokój z samowarem na nakrytym stole ponownie skrył się za nieprzeniknącą białą ścianą, w kącie smutno zawył pod swoimi skrzydłami Wstrst, kryjąc się za szerokimi ramionami Dwugłowego Jula zastrzygł niespokojnie uszami profesor Aj Chocha. Admirala Macomber chciał coś powiedzieć - i tylko zakasłał. Cóż zresztą powiedzieć w takiej sytuacji? Atos wyciągnął rękę - ni to żeby pomóc, ni to żeby przeszkodzić - i

ręka opadła. Komu zresztą pomóc, czemu przeszkodzić? Aramis ze skamieniałą twarzą skrzyżował ręce na potężnej piersi i zastygł w oczekiwaniu. Wszyscy niczym we śnie obserwowali podwójnie cudownego doktora - jak chodzi wokół platformy, wpatruje się w martwą twarz ich przyjaciela, mruży półgłosem jakoś dziwną piosenkę, postukuje w spektrolit wrażliwymi palcami.

I nagle spektrolitowa pokrywa odskoczyła z brzękiem i runęła na podłogę. Nad otwartą kapsułą wzbil się słup szarej mgły, pokój omiótł lodowaty wicher, a Dwugłowy Jul ze straszliwym krzykiem przewrócił się na plecy, zadzierając do góry długie, chude nogi. Szara mgła wypełniła wszystko, zawirowała smużkami, zakłębiła się u ścian i nic nie było widać poza owymi rozbuchanymi szarymi pasmami, które wyły w uszach, zbijały z nóg, miały w twarze garście kłującego szronu. Kosmiczny chłód przenikał do kości i wdierał się do serca, do mózgu, do samej człowieczej duszy.

Potem wszystko skończyło się. Ciekły argon wykypiał, mgła rozwiała się, z oszronionych ścian i nawianych po kątach zasp pociekły strużki wody. Doktor Itai-itai niespiesznie odszedł od platformy. Wielką chustką do nosa ocierał mokrą, zapadłą nagle twarz.

- Wszystko w porządku - powiedział doktor Itai-itai. Admirał Macomber spojrzął na kapsułę i zmrużył oczy. Jaturkenzensirchiv przejmująco pisnął i w panice wsunął się słynnemu kosmonaucie pod pachę. Portos poruszył się.

- Żyje... - wyszeptał ochryple Aramis.

Atos ujął go za rękę i powoli, przystając przy każdym kroku, ruszyli obaj ku kapsule.

Portos otworzył oczy i uniósł głowę.

Traf chciał, że pierwszą osobą, którą zobaczył wróciwszy do życia w trzy lata po krótkiej walce na sto dwudziestym kilometrze, okazał się Dwugłowy Jul wyłazący na czworakach spod platformy, gdzie zagonił go szary huragan. Wielką, zaiste czarnoksięską była sztuka cudownego doktora Itai-itai, ale trzy lata po tamtej stronie granicy między życiem i śmiercią nie zostawiły oczywiście najmniejszego śladu w świadomości Portosa. Ocknął się tak jak i umarł: w gorączce bitwy o Zieloną Dolinę, o ojczystą planetę, i pojawienie się straszliwej dwugłowej postaci na tle białego sufitu, który nie wiadomo dlaczego nagle zastąpił czarne rozgwieżdżone niebo wywołały u niego reakcję natychmiastową i zdecydowaną.

- Bić gady! - ryknął muszkieter i wczepił się oburącz w długie, chude szyje Dwugłowego Jula.

I wówczas zobaczył Atosa i Aramisa. Palce rozluźniły chwyt, Dwugłowy Jul runął jak wór na podłogę.

- To wy? - zapytał zmieszany Portos i usiadł w swojej kapsule. - Nie rozumiem... Co? Gdzie? Jak?

Bez słowa, łykając łzy, Atos i Aramis ujęli go pod ręce i znieśli z platformy. Spektrolitowa kapsuła przewróciła się.

- Daję wam słowo honoru - powiedział z zakłopotaniem Portos - ja naprawdę nic nie rozumiem.

Rozejrzał się. Zobaczył, że przebywa w nieznanym pokoju z oślepiająco białymi ścianami i sufitem. Z jednego kąta gapił się na niego kudłaty stwór z białawym ogonem zamiast nosa, otulony

w jakieś skórzaste błony. Z drugiego kąta wytrzeszczał nań oczy wiekowy koń z nieczesaną grzywą i skołtunionym ogonem. W trzecim kącie stał przyglądając się w zamyśleniu wysoki, postawny mężczyzna w polowym mundurze kosmonauty. Mężczyzna miał szczupłą, kościstą, wysmarowaną sadzą twarz i opalone włosy, nawet jego uniform był poprzepalany w wielu miejscach, a z największej dziury na piersiach wyglądała uderzająco znajoma mordka jakiegoś zwierzątka - ni to kociaka, ni to króliczka, - z małymi uszkami i czerwonymi ślepkami. A obok zdumiewająco sympatyczny siwowłosy mężczyzna pochylał się nad rozciągniętym na podłodze dwugłowym typem, od stóp po obie szyje ubranym na czarno. Prawe oko prawej głowy typu zakrywała czarna opaska. Troje pozostałych oczu miał zamknięte, a oba języki wywalił na wierzch.

- Nie - powiedział Portos. - Mimo wszystko nic nie rozumiem. Ale to w końcu nie takie ważne. Powiedzcie tylko, kto wygrał?

- Myśmy wygrali, stary! - powiedział Aramis, obejmując czule Portosa, a Atos tylko klepnął zmartwychwstałego przyjaciela między łopatki.

- A to kto? - spytał gromkim szeptem Portos i wykonał dłonią uogólniający gest, przy pomocy którego włączył do swego krótkiego pytania i profesora Aj Choche, i Wstrsta, i admirała Macombera, i cudownego doktora Itai-itai, i Dwugłowego Jula.

Atos i Aramis popatrzyli na siebie, a potem obaj spojrzeli na doktora Itai-itai. Ów uśmiechnął się serdecznie:

- Nie martwcie się, przyjaciele. Mój szlachetny przodek jest całkowicie zdrowy, możecie powiedzieć mu wszystko, co chcecie.

- Tylko niech więcej do mnie nie lezie z łapami - niezwykle rześkim i dźwięcznym głosem oznajmiła nagle lewa głowa Dwugłowego Jula. - W końcu mam swoje reakcje. Jeszcze trochę i posłałbym go z powrotem do szklanej skrzynki.

- Jak się pan czuje, szanowny Julu? - zapytał doktor Itai-itai. Na obu obliczach Dwugłowego Jula odmalował się stopniowo wyraz najwyższego zdumienia.

- Według mnie... - wyszeptała lewa głowa i umilkła. Dwugłowy Jul uniósł ręce do prawej głowy i obmacał ją ostrożnie. - Jestem zdrowy... - wyszeptała z podziwem prawa głowa.

- Jestem zdrowy! - ryknęła lewa i Dwugłowy Jul, zerwawszy z prawej głowy zaplamione zielenią bandażę, poderwał się na nogi jak akrobata, wprost z leżenia. - Doktorze! Cudowny ty mój doktorze!

Porwał śmiejącego się doktora w objęcia i trzykrotnie wycałował w policzki obiema głowami. Po czym wykonał ostry zwrot ku admirałowi Macomberowi.

- No, admirałe... - zaczął.

- Spokojnie! - rzekł z groźbą w głosie słynny kosmonauta i włożył rękę do kieszeni.

Dwugłowy Jul stanął jak wryty.

- Ech, admirałe... - powiedział i jakby stracił oddech. - Ech przyjaciele, nic nie rozumiecie. Ja już od dawna jestem swój, wasz. Bo wy jesteście tacy... Gotów jestem za was całą swoją zieloną krew oddać, a wy mnie wciąż w plecy szturchacie żelastwem... Jaturkenżensirchiw!

- Tu jestem, Dwugłowy! - wypiszczwał Jaturkenżensirchiw; już siedział na ramieniu admirała

Macombera i przytrzymał się jego głowy.

- Czytasz moje myśli jak książkę, stary zdrajco. Powiedz im!

- Wcale nie jestem zdrajcą - oznajmił z godnością były szpieg, którego nosi się ze sobą. - Po prostu przeszedłem na stronę silnych i sprawiedliwych. Ale mogę zaświadczyć, że obecny tu Dwugłowy Jul jest całkowicie zdrow i nie odczuwa więcej strachu przed śmiercią, że odnosi się do pana, admirale Macomber, z przyjaznym szacunkiem... Do pana, doktorze Itai-itai, jak do samego Pana Boga... Do Atosa ze strachem i podziwem, a wobec Aramisa czuje się wdzięcznym i wręcz niewypłacalnym dłużnikiem...

- Proszę rozpiąć kołnierz, szanowny Julu - polecił doktor Itai-itai. Dwugłowy Jul spojrzał nań z obawą i potrząsnął przecząco obiema głowami. - Rozepnij, mówię! - powiedział doktor podnosząc głos. - Porządni ludzie takich rzeczy się nie wstydzą! Dwugłowy Jul rozpiął niechętnie zamek błyskawiczny na piersi i wszyscy zobaczyli na jego bladozielonej skórze głębokie szramy, jak gdyby po ugryzieniach lisa.

- Owe rany - oświadczył uroczyście doktor Itai-itai - to jedyne poza zranionym sercem obrażenia, których nawet ja nie potrafię i nie pragnę uleczyć. Dwugłowego Jula pogryzły i pokąsały wyrzuty sumienia. Może się pan zapiąć, szanowny Julu.

Nastąpiło milczenie. Dwugłowy Jul, spuściwszy obie głowy, zapinał suwak. Na jego czterech policzkach płonął szmaragdowy rumieniec.

- Szalenie wzruszające! - wybezczał profesor Aj Chocha. Z jego dobrych, głupich oczu spłynęły i z brzękiem upadły na podłogę dwie ciężkie niczym rtęć łzy.

Admirał Macomber podszedł do Dwugłowego Jula i poklepał go po ramieniu.

- A niech was!.. - Dwugłowy Jul odwrócił się.

Aramis zbliżył się doń z drugiej strony i poklepał po drugim ramieniu.

- Dajcie spokój... - mruknął Dwugłowy Jul. Atos i Portos również podeszli do niego.

- Wybacz - rzekł dobrodusznie Portos.

- Nie ma za co... - mruknął Dwugłowy Jul.

- Jednakże - oznajmił z zakłopotaniem admirał Macomber - chcielibyśmy zadać panu, doktorze, kilka pytań.

- Właśnie! - podchwycił Aramis. - Przede wszystkim dlaczego nazywa pan Portosa swoim pra...

- Przede wszystkim - przerwał mu słynny kosmonauta - czemu uważa pan, że broń nie będzie nam więcej potrzebna?

- Och, to bardzo proste - powiedział doktor Itai-itai. - Ale z pracą skończyliśmy, moi mili, i możemy porozmawiać przy stole.

Pstryknął palcami i ściana zasłaniająca zastawiony stół z samowarem zniknęła.

- Proszę - powiedział doktor.

Wszyscy ruszyli niezdecydowanie ku stołowi, ale nagle admirał Macomber zatrzymał się.

- Jestem zmuszony prosić o wybaczenie... - zaczął.

- Tak! - spostrzegł się doktor Itai-itai. - Jasne, zupełnie zapomniałem. Niech pan wzywa eskadrę, admirale Macomber. Teczka stoi, jeśli się nie mylę, w tamtym kącie.

Słynny kosmonauta popatrzył na niego ze zdumieniem, rozłożył ręce i podszedł do teczki. Wyjął z niej cztery cylindryczne przedmioty, wprawnie połączył je szczytami i postawił na podłodze.

- Co to? - spytał z ciekawością Aramis, przyglądając się lśniącej metalowej kolumnie wysokości człowieka.

- Wupeerbe - odparł admirał Macomber. - Wszystkoprzenikająca radioboja. Nowość. Po naciśnięciu tej oto dźwigienki jego materia przestaje się i staje przenikalna i przenikliwa w stosunku do zwykłej materii naszego Wszechświata. Miniaturowy, ale potężny silnik grawitacyjny wynosi wupeerbe na wyznaczoną wysokość, gdzie zaczyna działać miniaturowy ale silny radionadajnik. Bip - bip - bip... Proszę popatrzeć.

Admirał Macomber szcęknął małą dźwigienką na ścianie drugiego od dołu cylindra. Rozległo się ciche buczenie, lśniąca kolumnienka oderwała się od podłogi, skierowała w sufit i znikła.

- A dalej co? - spytał rozczarowany Portos.

- A dalej co? - odparł admirał Macomber zamykając pustą teczkę - dalej wupeerbe uniesie się na wysokość jednego megametra i poda sygnał do ataku.

- Komu? - spytali chórem Ziemianie i Dwugłowy Jul.

- Połączonej Eskadrze Kosmicznej. Leciała trop w trop za „Czarną Piranią” i stanęła w odległości tysiąca megametrow czekając na zakończenie operacji „Itai-itai”... Proszę o wybaczenie, doktorze. Skoro tylko zacznie pracować nasz wupeerbe - bip-bip-bip - sto pięćdziesiąt najsilniejszych ziemskich gwiazdolotów uzbrojonych według ostatniego słowa najnowszej techniki bojowej rozpocznie atak na Planetę Łotrów.

- Och! - wyrwało się lewej głowie Dwugłowego Jula. Doktor Itai-itai roześmiał się.

- Niech to pana nie niepokoi, szanowny Julu - powiedział. - Rzezi nie będzie. Pańscy byli koledzy poddadzą się bez strzału, dziesiątki tysięcy niewolników otrzymają wolność, a wy wszyscy powrócicie szczęśliwie na Ziemię. Nie wiem jednak jak wy, ale ja zgłódniałem. Do stołu, do stołu! Pan również, Wstrst.

Zasiedli za stołem i każdy otrzymał z rąk doktora Itai-itai pełną filiżankę wyśmienitej herbaty, i każdy wziął sobie po talerzyku konfitur wedle gustu. Przez jakiś czas słychać było jedynie jak dzwonią łyżeczki, parska profesor Aj Chocha, jak głośno siorbie i sapie Dwugłowy Jul, i posykuje parząc się i rozkoszując wrzątkiem rozczarowany przebiegiem wydarzeń Wstrst.

- Jeszcze filiżaneczkę, admirał Macomber? - spytał doktor.

- Dziękuję - odparł słynny kosmonauta. - Ale gdyby zechciał pan wyjaśnić...

- Ja na przykład bardzo chciałbym chociaż co nieco zrozumieć - przyznał uczciwie Portos. - Eskadra, atak, Planeta Łotrów... Oczywiście konfitury malinowe są ponad wszelkie pochwały, rurki czekoladowe również, ale gdyby ktoś mi wyjaśnił...

- Rzeczywiście, doktorze - powiedział prosząco Aramis. - Przecież to zaczyna przypominać tortury...

- No dobrze - zgodził się doktor Itai-itai i opadł na oparcie krzesła. - Pomówmy. Od czego by zacząć? Tak! Przede wszystkim uspokoimy admirała Macombera. W końcu dowodzi operacją

nazwaną moim imieniem i jest za was wszystkich odpowiedzialny. A więc... Nie będzie pan musiał więcej walczyć, admirale. Połączona Eskadra zbliża się, akurat zdejmując wysunięte przednie placówki, ale pozostaje jej właściwie tylko pozamiatać śmieci pozostałe po waszej pokazowej operacji dywersyjnej - Los Planety Łotrów rozstrzygnął się w chwili waszego tu pojawienia. Ależ admirale! Proszę się postawić na miejscu Wielkiego Ośmionoga, Majstra Krega i reszty w najwyższym stopniu przedsiębiorczych nosicieli intelektu. Po trzyletniej nieobecności zjawia się nie wiadomo skąd „Czarna Pirania”. Wysłany na jej pokład w celu skontrolowania sytuacji zaufany Wstrst zniknął w nader tajemniczy sposób wraz z czterema potężnymi robotami-strażnikami, których nie rusza żadna broń. Oddział nieznanych przybyszów przenika do sanktuarium siedziby Wielkiego Ośmionoga, na poziom siódmy, i dokonuje bezprzykładnego rozgromienia kantyny wypełnionej zdeklarowanymi zabijakami, po czym jakby zapada się pod ziemię. Wielki Ośmionog nie ma pojęcia kim są przybysze ani ilu ich jest, ale świetnie rozumie, tak samo jak rozumieją to inne rekiny i rekinki Planety Łotrów, a zwłaszcza równie sprytny nosiciel intelektu co Majster Kreg: odkryto współrzędne ich gniazda, nadciąga odwet za wszystkie ich nieprzeliczone zbrodnie przeciwko Bractwu Rozumu we Wszechświecie. A więc jaką decyzję mogą podjąć w podobnych okolicznościach?

- Ucieczka - rzekł w zamyśleniu admirał Macomber.

- Na pełen gaz! - krzyknęła z zachwytem lewa głowa Dwugłowego Jula.

- Słusznie. Rzeczywiście uciekli. Uciekli już godzinę temu, zabierając wszystko co cenniejsze i wszystkich co cenniejszych, w rodzaju Dziobatej Skolopendry, która za dużo wie, a w pewnych sytuacjach bywa niezastąpiona. Mogę sobie wyobrazić jak Wielki Ośmionóg żałuje, że nie ma z nim wiernego Wstrsta... Tak, że w chwili obecnej na planecie pozostali jedynie wolni piraci - niczego nie podejrzewający i w dodatku nienawykli do regularnych działań bojowych, oraz dziesiątki tysięcy jeńców. I możemy, admirale Macomber, nie martwiąc się niczym, oddać się zasłużonemu odpoczynkowi.

- Czy wie pan, gdzie uciekli tamci? - spytał admirał Macomber.

Doktor Itai-itai milczał przez chwilę.

- Rozumiem pana - rzekł w końcu. - Zabierając się do sprawy liczył pan na pochwycenie wszystkich grubych ryb. Niestety, czas jeszcze nie nadszedł. Mogę jedynie uczynić pewną aluzję. W całym znanym Wszechświecie pozostało teraz jedno tylko miejsce, którym włada zło. To system planetarny bezimiennej gwiazdy neutronowej, ojczyzna Majstra Krega. Nawiasem mówiąc, Majstra Krega w swoim czasie wygnano stamtąd za nadmiar serca.

Aramis i Dwugłowy Jul aż jęknęli, a urażony Portos zapytał:

- Kto to taki Majster Kreg?

- Pozwól napełnić ponownie filiżaneczkę, drogi przodku - rzekł uśmiechając się doktor Ita-itai. - I proszę poczęstować się jeszcze paroma czekoladowymi rurkami. Postaram się zaspokoić twoją usprawiedliwioną ciekawość.

- Ale dlaczego „przodku”? - spytał Portos.

- Nie spiesz się - odparł doktor, podał mu filiżankę i zaczął: - Na brzegu oceanu, ongiś

lodowatego, a obecnie i po wsze czasy ciepłego, żyli sobie trzej serdeczni przyjaciele: mistrz, sportowiec i uczonec...

Doktor przedstawiał wydarzenia, o których była mowa w pierwszej części naszej prawdziwej opowieści, i od pierwszych słów wszyscy zamarli w uważnej i pełnej napięcia ciszy, nawet usadowiony za samowarem, z wazką wiśniowych konfitur w objęciach Jaturkenzensirchiv. I nie tylko dlatego, że doktor okazał się świetnym gawędziarzem. Doktor jak gdyby recytował z pamięci znaną mu od dawna opowieść, recytował pełen wyrazu, zwracając uwagę na intonację, wsłuchując się w brzmienie własnego głosu. I wiele szczegółów jego opowieści pozostawało nieznanymi nawet dla admirała Macombera, który wydarzenia znał z wyczerpujących rozmów z Atosem, Aramisem i Galą. Wiele zostało zapomnianych nawet przez Atosa i Aramisa, którzy w wydarzeniach brali udział. Portos ze zdumieniem wytrzeszczał oczy, usłyszawszy wierny opis swoich własnych myśli i uczuć z ostatnich chwil przed staranowaniem kontraktora. Dwugłowy Jul zakaszłał i zawiercił się cierpiennie, słysząc swoje własne zuchwałe przemowy do wziętej do niewoli Gali, a Jaturkenzensirchiv tylko mrużył ślepek i stroszył się, gdy rzecz szła o jego zdradach.

- Dwugłowego Jula zesłano na Czarną Skałę, jego drużynę wyeksponowano na Marsa, a Jaturkenzensirchiv pozostał u Gali - zakończył doktor Itai-itai i wziął z plecionego koszyka sucharek. - Wszystko to zdarzyło się trzy lata temu.

- A potem? - spytał jednym tchem Portos.

- Potem... - doktor ugryzł sucharek i uniósł oczy ku sufitowi. - Hm... Tak. Delikatne pytanie. Zresztą teraz wszystko poza nami, możemy być całkiem szczerzy. Cóż, jak wam już wiadomo, Dwugłowy Jul kategorycznie odmówił podania współrzędnych Planety Łotrów. Jego sumienie ciągle jeszcze spało. Dano mu spokój. Jeden tylko Aramis nie tracił nadziei. Powiedział sobie wówczas twardo, że pirackie gniazdo musi zostać zniszczone. I spróbował drogi okrężnej. Udał się na Marsa i przeżył cały rok w towarzystwie jaszczura Ka, rozgwiazdy Ki i małpizona Ku. Oczywiście nie liczył, że usłyszy od nich współrzędne, wszak ten zwierzynek nawet o elementarnej arytmetyce nie ma pojęcia. Ale cierpliwie wyciskał z piratów wszystkie szczegóły wesołego życia na Planecie Łotrów. Była to gra w ślepo. Ale gra odważna. I opłaciła się. Pewnego razu usłyszał legendę o cudownym doktorze Itai-itai... Opowiadać dalej? - zapytał doktor zwracając się do Aramisa.

Ów wzruszył ramionami i uśmiechnął się:

- Czemuż by nie? Teraz wszystko mamy za sobą.

- Aramis ułożył okrutny i sprytny plan - ciągnął doktor. - Rozumiem go i całkowicie usprawiedliwiam. Trzeba było wyciąć tę narośl na ciele Wszechświata i trzeba było spróbować przywrócić życie poległemu przyjacielowi. Aramis wiedział, że w przypadku niebezpiecznej rany albo choroby Dwugłowemu Julowi nie pomoże żaden lekarz Układu Słonecznego. Wrócił na Ziemię, podpłynął skrycie do Czarnej Skały i wkrótce doczekał się sprzyjającego momentu. Dwugłowego Jula dosięgnął okrutny cios ościenia...

- A więc to ty mnie rąbnąłeś! - wściekle ryknął obojgiem gardzieli Dwugłowy Jul i łypnął na Aramisa.

- Milcz - powiedział surowo Portos. - Za Galę jeszcze więcej ci się należało.

- Za Galę, za Portosa, za wiele innych rzeczy - dodał admirał Macomber. - Ale teraz wszystko mamy za sobą, Dwugłowy. I biorąc pod uwagę czym się cała sprawa skończyła, na twoim miejscu z całego serca bym podziękował Aramisowi...

- Ja już mówiłem - pisał z za samowara Jaturkenžensirchiw - że Dwugłowy Jul czuje się w stosunku do Aramisa wdzięcznym i niewypłacalnym dłużnikiem.

Dwugłowy Jul dla porządku podąsał się z minutę, po czym zmiękł.

- No i co? - rzekła z godnością jego lewa głowa. - Przecież nic nie mówię. Oczywiście, byłem durniem. Z takimi nie ma się co cackać...

- Właśnie! - potwierdził doktor Itai-itai. - Nie było innego wyjścia. No, a resztę znacie.

- Tak! - oznajmił z uczuciem Portos i nawet uderzył pięścią w stół. - Teraz wszystko zrozumiałem. Dziękuję, drodzy przyjaciele. Dziękuję, cudowny doktorze Itai-itai. A więc trzy lata byłem na tamym świecie? Nic nie pamiętam. Szkoda, że nie brałem udziału w bitwie na pokładzie „Strzegącego”! Ech, dałbym ci popalić, dwugłowy bracie w rozumie! Na całe życie byś mnie zapamiętał...

- Ja i tak zapamiętałem - odezwała się lewa głowa Dwugłowego Jula. - Coś ci powiem, muszkietarze. Różni nosiciele intelektu mieszkają w Kosmosie: dobrzy i źli, wspaniali i paskudni. Są odważni, są i tchórzliwi. Ale takich bitnych jak wy, Ziemianie, nie ma nigdzie więcej. Oto co znaczy tlen, woda, chlorofil i czerwona krew! Słonia nie rusz, kiedy śpi, lwa kiedy jest głodny, a Ziemianina nie zaczepiaj nigdy! Tak bym powiedział.

- Ja bym powiedział to samo - zgodził się admirał Macomber. - Ale mam pytanie, doktorze. Na pewno nie wie pan, gdzie się znajduje owa bezimienna neutronowa gwiazda?

Cudowny doktor rozłożył ręce. Wówczas admirał Macomber popatrzył w milczeniu na Wstrsta. I wszyscy pozostali również popatrzyli bez słowa na Wstrsta. Wstrst, który sięgał właśnie trąbą po szesnastą słodką bułeczkę - zmarł.

- Nie, nie - powiedział pospiesznie doktor Itai-itai. - Szanowny Wstrst nie wie. A pan dowie się na pewno. Oczywiście w swoim czasie. Obiecuję to panu.

- No - powiedział Aramis - jeśli chodzi o mnie, wystarczy. Tortura trwa zbyt długo. Niech pan wyklada wszystko, doktorze. Natychmiast. I bez przemilczeń. I bez odwlekania.

- Tak! Tak! - zawołali wszyscy chórem. - Natychmiast i bez przemilczania! I bez odwlekania! Niech pan zaczyna wprost! Kim pan jest? Skąd pan wszystko wie? Dlaczego nazywa pan Portosa przodkiem, a Aramisa krewniakiem?

Doktor Itai-itai unióśł ręce i wszyscy zamilkli.

- Dobrze - powiedział. - Wszystko wyjaśnię. Co prawda jest to niezupełnie zgodne z zasadami, ale cóż począć. Słuchajcie więc.

I cudowny doktor opowiedział najbardziej wstrząsającą historię, jaką kiedykolwiek słyszeli. Zaczynała się nie w przeszłości, jak to zwykle bywa z historiami, lecz w dalekiej przyszłości, w trzy i pół wieku po opisywanych tu zdarzeniach. Do owego czasu Ziemia osiągnęła zaiste fantastyczny poziom rozwoju nauki, techniki i kultury, a końca tego rozwoju wciąż jeszcze nie było

widać. Pracował wówczas wśród miliardów innych uczonych, mistrzów i sportowców pewien skromny medyk o przezwisku Ajboli (Jak pan powiedział? - ożywił się profesor Aj Chocha. Ajboli - powtórzył uprzejmie doktor Itai-itai. - Wspaniale! - zarżał z zachwytem profesor Aj Chocha. - Przepiękne, dźwięczne imię!) Trzeba powiedzieć, że do owych czasów dzięki połączonym wysiłkom higieny i medycyny z oblicza zielonej Ziemi ostatecznie i po wsze czasy przepędzono wszystkie choroby i nawet samą staruchę śmierć, a złamania, rany i inne kontuzje przytrafiające się czasem podczas uprawiania niebezpiecznych dyscyplin sportowych i podczas niebezpiecznych naukowych eksperymentów, każdy Ziemianin nauczył się raz-dwa leczyć we własnym zakresie. Tym sposobem Ajboli na ojczystej planecie nie miał właściwie nic do roboty i, jak wielu jego kolegów, spędzał większość czasu w rozjazdach po zapadłych kątach Wszechświata okazując na miarę swoich możliwości pomoc medyczną zacofanym i nieszczęśliwym światom.

Kiedyś przez pięć lat walczył z pasiąstą dżumą szerzącą się wśród meduzopodobnych mieszkańców planety Żywych Smoków, a gdy powrócił, pilnie poproszono go do Centralnego Archiwum Biograficznego. Opiekun archiwum, blady i zdenerwowany, ledwie zdążywszy przywitać się poprosił o zachowanie całkowitego spokoju i wprost, bez owijania w bawełnę, oznajmił wstrząsającą nowinę: oto on, doktor Ajboli, nie istnieje. Mało tego, nigdy nie istnieli ani jego ojciec, ani babka, ani pradziadek i tak dalej do dwunastego pokolenia. Jak wiadomo, zadaniem pracowników i maszyn w biograficznych archiwach jest zestawianie genealogii wszystkich obywateli kuli ziemskiej. Tak więc przy zestawianiu genealogii doktora Ajboli okazało się, że jego prapraprapraprapraprapraprapradziad poległ śmiercią bohatera odpierając atak kosmicznych piratów trzysta pięćdziesiąt cztery lata wcześniej, nie zdążywszy się ożenić i nie zostawiając po sobie ani syna, ani córki. Bezdziennie zmarła również jego narzeczona Gala, do śmierci dochowując wiary pamięci sportowca.

Cios był straszny! Dobrze i pożytecznie przepracować całe życie, zdobyć licznych przyjaciół, ukochaną żonę i umiłowane dzieci i nagle usłyszeć, że się w rzeczywistości nie istnieje - nie każdy byłby w stanie znieść coś podobnego. Ale Ajboli był człowiekiem mężnym i bystrym. Nie uległ rozpaczom, lecz zwrócił się po pomoc. Cała planeta odpowiedziała na jego prośbę. Archiwariusze odszukali wszystkie książki i dokumenty dotyczące starcia Ziemian z Planetą Łotrów; historycy szczegółowo przekonsultowali się z nim co do wszystkich okoliczności życia i śmierci słynnego Portosa; archeolodzy odnaleźli i odkopali spektrolitową kapsułę z ciekłym argonem, w którym spoczywał wiecznym snem bohater. Nie minął miesiąc i Ajboli wiedział o dawnej tragedii więcej niż wiedzieli jej uczestnicy i świadkowie. Ale wszystkiego tego było oczywiście za mało by poprawić okropną sytuację. Decydująca pomoc nadeszła ze strony fizyków...

- Reszty już oczywiście się domyśliliście, przyjaciele - powiedział doktor Itai-itai. - Wiem, że teoretyczne podstawy podróży w czasie zna nawet wasza nauka. A na jakieś półtora wieku przed moim urodzeniem sprawdzono je również eksperymentalnie. Dalszych doświadczeń decyzją Rady Światowej zakazano - o ile się nie mylę, z powodu zasadniczej niemożności kontroli rezultatów oddziaływania przyszłości na przeszłość. Ale przypadek doktora Ajboli był szczególny. Szło o los człowieka, dobro najwyższe wśród skarbów Wszechświata. Rozumie się, że szefowie owego

gigantycznego przedsięwzięcia postarali się mieć na uwadze wszystkie szczegóły. Operację planowano w całkowitej zgodzie z kronikami i przekazami. Między innymi dlatego właśnie doktora Ajboli przetrzucono nie w wasze czasy, a w piąty wiek po Chrystusie i umieszczono nie na Ziemi, lecz na północnym biegunie fluorowej planетки na skraju Małego Obłoku Magellana. Tam czekał przez pięć wieków napadu Modliszka Pandy, a potem jeszcze przez tysiąc lat wyglądał śmiałego ataku dywersji w lochach Wielkiego Ośmionoga. Albowiem tak właśnie było według historycznej tradycji z legendarnym cudownym doktorem Itai-itai. Jak widzicie, oddziaływanie przyszłości na przeszłość ograniczyło się w istocie jedynie do wskrzeszenia mojego sławnego przodka. Powróciwszy na Ziemię Portos ożeni się z piękną Galą i łańcuch zamknie się ostatecznie. Skończyłem. Dziękuję za uwagę.

I doktor Itai-itai uklonił się.

Zapanowało długie milczenie. Potem admirał Macomber powiedział od serca.

- Jest pan prawdziwym bohaterem, doktorze.

- Owszem - odparł po prostu doktor Itai-itai. - Ale przecież wszyscy na naszej Ziemi tacy jesteśmy

- Zadawanie pytań o naszą osobistą przyszłość nie ma, oczywiście, sensu - rzekł w zamyśleniu Aramis. - Ale niech mi pan powie, doktorze: co będzie, jeśli Portos nie ożeni się z Galą?

Doktor Itai-itai roześmiał się:

- Nie ożeni? Drogi krewniaku, proszę tylko na niego popatrzeć!

Wszyscy popatrzyli na Portosa. Tak, nie było wątpliwości: ożeni się na pewno, od razu widać. Purpurowy z kontuzji Portos odkasznął i powiedział:

- Rozumiem, że Ajboli to pan. A więc dlaczego Itai-itai?

- Ponieważ tak właśnie było zapisane w kronikach. A prawda, pewien mój przyjaciel lingwista objaśnił mi, że „itai-itai” w języku starojapońskim oznacza mniej więcej to samo, co nasz okrzyk „aj, boli!”

- Jeszcze jednego ni w ząb nie pojmuję - powiedziała nagle lewa głowa Dwugłowego Jula. - Czemu to Modliszek Panda opisał pana jako koło z ogonami?

- To akurat jest całkiem jasne. Panda miał bardzo mały zasób słów, wyobraźnię mocno okrojoną, człowieka nigdy nie widział... Nawet pana, szanowny Julu, nie myślę się?

- Tak - zgodził się Dwugłowy Jul. - Wykończyli go jakieś trzysta lat przed moim urodzeniem.

Doktor Itai-itai, onże Ajboli, wstał.

- No cóż, przyjaciele? - rzekł. - Połączona Eskadra Ziemi zawładnęła już planetą. Pora iść. Mamy jeszcze wiele spraw do załatwienia.

6.

Jak się okazało, spraw w rzeczy samej było wiele. Sto cztery tysiące jeńców z różnych plemion wymagało opieki, zintensyfikowanego odżywiania, pomocy medycznej i repatriacji. Tysiąc

ośmuset sześćdziesięciu czterech wziętych do niewoli piratów czekało na bezstronne śledztwo, szybki proces i sprawiedliwy wyrok. Wielkie góry złożonej broni oraz amunicji należało bezzwłocznie przetopić i zniszczyć. Sto szesnście maszyn liczących, zbudowanych w oparciu o żywe umysły trzeba było zdemontować, a zamkniętym w nich nosicielom intelektu przywrócić zwykłą postać. Desantowcy i załogi Połączonej Eskadry Ziemi dawali przykłady cudów organizacji i wytrwałości, ale mimo wszystko rąk i głów do pracy było brak, i wyszedłszy z rezydencji Wielkiego Ośmionoga nasi Ziemianie, a nawet profesor Aj Chocha, natychmiast włączyli się do akcji.

Na zalanym krwawoczerwonym światłem Protubery i trupiosinym blaskiem Nekrydy kosmodromie do admirała Macombera podszedł dowódca Połączonej Eskadry Ziemi i zameldował że: lądowanie bojowych kosmolotów i wysadzenie desantów z zawładnięciem Planetą Łotrów odbyły się bez wystrzału; w pogoń za pirackimi okrętami, które zdążyły uciec, posłano klucze dwunasty i szesnasty czwartego pułku nadświatlnych myśliwców przechwytyjących; on zgodnie z rozkazem Rady Światowej przekazuje dowództwo admirałowi Macomberowi i przechodzi pod jego bezpośrednie rozkazy. Przyjąwszy raport admirał Macomber podziękował byłemu dowódcy za zakończone sukcesem działania i zaczął rządzić.

Minął tydzień, Planeta Łotrów opustoszała. Ostatnie partie oswobodzonych więźniów, w tym również przywrócone normalnemu życiu elementy straszliwych maszyn Majstra Krega, wyruszyły do ojczystych światów - już to gwiazdolotami wysłanymi po nich przez rodaków, już to gwiazdolotami Połączonej Eskadry, jeśli rodacy jeszcze nie dysponowali transportem galaktycznym. Wziętych do niewoli piratów osądzono, niektórych za szczególnie straszliwe przestępstwa skazano na powieszenie w zawieszeniu i wszystkich deportowano na niezamieszkałe planety z trudnymi warunkami naturalnymi: aby wycinali dżungle, osuszali błota, topili lody - jednym słowem, żeby zajęli się pożyteczną społecznie pracą i resocjalizowali. Cała piracka broń, wszystkie pirackie gwiazdoloty (poza „Czarną Piranią”) i całą amunicję strącono w gardziel czynnych wulkanów, zniszczono i zlikwidowano; wszystkie nieprzeliczone złupione skarby zwrócono właścicielom; wszystkie składy trunków wysadzono w powietrze. Niestety, wysłane w pościg za Wielkim Ośmionogiem i innymi w najwyższym stopniu przedsiębiorczymi nosicielami intelektu klucze myśliwców przechwytyjących powróciły z niczym: dranie zdążyli wejść w podprzestrzeń i ślad po nich zaginął. Na Planecie Łotrów nie pozostało nic więcej do roboty i Połączona Eskadra przygotowywała się do powrotu na Ziemię.

Na godzinę przed startem doktor Ajboli poprosił Atosa, Portosa, Aramisa i admirała Macombera, aby zebrali się w sterowni „Czarnej Piranii”.

- Przyszedł czas rozstać się, drodzy przodkowie - powiedział doktor i strząsnął z policzka łzę. - Rad byłem poznać się z wami. Obecnie szczególnie dobrze rozumiem, dlaczego ludzkość w moich czasach jest tak mądra, szlachetna i humanitarna. Za kilka minut opuszczę was, ale na zawsze zabiorę ze sobą ciepło waszych rąk i szczodrość waszych serc...

- Może zajrzy pan najpierw na Ziemię, doktorze? - zaproponował speszony Portos. - Pogościłby pan u nas, popatrzył...

Doktor Ajboli pokręcił głową.

- Nie, drogi i ukochany przodku. Po pierwsze, moja wizyta na Ziemi zwiększyłaby prawdopodobieństwo niepożądanego oddziaływania przyszłości na przeszłość. Po drugie, każda sekunda pobytu w waszym czasie kosztuje moich współczesnych siedemnaście i pół miliona kilowatów energii, nasi fizycy oddali dla operacji materię całej gwiazdy. I po trzecie, tam, w moich czasach, przyjaciele i bliscy oczywiście nie zdążyli zatęsknić, wszak wrócę do nich najwyżej w sekundę po opuszczeniu ich, ale jakże ja się za nimi stęskniłem przez półtora tysiąca lat! Pilno mi ujrzeć ich i uściskać. Zwłaszcza starszego syna - nawiasem mówiąc bardzo podobnego do ciebie...
Objął admirała Macombera:

- Proszę mieć na uwadze, drogi admirale, że wyleczyłem Dwugłowego Jula ze wszystkich chorób, w tym również z alkoholizmu, ale to, co ma zamiast prawego oka pod czarną opaską na prawej głowie zostawiłem. Jeszcze odda wam to wielką przysługę, jako że czcigodny Jul jest teraz wasz duszą i ciałem, i w pełni możecie na nim polegać.

Objął Aramisę:

- Wiem, drogi krewniaku, jaką masz ochotę zerknąć na świat, który wypędził Majstra Krega za nadmiar miłości. Wierz mi, jeszcze ten świat zobaczysz.

Objął Portosa:

- Żegnaj, drogi i ukochany przodku. Wiem, że będziesz szczęśliwy z Galą, widzę to już teraz, ale mimo wszystko zgodnie z obyczajem i z całego serca życzę wam szczęścia.

I na końcu objął Atosa:

- Nie umiem i nie chcę leczyć serdecznych ran, przyjacielu. Cóż robić! Ale wiem, że niezależnie od wszystkiego przyjaciółmi byliście i przyjaciółmi na wieki pozostaniecie.

Tak pożegnawszy się ze wszystkimi doktor Ajboli, onże cudowny doktor Itai-itai, odstepił na środek kabiny i zniknął.

- Dobry człowiek - powiedzieli chórem Atos, Portos i Aramis. Admirał Macomber skinął w zamyśleniu głową.

Ekspedycja do piekła

1.

Dzień 15 lipca 2222 roku naszej ery, trzysta piątego roku Wielkiej Rewolucji, był na planecie Ziemia i w okolicach piękny i zwyczajny.

Zasapani technicy meteo otarli pot z czoł po stłumieniu w trakcie niszczycielskiego pochodu podstępного cyklonu „Maszeńka”.

Na żyznych płycznach Zatoki Helgolandzkiej otwarto nowy ośrodek hodowli smakowitych małży „gloria mundi”.

Kilka stopni od Bieguna Południowego wieże wiertnicze wydusiły z płaszcza Ziemi stutysięczną tonę tajemniczej masy perydotytowej.

W sercu Rezerwatu Ussuryjskiego, w skromnej gajówce na brzegu rzeczki Bikin lekarze, historycy i uczniowie uczcili okrągłą rocznicę urodzin jedenastego już człowieka, który przekroczył właśnie barierę trzystu lat czynnego życia.

Zakwiliły i żałośnie zastękały setki tysięcy noworodków, przyszłych lekarzy, nauczycieli i wychowawców, mistrzów, uczonych i sportowców oraz - czemuż by nie - wielkich pisarzy, artystów i filozofów.

W mieście-parku na Marsie młoda mama wsoliła swojemu pięcioletniemu rozbójnikowi parę klapsów za to, że ów nauczył domowego robota ganiać koty i ciągać je za ogony.

Startowały w Daleki Kosmos i powracały do rodzinnych baz gwiazdoloty superdalekiego zasięgu; spóźniali się na randki, całowali i kłócili zakochani; poeci konstruowali wiersze, a mistrzowie tworzyli poematy z metalu i elektroniki; ktoś wchodził bez lęku do komór eksperymentalnych, a ktoś z bezgraniczną ostrożnością i niezmierną cierpliwością badał niemowlę, które niespodziewanie zagrymasiło... Jednym słowem ludzkość żyła owego dnia 15 lipca tak, jak od dawna przywykła, na pełen gaz.

A jednak właśnie w ów piękny i zwyczajny dzień miały miejsce niezwykle wydarzenia, które dały początek przedsięwzięciu znanemu później pod kryptonimem „Ekspedycja do piekła”.

A było to tak:

O godzinie 3 minut 16 czasu ziemskiego sztab naczelnego dyżurnego Rady Światowej otrzymał ze Służby Okołoziemskich Stacji Kosmicznych informację, że w sektorze 8-C z nieznanых przyczyn rozsypał się właśnie w drobny mak jeden z modułów ogniskujących suboptycznego teleskopu. Na miejsce tajemniczej awarii wysłano raketę z grupą inspekcyjną.

O godzinie 6.33 infor naczelnego dyżurnego eksplodował alarmującym komunikatem Zarządu Żeglugi Arktycznej. Atomowy katamaran „Dmitrij Laptiew”, płynący z Dutch Harbour (Aleuty) do Nagórskiej (Ziemia Franciszka Józefa) przechodząc nad południowymi odnogami Grzbietu Łomonosowa dostał się w gigantyczny wir zupełnie niezwykłej mocy. Przez kilka minut katamaran

rozpaczliwie manewrował, żeby uniknąć porwania przez prąd wiru, po czym zjawisko nieoczekiwanie ustąpiło, wyrzucając na powierzchnię niewiarygodne masy piany wymieszanej z ılem (przy gıębokości 960 metrów!). Jak na razie specjaliści nie s w stanie wyjaśnić fenomenu. Katamaranowi polecono z maksymalną prędkości wycofać się z niebezpiecznej strefy. Na miejsce zdarzenia wysłano hydroplany z grup naukowo-badawcz.

O 11.25 Służba Okołoziemskich Stacji Kosmicznych przekazała meldunek swoich inspektorów. Według jednogłosnej opinii specjalistów moduł teleskopu rozerwał na kawałki dwudziestotonowy mniej więcej ładunek trotylu, który nie wiadomo jakim sposobem znalazł się we wnętrzu hermetycznej komory ogniskujcej. Ale szczególnie wstrząsajce okazało się coś innego. Pośród szcztków znaleziono prostoktn metalow płytę wielkości zeszytowej kartki z wygrawerowanym kaligraficznie napisem: „Pozdrowienia od Wielkiego Ośmionoga, Majstra Krega i Dziobatej Skolopendry!”

(Naczelnny dyżurny był człowiekiem bywałym, z niejednego pieca chleb jadł, ale o kimś takim w życiu nie słyssał. Potrząsał głow i prosił, żeby dziwaczne „pozdrowienia” dostarczyć mu niezwłocznie do sztabu).

O 12.47 zadzwoniono ponownie z Zarządu Źeglugi Arktycznej.

Tym razem telefonował sam naczelnik zarządu. Minę miał niczym nastolatek ogldajcy karciane sztuczki („Wiemy, wiemy, to tylko zręczność rk, nic więcej...”) Okazało się, że jeden z przeczesujcych strefę niezwykłego polarnego wiru hydroplanów odkrył w mętnych od ıłu falach porcelanowy cylinder z zakrętk. Pokrywkę zdjęto. Z cylindra wypadła kartka grubego żółtego papieru, na której ładnym charakterem pisma nakreślono czerwonym tuszem słowa: „Pożyczyliśmy na wieczne nieoddanie parę miliardów ton słonej wodeńki z rybami, meduzami i innym barachłem. Okazała się nieprzydatna i cał wylaliśmy na wasze słońce. Nie dziękujemy, o wybaczenie nie prosimy. Wielki Ośmionóg, Majster Kreg, Dziobata Skolopendra”.

Ha! Tym razem naczelnny dyżurny nie potrząsał głow, tylko nachmurzył się i poprosił Źeglugę Arktyczn o natychmiastowe dostarczenie mu dziwnego dokumentu do sztabu. Po czym zameldował o wszystkim przewodniczcemu Komisji do spraw Wydarzeń Nadzwyczajnych. Ten wysłuchał, pomyślał i powiedział:

– Natychmiast lecę do was z moim socjologiem. Mamy tu pewn piln robótkę, ale cóż poradzić, odłóżymy j na póżniej.

Tymczasem niech pan ścignie pozostałych członków mojej komisji.

O 13.56, w chwili, gdy przewodniczcy Komisji i jego socjolog wchodzili do gabinetu, na biurku naczelnego dyżurnego znalazł się dostarczony zero-poczt plastikowy pakiet. Dyżurny, mruczc przeprosiny, otworzył pakiet i po gabinecie rozszedł się lekki, ale bardzo nieprzyjemny zapach. Przewodniczcy Komisji pocignł nosem i powiedział:

– Nafta.

Naczelnny dyżurny takżę pocignł nosem i zaprzeczył:

– Mazut!

Socjolog równieź powęszył, ale zachował milczenie.

Pakiet zawierał dwie białe koperty zasmolone odciskami brudnych palców. Na jednej kopercie widniał napis: „Nr 1. Informacja dla Rady Światowej”. Na drugiej: „Nr 2. Załącznik”.

Z informacji, podpisanej przez niejakiego Aleksandra Kusznera, starszego chirurga pływającej lecznicy dla zwierząt „Moby Dick”, wynikała rzecz następująca. Dziś, 15 lipca, o 9.15 czasu ziemskiego „Moby Dick” odebrał sygnał SOS pochodzący z wyspy Czarna Skała. Starszemu chirurgowi było wiadomym, że od kilku stuleci na północnym brzegu owej wysepki mieści się siedlisko dość liczego rodu fok uchatek, na którego czele stał ostatnio Filka Trzeci, wnuk znanego intelektualisty Filki Pierwszego. Sygnał SOS mógł nadać jedynie ów Filka, jako że o ile jemu, starszemu chirurgowi Kusznerowi wiadomo, żadnych innych dostatecznie rozumnych mieszkańców Czarna Skała nie miała.

„Moby Dick” wziął kurs na Czarną Skałę wysyłając przed sobą helikopterem grupę pogotowia ratunkowego z nim, starszym chirurgiem Kusznerem na czele. Widok, jaki ukazał się oczom ratowników był straszny. Całe północne wybrzeże Czarnej Skały, jak również przylegający doń kilometrowy pas lustra wody pokrywała gęsta czarna masa, w której ze względu na konsystencję, tęczyowy odbłask, a zwłaszcza na odrażającą woń nietrudno było rozpoznać ciężki mazut. Nieszczęsne foki w liczbie jakichś pięćdziesięciu głów, oszołomione i podtrute, kręciły się niemrawo we wstrętnej cieczy albo w ogóle nie dawały już oznak życia. Filkę Trzeciego znaleziono bez ducha w jaskini obok awaryjnego radionadajnika. Mazut zalepił staremu foczemu przywódcy oczy i nozdrza, mazut wypełnił mu pysk, ale przed śmiercią, pchany twardym instynktem ochrony rodu, Filka znalazł w sobie siły i dotarł do dźwigni włączającej sygnał SOS...

(Dalej w informacji dość dokładnie opisano środki przedsięwzięte przez grupę ratowników do czasu przybycia „Moby Dicka” i lądowania drużyny asenizacyjnej wezwanej w trybie pilnym z Zatoki Radzieckiej.)

W kulminacyjnym momencie prac ratowniczych jeden z lekarzy zauważył na wystającym z mazutowej masy odłamku skalnym błyszczący przedmiot. Przy bliższych oględzinach okazał się on butlą z zielonkawego szkła, prawdopodobnie butelką po szampanie, zakorkowaną i zapieczętowaną brązowym lakiem. Początkowo nie przywiązano do znaleziska wagi („stoi sobie na kamieniu butelka, i co z tego?”), ale później on, starszy chirurg Kuszner, przypadkowo zbliżywszy się odkrył, że butelka zawiera nie ciecz, a zwiniętą w trąbkę kartkę papieru. Butelkę wyciągnięto, lecz w pośpiechu upuszczono ją i rozbito. Na szczęście papier udało się pochwycić zanim wpadł w mazut. Zaznajomiwszy się z jego zawartością starszy chirurg Kuszner od razu zrozumiał, że koszmarnie zdarzenie na Czarnej Skale nie jest skutkiem losowego wypadku ani bezmózgiego niedbalstwa (jak pierwotnie sądził), ale wynikiem działania czyjegoś występnego umysłu i dlatego podlega jurysdykcji Rady Światowej. Papier przekazuje Radzie Światowej w kopercie z napisem „Nr 2. Załącznik.”

W gabinecie zebrali się już wszyscy członkowie Komisji ds. Wydarzeń Nadzwyczajnych i naczelny dyżurny włożył „Załącznik” do projektora. Po ekranie popęzły nierówne linijki koślawych, na wszystkie strony powykrzywianych liter naśladowujących druk.

A oto co głosiły litery:

ULTIMATUM

Ziemiańskie!

Mam nadzieję, że przekonaliście się, co możemy, i teraz czas, abyście się dowiedzieli, czego od was chcemy.

Chcemy tylko, żebyście nam wydali całe, nienaruszone i z głowami na karkach, gotowe do natychmiastowego użytku następujące osobistości: po pierwsze i najważniejsze - cudownego doktora Itai-itai, którego bezprawnie porwaliście nam, i którego wykorzystujecie do prywatnych celów; po drugie i równie ważne, mojego byłego wiernego zausznika Wstrsta, którego równie bezprawnie wzięliście do niewoli i gnębiacie w swoich lochach; po trzecie i nie mniej ważne, wolnego pirata Dwugłowego Jula, który będąc u nas na służbie zdradził nas podstępnie i obecnie ukrywa się u was w obawie przed słuszną karą.

UWAGA.

Jeśli z powodu właściwego wam wrednego charakteru rozprawiliście się już ostatecznie z wymienionymi Wstrstem i Dwugłowym Julem, jesteśmy gotowi zadowolić się wydaniem nam jedynie cudownego doktora Itai-itai, z tym, że jako dowód okażecie nam głowy wymienionych Wstrsta i Dwugłowego Jula.

Przekazanie ma się odbyć 20 lipca bieżącego roku równo o 13.00 waszego czasu na wyspie Czarna Skala, w miejscu, gdzie znaleźliście niniejsze ultimatum. O wyznaczonej porze zostawicie we wskazanym miejscu wspomniane osobistości (albo dowody) i doktora Itai-itai bezwzględnie całego i nietkniętego, a sami odpłyniecie poza strefę o promieniu trzydziestu mil, licząc od środka wyspy.

Ziemiańskie, w przypadku jeśli niniejsze ultimatum odrzucicie, możecie mieć żal tylko do samych siebie. Oczywiście czasy się zmieniły i nie możemy już rozsądzić waszej obrzydliwej planety z jej tlenem, wodą, chlorofilem i czerwoną krwią, tak samo jak nie możemy już, niestety, zgasić waszego parszywego słońca, ale pamiętajcie, że czasem komar zmuszał Iwa do błagania o litość. Jeśli nie spełnicie dokładnie warunków niniejszego ultimatum, 20 lipca od godziny 14.30 zaczniemy szkodzić wam na całego.

Będziemy szkodzić tak, jak nawet wy sami nigdy sobie nie szkodziliście w waszych dziejach. Będziemy szkodzić, dopóki nie osiągniemy celu. Będziemy szkodzić choćby i przez sto waszych lat (co prawda możliwe są nieduże przerwy), w dowolnych punktach waszej planety i przestrzeni okołoplanetarnej, szkodzić tak, i w takich miejscach, jak to uznamy za najwygodniejsze dla nas i najmniej wygodne dla was. Tak że lepiej zgódźcie się od razu.

W imieniu Triumwiratu - Wielki Ośmionóg

2.

Naczelnny dyżurny patrzył na członków Komisji, a ci spoglądali na swoje ręce. Wszyscy jak

jeden mąż położyli ręce na krawędzi stołu. Razem z przewodniczącym było ich siedmioro: czterech mężczyzn (pedagog, socjolog, asenizator i kosmonauta) i trzy kobiety (cybernetyk, psycholog, lekarz). Najstarszy przekroczył osiemdziesiątkę, najmłodszy nie skończył jeszcze trzydziestki.

Naczelnny dyżurny przypomniał sobie, że ktoś z Izby Starszych żartem nazwał ich najbardziej nerwowymi ludźmi na świecie. Prawdopodobnie miał na myśli ich niezwykłą wrażliwość na zagrożenie społeczne. Nawiasem mówiąc wszyscy oni należeli do owych nielicznych współczesnych, do owych paru dziesiątków tysięcy ludzi, którzy choćby raz w życiu znaleźli się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. I oto siedzieli za okrągłym stołem w gabinecie naczelnego dyżurnego na szesnastym piętrze Pałacu Rady, a na stole przed nimi leżały: srebrzysta płyta z rozbitego suboptycznego modułu, pergamin z polarnego wiru i zalatująca mazutem zeszytowa kartka z Czarnej Skały.

- Dostrzegam w tym wszystkim pewien niezdrowy idiotyzm - rzekł w zamyśleniu przewodniczący.

- Rzeczywiście czuć - zgodził się kosmonauta.

- Jeszcze jak! - powiedziała lekarka.

- Spisek robotów - zaproponował melancholijnie socjolog. - Nawarzyli sobie nasi piwa.

- Słusznie! - ożywiła się cybernetyk. - Dla niepoznaki zastąpiły sobie seryjne numery złowieszczymi pseudonimami! Jak to pięknie brzmi - Dziobata Skolopendra! Sama bym nic nie miała przeciwko podobnemu pseudonimowi...

- Alicjo, w twoim wieku nie wypada przymawiać się o komplementy - zauważyła swarliwie lekarka. - A w ogóle roboty - to bzdura... Co mają do tego wasze roboty? To po prostu żarciki naszych schizofreników, ot co!

- Masz schizofreników, Magda? - zainteresował się przewodniczący.

- MY mamy schizofreników - powiedziała z naciskiem lekarka. - Ja i ty, Piotrze. Oczywiście są nietypowi, ale niekiedy trafiają się... Tak samo jak twoi zapóźnieni uczniowie...

- NASI zapóźnieni uczniowie - powiedział z naciskiem przewodniczący. - Twoi i moi...

- Parszywy brak ogłady - powiedział nagle socjolog. - Piszą, jak gdyby byle smarkacz na planecie wiedział, kim oni są - Wielkie Ośmionogi, Skolopendry, Wstrsty...

- To przecież rzeczywiście ciekawe - ożywiła się psycholog. - Bóg z nią, ze Skolopendra, ale na przykład cudownego doktora wypadałoby znać... Jak mu tam? Itaj-Kataj?

- Itai-itai - poprawił ją przewodniczący. - Po starojapońsku znaczy to coś w rodzaju „aj, boli”...

- Cudowny doktor Ajboli! - olśniło kosmonautę.

- Przecież mówię - schizofrenicy - rzekła swarliwie lekarka.

- Majster Kreg - ciągnął kosmonauta w zamyśleniu. - Znam jednego Craiga. John Craig, mieszka w Siestroriecku. Wspaniały człowiek, kucharz... rzeczywiście mistrz... Ale nie, to - nie on. Wielki Ośmionóg, hm... O ile mi wiadomo istnieje niejaki

- Wielki Kalmar. Siedzi sobie w Rowie Bougainville, żre syntetyczną wieprzowinę, nie rusza nikogo... nawet z wielorybami nie urządza bójek...

- Kostia! - powiedział z przekonaniem przewodniczący i kosmonauta zamilkł, mrugając

ukradkiem do rozchichotanej psycholog.

- We wszystkich bzdurach, które napletliście - powiedział socjolog - jest pewna zdrowa myśl...

- Dwie - powiedział asenizator.

- Trzy! - oświadczyła lekarka.

- Wymieńcie drugą i trzecią - zaproponował socjolog - a później ja wyjaśnię pierwszą.

- Druga myśl jest do banału oczywista - powiedział asenizator. - Kim by owe łotry nie były, nie są ludźmi, albo do ludzi siebie nie zaliczają. To osobniki całkowicie pozbawione społecznej odpowiedzialności, a przez to niezwykle niebezpieczne.

- Trzecia myśl zawiera się w tym - powiedziała psycholog - że z jakiegoś powodu są pewni, że świetnie ich znamy. A pierwsza myśl...

- Pierwsza prawie pokrywa się z twoją trzecią - powiedział socjolog. - A dokładnie: gdzieś, kiedyś i w jakiś sposób ludzkość się już z nimi zetknęła i sprawiła im zdrowe lanie.

- Od czego zresztą należało zacząć - mruknął asenizator, wstał i ruszył do terminalu Wielkiej Maszyny Informacyjnej.

- Spróbować oczywiście nie zaszkodzi - powiedział ze zwątpieniem w głosie przewodniczący.

- A więc czym dysponujemy? - rzekła lekarka, obserwując z roztargnieniem, jak wytworne palce asenizatora bezgłośnie tańczą po klawiaturze terminala. - Co mamy, poza ogólnym uczuciem wielkiego niebezpieczeństwa zawisłego nad ludzkością? - Spróbujmy wstępnie zreasumować. Kto zacznie?

- Spróbuję ja - powiedział socjolog. - Gdzieś w pobliżu ukrywa się anonimowa na razie banda łotrów, pozbawionych zasad, i amoralnych drani-nieludzi. Banda grozi Ziemi i przestrzeni okołoziemskiej. Na nasze dalekie bazy i kolonie nie porywają się, być może nie mają wystarczających możliwości technicznych. Zresztą w ogóle nie są w stanie zadawać potężnych ciosów, mogą jedynie bruździć. Dalej. Gdzieś, kiedyś i w jakiś sposób spotkaliśmy się już z nimi, zadaliśmy im dotkliwe uderzenie i przechwyciliśmy przy tym trzy, jak to się oni wyrażają, osobistości. Kim są ów cudowny doktor, ów były zausznik i ów dwułby...

- Dwugłowy - poprawił przewodniczący.

- Dwugłowy, Aleksandrze, a nie dwułby... - Nagle zamilkł i złapał się za nos. Wszyscy z zainteresowaniem wlepili w niego wzrok. Przewodniczący zmarszczył się i pokręcił z irytacją głową. - Ech, błysnęło mi w pamięci i znikło... Dobra, może później sobie przypomnę... Wybacz, Aleksandrze. Proszę, kontynuuj...

- Kontynuuję. Owe osobistości znajdują się na Ziemi, w naszych rękach, ale nie wiadomo dlaczego nam pozostają nieznane. Bardzo dziwne, jako że przynajmniej jedna z nich najwyraźniej przedstawia ogromną wartość, skoro ze względu na nią bandyci rozpętali całą awanturę, wyraźnie ryzykując powtórne solidne lanie...

- Dobry doktor Ajboli - mruknął nie odwracając się asenizator.

- Owszem, dobry doktor Ajboli. Oczywiście wszyscy zauważyliście, że tak naprawdę naszym łotrom zdrów i cały potrzebny jest tylko on jeden. Pozostałych zgadzają się dostać w kawałkach...

- I są przekonani - podchwyciła lekarka - że my, Ziemianie, świetnie owego Itai-itai znamy i na

potęgę go wykorzystujemy, jak to nazwali, do prywatnych celów...

Wszyscy twierdząco skinęli głowami i pomilczeli.

- Skończyłeś, Aleksandrze? - spytała lekarka. - Dziękuję. Kto następny?

- Może ja - powiedział kosmonauta. - Spójrzmy na sprawę z punktu widzenia techniki.

- Aha, techniki! - ożywiła się cybernetyk. - Mam nadzieję, że to jednak nie roboty?

- Jasne, że nie roboty - powiedziała lekarka. - Piotr niedwuznacznie wypowiedział się na temat niezdrowego idiotyzmu. A ja w pełni się z nim zgadzam.

- No właśnie - powiedział kosmonauta. - Z tym się nie można nie zgodzić... Na pierwszy rzut oka.

- Na pierwszy? - zdumiał się socjolog. - A na drugi?

- Podejźmy do sprawy z innej strony - rzekł kosmonauta. - Kosmiczny moduł rozsadzony ładunkiem trotylu. Focze siedlisko zniszczone mazutem.

- Przy okazji - powiedziała lekarka. - Co to jest mazut?

- I przy okazji - podchwyciła cybernetyk. - Co to jest trotyl?

- Trotyl to chemiczny materiał wybuchowy - wyjaśnił kosmonauta. - O ile pamiętam, był powszechnie stosowany ćwierć tysiąclecia temu. Obecnie czasami używa się go przy robotach górniczych.

- Ćwierć tysiąclecia temu... - powtórzyła w zamyśleniu cybernetyk. - A mazut?

Nie odwracając się od pulpitu asenizator powiedział:

- Było kiedyś takie ciekłe paliwo. Również, zdaje się, ze trzysta lat temu... A wiecie, przyjaciele, w pozaprzeszłym roku rozwiązywałem niewielki konflikt w ogrodzie ksenobotanicznym pod Bombajem. Tamtejsza młodzież z kółka przyrodniczego domagała się od administracji pozwolenia na przydział cysterny owego właśnie mazutu...

- Po co? - zdziwił się bardzo przewodniczący.

- Jako nawozu dla ganimedyjskich tulipanów - są takie kwiatki na dużych satelitach Jowisza.

Wszyscy znowu pomilczeli, potem przewodniczący powiedział:

- Zeszliśmy z tematu. Kontynuuj, Kostia.

- No właśnie. Archaiczny materiał wybuchowy, dawno zapomniane paliwo. Złośliwości na orbicie okołoziemskiej, złośliwości w oceanicznych głębinach, złośliwości na zapoznanej wysepce, haniebnie okrutne i bezmyślne... Ale - w jaki sposób tego dokonywano? Niezdrowy idiotyzm... Być może. Ale dostrzegam w całej sprawie subtelny psychologiczny haczyk: zastraszyć nas i zmylić szaloną kombinacją środków walki - faktycznie przedpotopowych, oraz nowszych, nieznanymi nam...

- Co masz na myśli? - spytał, chmurząc się, socjolog.

- Jak to... Nawiasem mówiąc dranie lżą pisząc, że wylali naszą wodę z Arktyki na Słońce. Przerzucenie przez podprzestrzeń masy dwóch miliardów ton spowodowałoby takie zaburzenia pola neutronowego, że zauważono by je nawet przy Tau Wieloryba... A ile energii by potrzebowali: tryliony gigawatów, miliardy nanokalorii. Dranie nie mogą mieć podobnych mocy, inaczej nie rozmienialiby się na drobne złośliwości, tylko zwinęli na początek Księżyc, albo, powiedzmy,

Merkurego...

- Właśnie, może z arktyczną wodą to w ogóle kłamstwo? - spytał socjolog. - Nigdzie nie zniknęła, jedynie w jakiś sposób ją wzburzono?

- Proszę o wybaczenie - nieśmiało, lecz zdecydowanie wtrącił naczelny dyżurny. - Mamy meldunek ze Służby Okołoziemskich Stacji Kosmicznych. Według informacji jednego z geodezyjnych satelitów, o godzinie szóstej trzy czasu światowego nad południową odnogą Grzbietu Łomonosowa miał miejsce spadek poziomu oceanu o trzy i pół milimetra. Po trzech minutach wody osiągnęły poprzedni poziom... I jeszcze jedno: w owym rejonie, dokładnie w tym samym momencie, zniknęła bez śladu podwodna radiolatarnia ultradźwiękowa. Jeszcze raz proszę o wybaczenie.

Zamilkł. Wszyscy spoglądali nań z uwagą i z zakłopotania dyżurny zaniósł się kaszlem.

- Dziękuję, chłopcze - powiedział przewodniczący. - To ciekawe.

- Ta-ta-ta - zanuciła niepoważnie cybernetyk. - Gdzie się mogła podziewać taka masa wody? W dodatku w przeciągu trzech minut? Dwa miliardy ton wody, jak rozumiem, to nie mgiełka, co się w blasku dnia rozwiewa...

- Przestrzeń równoległa? - zaproponował przewodniczący. Kosmonauta pokręcił głową.

- Wykluczone. Też potrzebne by były niesamowite ilości energii. Nie, mamy do czynienia z czymś innym, nowym, o wiele sprytniejszym... I to właśnie robi wrażenie: połączenie supertechnologii z archaicznymi wybuchami trotylu i mazutowym chuligaństwem. Oczywiście ostatnie słowo będą mieli specjaliści, ale teraz jako hipotezę roboczą proponuję przyjąć, że skrzynki z trotylem umieszczono w hermetycznej komorze na orbicie okołoziemskiej w ten sam sposób, w jaki porwano masy wód z Oceanu Lodowatego i w jaki zrzucano mazutową topiel na brzeg Czarnej Skąły.

- A co to za sposób - masz pojęcie? - zapytał socjolog.

- Pewne pomysły mam, ale...

- Wyjaśnij, człowieku, zrozumiemy - powiedziała lekarka. Kosmonauta jakby zawahał się, ale zaraz stwierdził z przekonaniem:

- Nie, nie będę wyjaśniał. Brakuje mi terminologii i przykładów. A poza tym możliwe, że się mylę. Po co wam głowy zawracać?

- Słusznie - zdecydował przewodniczący. - Niech tłumaczą specjaliści. Kostia, kiedy skończymy, połącz się z tym, jak mu tam... no, sam wiesz z kim, w sekretariacie Akademii...

- Jest! - krzyknął uroczyście asenizator i razem z obrotowym krzesłem odwrócił się twarzą do kolegów. - Jest, przyjaciele! Jednego sukinkota znalazłem!

3.

Czytelnika znającego dwie pierwsze części naszej prawdziwej baśni zdziwić może fakt, że doskonale mu znane imiona-przezviska, zdobiące trzy prowokacyjne przesłania, absolutnie nic nie

mówiły Ziemianom równie kompetentnym co członkowie komisji Rady Światowej. Jeszcze dziwniejszym mogło się wydać to, że nawet potężna Wielka Maszyna Informacyjna planety wyraźnie miała kłopoty wyszukując owe imiona w swojej bezdennej pamięci. Tymczasem wszystko łatwo wytłumaczyć.

Po pierwsze - od czasu rozgromienia piracko-przemysłowego kompleksu na Planecie Łotrów minęło około dwudziestu lat. Rozumie się, że w annałach najśłynniejszych działań ludzkości na zawsze pozostała utrwalona wyzwoleńcza wyprawa Połączonej Eskadry Kosmicznej, ale już jedynie w wąskospecjalistycznych źródłach wzmiankowano o dywersyjnej operacji trójki komunardów dowodzonej przez admirała Macombera. A nawet owe wąskospecjalistyczne źródła jedynie po łebkach, bez wymieniania żadnych imion informowały, iż hersztom piratów udało się zbiec w nieznanym kierunku. Jakże zresztą inaczej mogło być w owych czasach, obfitujących w wielkie i niezwykle cuda?

Wystarczy wspomnieć gigantyczne przedsięwzięcie mające na celu ratowanie życia biologicznego w systemie Gammy Korony Południa! A stworzenie Cienistych Miast w egzosferze Słońca? A przedarcie się do światów przestrzeni równoległych? Cóż znaczyli jacyś tam Wielcy Osmionogowie, jakież Dziobate Skolopendry dla milionów i miliardów wesołych, zuchwałych, dążących prosto do celu entuzjastów?

Po drugie - jak wielką by nie była sympatia autora do swoich bohaterów, sprawiedliwość każe przyznać, iż ani charakterami, ani zdolnościami twórczymi w niczym się nie wyróżniali spośród rówieśników. Mówiąc wprost, byli zwykłymi ludźmi, i wszystkie ich uczucia, myśli i czyny we wszelkich krytycznych momentach zawsze i całkowicie okazywały się typowymi dla przytłaczającej większości. Dziwnie zresztą byłoby oczekiwać, żeby w świecie, gdzie troska o ojczystą planetę i duma z rodzimej cywilizacji stały się społecznymi instynktami, żeby w takim świecie kogoś rzeczywiście i na długo poraziły ich zdecydowanie i bezwzględność przy odpieraniu ataku kosmicznych łotrów wyposażonych w odrażający kontraktor. Jakże można było inaczej?

Po trzecie - z przyczyn całkowicie zrozumiałych i na propozycję ostrożnego admirała Macombera, bohaterowie nasi zgodzili się nigdzie i nigdy nie wspominać o cudownym doktorze Itai-itai, dalekim potomku Portosa i Galiny (Mówimy „z przyczyn całkowicie zrozumiałych”, a mamy na myśli przyczyny całkowicie zrozumiałe jedynie dla tych z naszych czytelników, którzy mają pojęcie o tak zwanych paradoksach podróży w czasie. Im wyjaśniać nie trzeba, a pozostali niechaj przyjmą na wiarę, że są to przyczyny całkowicie uzasadnione). Powrót z wyprawy na Planetę Łotrów żywego i zdrowego Portosa został przyjęty przez jego licznych przyjaciół i krewnych z zachwytem, ale bez szczególnego zdziwienia. Na to zresztą liczył admirał Macomber. Tak, tak już się w owych czasach działo. Śmierć przyjaciela przyjmowano z powściągliwym smutkiem, a jeśli zdarzyło się zmartwychwstanie - wszyscy się cieszyli i weselili, ale o nic nie pytali: mało to cudów może się zdarzyć w naszych ciekawych czasach? W ten sposób również imię cudownego doktora Itai-itai pozostało w głębokim cieniu.

Na koniec, po czwarte - imiona Dwugłowego Jula, byłego wolnego pirata, i Wstrsta, byłego wiernego zausznika, oraz wykonawcy najsubtelniejszych poleceń ohydneho niegodziwca Wielkiego

Osmionoga. W tym miejscu wypada zaznaczyć, że w początkach XXIII wieku na Ziemi i w jej rozległych koloniach przebywało już około miliona istot z innych planet ze wszystkich zakątków znanego Kosmosu, a nawet z nieznanymi obszarów spoza jego granic: dyplomatów, uczonych, obserwatorów, stażystów, studentów, emigrantów, turystów, artystów-włóczykijów, aktorów, poetów, kapłanów kultów religijnych, fantastycznych filozofów i reszty towarzystwa najrozmaitszej maści, w tym również jeńców wojennych, których nie można było odesłać do domów, ponieważ nie chcieli albo i nie potrafili powiedzieć, skąd pochodzą. Dzieje niektórych z nich były interesujące, a nawet pouczające. Weźmy na przykład dawną załogę „Czarnej Piranii”. O ile czytelnik pamięta, wszyscy zamieszkali na Marsie. Tak więc były radiooperator Ka, biały jaszczur w niebieskie kropki, wyemigrował na pustynię i osiadł w niszy ekologicznej zajmowanej przez tamtejsze leniwe piaskowe krokodyle, żeby wpajać im postępowe idee pracy i dobra. Były kanonier Ki, wielka rozgwieźdka ze zdolnościami do mimikry, dwukrotnie bez widocznej przyczyny rozmnożył się przez podział prosty, zorganizował rodzinne gospodarstwo spółdzielcze i skromnie hoduje kaktusy dekoracyjne do wymiany na kurczaki-brojlery. A były kwatermistrz Ku, małpizjon z dziwnym mroźnym metabolizmem, urządził się na Dejmosie jako przewodnik-eksponat. Obsługuje szkolne i pozaplanetarne wycieczki, a w wolnych chwilach zapełnia mieszki policzkowe zdenaturowanymi diamentami spotykanymi tu i ówdzie na planetce.

Ale to wszystko dygresja. Próbowaliśmy pokazać, jak skomplikowanym zadaniem było odnalezienie dwóch jeńców wojennych z innych planet; jeńców, którzy niczym niepozorne drzazgi przepadli w burzliwym oceanie ziemskiej cywilizacji początku XXIII wieku. Zwłaszcza, jeśli przypomnieć, że winą jednego z nich było zaledwie przysporzenie przed ćwierć wiekiem kłopotów niczym się nie wyróżniającej młodej dziewczynie, a drugi - również ćwierć wieku wcześniej - wysługiwał się kosmicznemu łotrowi o regionalnym znaczeniu.

Tym niemniej udało się odnaleźć obu. Co prawda nie od razu, przy czym kanałami informacyjnymi, które ogólnie mówiąc można by nazwać niecodziennymi - o ile nie dziwnymi.

Fakt, że poszukiwanych imion nie było w pamięci Wielkiej Maszyny Informacyjnej nie zbił z tropu asenizatora. Był on człowiekiem upartym i cierpliwym, a poza tym miał za sobą bogate doświadczenie z różnego rodzaju poszukiwań. Odłączył pamięć i puścił Maszynę na swobodne poszukiwania we wszystkich specjalnych archiwach planety. Przysłuchując się toczoną za plecami rozmowie przyjaciół, nie odrywając wzroku, spoglądał w pusty ekran. Od czasu do czasu, jak wiadomo, nawet włączał się do rozmowy.

- ...Niech objaśniają specjaliści - mówił przewodniczący. - Kostia, kiedy skończymy...

Właśnie w owej chwili na ekranie zajaśniały litery: WSTRST.

- ...połącz się... - ciągnął przewodniczący - no, sam wiesz z kim, w sekretariacie Akademii...

- Jest! - krzyknął uroczyście asenizator i razem z obrotowym krzesłem odwrócił się twarzą do kolegów. - Jest, przyjaciele! Jednego sukinkota znalazłem!

Ponownie odwrócił się do pulpitu. Wszyscy zerwali się z miejsc i skupili za jego plecami.

- Wstrst... - jak gdyby nie wierząc własnym oczom przeczytał przewodniczący. - Rzeczywiście, Wstrst... A niech cię, Joseph, jednak znalazłeś! Oto co znaczy profesjonalista!

- Dalej, dalej! - powiedziała niecierpliwie lekarka.

Asenizator dotknął palcem niepozornego czerwonego przycisku. Słowo WSTRST znikło, na jego miejscu pojawiło się słowo KŁÓTNIK. Asenizator wyszczerzył zęby i ponownie nacisnął czerwony klawisz. Słowo KŁÓTNIK zgasło, ustępując miejsca słowu NICPON.

- Hm... - rzekł przewodniczący. - To wszystko pewnie prawda, ale wolelibyśmy ze szczegółami...

Cybernetyk parsknęła. Asenizator szepnął coś energicznie i z rozmachem nacisnął czerwony klawisz po raz trzeci. Z wnętrzości maszyny wyrwało się coś w rodzaju głębokiego westchnienia, NICPON zgasł i po ekranie z prawej strony na lewą pobiegły litery i cyfry.

ARCHIWUM RADY STREFY WSCHODNIO-SYBERYJSKIEJ. WYDZIAŁ LISTÓW OBYWATELI. ROK 2215/298. 113-16.05. NADAWCA: MŁODSZY NADZORCA KOCIEGO REZERWATU SAJYŁYK, TYMCZASOWY OBYWATEL LUDZKOŚCI WSTRST. TREŚĆ: OSKARŻENIE GŁÓWNEGO NADZORCY REZERWATU DICSONA CARRA O KRADZIEŻ KOCIEGO POKARMU W CELU KARMIEŃIA WŁASNEJ KOTKI RASY SYJAMSKIEJ. WERDYKT TRÓJKI RADY DS. KONFLIKTÓW: NIE ZWRACAĆ UWAGI ZE WZGLĘDU NA ABSURDALNOŚĆ OSKARŻENIA.

Pauza. Członkowie Komisji spoglądają po sobie. Cybernetyk zamyka dłonią usta.

ROK 2216/299.006-13.01. TREŚĆ: OSKARŻENIE STARSZEGO NADZORCY REZERWATU WALENTYNY SIZOWEJ O SZCZUCIE KOTÓW TRÓJKOLOROWYCH NA KOTY CZARNE W CELU NIEDOPUSZCZENIA CZARNYCH KOTÓW DO JEJ WŁASNEJ TRÓJKOLOROWEJ KOTKI. WERDYKT TRÓJKI DS. KONFLIKTÓW: NIE ZWRACAĆ UWAGI ZE WZGLĘDU NA GŁUPOTĘ OSKARŻENIA.

Pauza. Cybernetyk zaśmiewa się do łez. Przewodniczący mówi do asenizatora z wyrzutem.

- No, Joseph, wszystkiego się z twojej strony spodziewałem...

- A co ja mam do tego? - odgryza się asenizator. Wygląda na oszołomionego. Tak samo zresztą jak i pozostali.

- Jeszcze nie koniec... - szepce psycholog.

037-23.03 TREŚĆ: SKARGA NA MŁODSZEGO NADZORCĘ REZERWATU IWANA WYŁKĘ O OBRAZĘ CZYNEM WYRAŻAJĄCĄ SIĘ W BOLESNYM CIĄGANIU ZA TRĄBĘ, DOTKLIWYM PODNOSZENIU ZA FUTRO NA KARKU I KOPNIAKACH WYMIERZANYCH W MIĘSISTE CZĘŚCI CIAŁA, CZEMU TOWARZYSZYŁY BEZPODSTAWNE PUBLICZNE OSKARŻENIA O PLOTKARSTWO I PIENIACTWO. WERDYKT TRÓJKI DS. KONFLIKTÓW: MŁODSZEGO PRACOWNIKA IWANA WYŁKĘ SUROWO UPOMNIEĆ ZA ROZPUSZCZANIE RĄK, NÓG I JĘZYKA; MŁODSZEGO PRACOWNIKA WSTRSTA SUROWO UPOMNIEĆ ZA BRAKI W POSTAWIE MORALNO-ETYCZNEJ.

Pauza. Potem na ekranie rozjaśnił się napis:

MATERIAŁY O WSTRSCIE KONIEC KONIEC.

Tak udało się pochwycić koniuszek nici. Asenizator bezzwłocznie połączył się z

cybernetycznym kadrowcem rezerwatu Sajłyk, od niego nitka poprowadziła do Wszechświatowego Towarzystwa Miłośników Kotów, stamtąd - dalej, i już po kwadransie z drukarki terminala wypadła na pulpit informacja, z której wynikało iż:

- do września 2203/287 wymieniony Wstrst zajmował znaczące miejsce w hierarchii przestępczego piracko-przemysłowego kompleksu z bazą na tak zwanej Planecie Łotrów, w systemie podwójnej gwiazdy w prawym dolnym rogu Małego Obłoku Magellana;

- 21 września 2203/287 w trakcie wywoleniczej wyprawy Połączonej Eskadry Kosmicznej na Planetę Łotrów wymieniony Wstrst został wzięty do niewoli przez grupę dywersyjną admirała Macombera i dostarczony na Ziemię;

- biorąc pod uwagę pomoc, której wymieniony Wstrst - co prawda wbrew swojej woli - udzielił dywersyjnej grupie admirała Macombera w działaniach na tyłach przeciwnika, jak również mając na względzie dobrowolność i wartość zeznań złożonych w trakcie śledztwa w sprawie przestępstw dokonanych przez piracko-przemysłowy kompleks Planety Łotrów, a także szczerą skruchę przed Trybunałem Międzyplanetarnym - wymienionemu Wstrstowi zaproponowano repatriację, jednakże Wstrst nie tylko kategorycznie odmówił podania współrzędnych ojczystej planety, ale nawet poprosił Ziemię o azyl, motywując swoją prośbę tym, że w ojczyźnie niewątpliwie by go powieszono;

- 11 maja 2205/288 roku Komisja Prawna Rady Światowej rozpatrzyła prośbę wymienionego Wstrsta o przyznanie mu statusu tymczasowego obywatela Ludzkości i zadecydowała na prośbę odpowiedzieć przychylnie w sposób przewidywany przez prawodawstwo: na osobistą odpowiedzialność trzech poręczycieli - w danym przypadku admirała Macombera, sportowca Portosa i mistrza Atosa;

- w czerwcu roku 2206/289 admirał Macomber, który tymczasem dopatrzył się u Wstrsta sympatii do zwierząt domowych, polecił go Wszechświatowemu Towarzystwu Miłośników Kotów...

Reszta była jasna. Do informacji dołączono holografię „wzmiankowanego Wstrsta”: straszawy osobnik ze skrzydłami nietoperza, długą białą trąbą, małymi wyłupiastymi oczkami pod niskim czołem, podobny równocześnie do stojącego dęba słonia i pingwina w szarym futrze.

- Jakie brzydactwo! - krzyknęła z zachwytem cybernetyk.

- To za tę trąbę go ciągnęli - zauważyła psycholog.

- No dobra - powiedział socjolog. - Pomyślmy teraz, gdzie nas to wszystko doprowadzi...

- Do kociego rezerwatu Sajłyk - rzekła natychmiast lekarka.

- Do archiwów Trybunału Międzyplanetarnego - oświadczył asenizator.

- Przede wszystkim doprowadzi nas to do admirała Macombera! - powiedział kosmonauta, unosząc do góry palec wskazujący.

- Przypomniałem sobie! - zawołał nagle przewodniczący. Wszyscy popatrzyli na niego.

- O tym... dwuwbym... dwugłowym... - wyjaśnił. - Mam prawnuka. Żwawy chłopaczkę, na imię mu Anton. Trzynaście lat. Nawiasem mówiąc, oddany miłośnik piłki nożnej. Sam gra w strefowej drużynie juniorów i oczywiście uważnie śledzi, co się w tej dziedzinie dzieje na świecie. Wiecie,

jak to nastolatki.

- Wiemy, wiemy, nie schodź z tematu - powiedział z niecierpliwością socjolog.

- Oto co sobie przypomniałem - powiedział powoli przewodniczący. - Jakieś dwa... nie, trzy miesiące temu, to było w kwietniu... Opowiedział mi Toszka, że Wszechświatowy Związek Amatorów Piłki Nożnej rozpatrywał nader interesujący casus. Bieda w tym, że słuchałem jednym uchem, sensu nie pochwyciłem, ale mowa była o pewnym bramkarzu, z powodu którego rozgorzał cały spór: uważać go za jednego zawodnika czy też za dwóch?

- No i co z tego? Streszczaj się...

- Mowa była... Teraz to sobie dokładnie przypomniałem. Dokładnie. O podwójnym odbiciu głową Dwugłowego Jula!

Zapanowało milczenie. Socjolog pochwycił „ultimatum” i przebiegł oczami linijki. Kosmonauta oznajmił z przekonaniem:

- Niemożliwe!

- Za ile kupiłem, za tyle sprzedaję - stwierdził przewodniczący prawie z poczuciem winy. - Podwójna główka Dwugłowego Jula. Sam sobie nie wierzę, ale cóż poradzić?

- Jeśli jest taki słynny, to czemu Maszyna o nim nie wie? - spytała lekarka.

- Przecież to amator - zaprotestował socjolog. - Na planecie takich są setki milionów, i dwugłowych, i bezgłowych, i rozmaitych...

- Niczego sobie kompania! - powiedziała zgryźliwie cybernetyk. - Miłośnik kotów i futbolista-amator!

- A doktor Ajboli to jakiś... ten tam... Kolekcjoner dawnych biletów tramwajowych - podchwyciła lekarka.

- Słuchajcie! - oznajmił asenizator i uderzył dłonią w pulpit. - Mówmy poważnie. Kostia ma racje. Trzeba zwrócić się do admirała Macombera.

4.

Odświeżeni i zmęczeni po przepłynięciu pięciu kilometrów mistrz Atos i admirał Macomber siedzieli rozparci w głębokich fotelach na werandzie, pili gorące grzane wino i prowadzili leniwą rozmowę. Obaj byli ubrani w szerokie, włochate płaszcze kąpielowe i kapcie na bose nogi. Sprawiali wrażenie zadowolonych i nie było najmniejszych podstaw, żeby wątpić, iż są w całkowitej zgodzie z samymi sobą, jeden z drugim i ze Wszechświatem, w którym tak ciekawie jest pracować, walczyć, odpoczywać i w ogóle żyć.

Łagodnie świeciło północne słońce. Tuż obok, na wyciągnięcie ręki, czarne płaskie fale, niegdyś lodowatego, a obecnie i po wsze czasy ciepłego oceanu, z miękkim szelestem napływały na płaski żwirowy brzeg. W srebrzystych koronach otaczających z trzech stron starą willę arktycznych jabłoni sennie poćwierkiwały ptaki, od strony osady dolatywały ciche młode głosy, przytłumiona muzyka i dziewczęcy śmiech, a poza tym od czasu do czasu z oceanicznych przestworów

dochodziły - jak gdyby grom szeptał - idące z trzewi westchnienia i parsknięcia - to nieprzeliczone stada grenlandzkich wielorybów już trzecią dobę ciągnęły z Morza Północnego ku bogatym czukockim pastwiskom.

„Rozmowa z przyjacielem nie przywróci młodości”. Powiedział tak niegdyś niezwykle trafnie, choć z całkiem innego powodu pewien utalentowany i smutny rosyjski pisarz. Atos i admirał Macomber nie widzieli się prawie dwadzieścia lat, i teraz, cicho gawędząc, badawczo przyglądali się sobie nawzajem, próbując określić, co zmieniło się, a co pozostało jak dawniej z owych czasów, przesłoniętych już mgiełką zapomnienia, kiedy to z bronią w ręku, gotowi w każdej chwili wstąpić w bój na śmierć i życie, kroczyli ramię w ramię mrocznymi podziemiami Planety Łotrów. Tyle zdarzeń i przygód przeżył od tamtej pory każdy z nich, ale wszak owego „ramię w ramię” z duszy wyrzucić nie można!

Atos przyjął starego towarzysza broni z czystą i bezinteresowną radością. Było mu lekko na duszy. Admirał Macomber zjawił się jednak u niego służbowo i dlatego czuł się niezręcznie. Atos wyczuwał ową niezręczność i było mu z tego powodu trochę śmiesznie i smutno.

W początkach dwudziestego trzeciego wieku wciąż jeszcze uważano za nieeleganckie zjawić się u przyjaciela po dwudziestoletniej rozłące i z miejsca wypalić: „Stary, taka historia, powierzono mi ważną sprawę, musisz pomóc”. Dlatego admirał Macomber nie spieszył się.

Opowiedział, jak przeżył owe lata, wyjaśnił mało znane szczegóły wydarzeń w Przejrzystej Szachownicy, detale oblężenia Bazy Kuberońskiej, dyskusji o problemie Dalekiego Przeniknięcia, nakreślił bardzo śmiesznie swoją rolę w fantastycznym Incydencie Białkowym, żartobliwie poskarżył się na damską przewagę we własnej rodzinie („Sześć cór, czcigodny Atosie, wyobrażasz sobie?”) i poprosiwszy o papier oraz coś do pisania, narysował umiejętnie i wyraziście swojego przyjaciela, przedstawiciela rozumnej niehumanoidalnej cywilizacji wyrosłej na dalekiej planecie Kgchrm.

Atos słuchał uważnie, ze szczerym zainteresowaniem, przerywał opowieść niecierpliwymi pytaniami... Cóż w tym dziwnego? Przeogromne strumienie informacji zalewające świat Człowieka, dawno już przyzwyczały odbiorców do wiadomości krótkich, króciutkich, ledwie zauważalnych, i chociaż wszyscy mieli świadomość, że za każdą taką wiadomością kryje się węzeł losów i idei, za duszę chwytają już tylko coś rzeczywiście wielkiego, wszechświatowego, o znaczeniu przynajmniej historycznym. Poza tym każdy odbiorca ma swoją pracę, która (całkiem słusznie) wydaje mu się ważną i nieodzowną dla Wspólnoty, inaczej nie warto by się nią było zajmować... I dlatego ustne opowieści naocznych świadków i uczestników zaczęto odbierać w wieku dwudziestym trzecim tak, jak najprawdopodobniej ongiś odbierano w kuchniach prowincjonalnego feudała bajania zwabionego do ciepłego ognia żołnierza-inwalidy, zwolnionego ostatecznie z wojska po kolejnej kampanii tureckiej.

Później zaczął o sobie opowiadać Atos i na admirała Macombera przysła kolej chciwie przysłuchiwać się, zadawać niecierpliwie pytania i w myślach klepać się po udach... Rozszyfrowanie genetycznej pamięci minerałów; holograficzna rekonstrukcja krajobrazów, które całością „obserwują” meteoryty w chwili narodzenia; prognozowanie rozkładu mas i energii w

pięciowymiarowej czasoprzestrzeni naszego Kosmosu... Była to milionowa część technicznych (już technicznych!) prac prowadzonych przez chorą z ciekawości Ludzkość. Skąd by miał wiedzieć o nich wszystkich prosty żołnierz-kosmonauta?

Potem przez jakiś czas pomilczeli.

- A więc jednak nie ożeniłeś się, czcigodny Atosie? - spytał admirał Macomber.

- Nie! - uciął krótko Atos.

- A co z naszymi przyjaciółmi? Co z Galą? Co z Portosem?

Admirał Macomber dowiedział się, że Gala i Portos mieszkają obecnie w Birmie, w Szuenjaun, ponieważ Gala zajmuje się jakąś miejscową roślinnością, a Portosowi wszystko jedno gdzie uprawia sporty. W miejscowym internacie prowadzi kurs skoków bez spadochronu i ma fakultatywne seminarium z przenikania przez ściany w mienzańskej szkole tropicieli-odkrywców. Dochowali się trzech synów, dobrzy chłopcy, wszyscy są mistrzami. Atos jest z nich zadowolony. Najstarszy pracuje obecnie przy Projekcie z Bandungu, to jakieś wielkie nowatorstwo w dziedzinie polowej sztuki kulinarnej. Średni zawędrował pod wodę, przeciąga magmociąg na Południowym Atlantyku. A najmłodszy, Wania, ulubieniec Atosa....

- Zanosilo się, że zostanie wybornym intraoptykiem, praktykował w moich pracowniach i nagle ruszył w świat, został wędrownym artystą....

- Jesteś rozgoryczony, czcigodny Atosie?

- Skądże, drogi admirale! Przecież w swoim czasie ja sam...

- Ja również, czcigodny Atosie...

- Piękne to były czasy...

- Tak, wspaniałe... Zakochałem się wówczas.

- Ja kochałem zawsze...

Tu należy uczynić niewielkie wyjaśnienie. Wszędobylska statystyka owej epoki pokazuje, że co dziesiąty uczony, co ósmy mistrz i co piąty ze sportowców w dniach swej młodości nagle zrywał się z miejsca i ruszał w drogę. Dokąd? Gdzie oczy poniosą. Przez przestwory planety. Przez miasta i wsie. Przez kontynenty i oceany. Któryś z ówczesnych socjopsychologów wyjątkowo nietrafnie nazwał to zjawisko „wyzwoleniem pierwotnej energii”. Bzdura! Ono było samym życiem, jedną z form istnienia rozumnych konglomeratów białkowych zwanych Człowiekiem.

Wędrowali z reguły parzystymi grupami liczącymi do sześciu - ośmiu osób. Wracali do pracy po kilku miesiącach, często połączeni w pary rodzinne, a po dziesięciu latach znowu... Ale chodzi o co innego.

W podobnych wędrowkach najwidoczniej znajdowały ujście artystyczne zdolności znajdujące się w każdym od urodzenia. Młodzi ludzie śpiewali, deklamowali wiersze, odgrywali całe przedstawienia. Przed kim? Przed kimkolwiek. Przed pierwszą napotkaną osobą, jeśli osoba ta chciała ich oglądać i słuchać. Często w ogóle obchodzili się bez widzów i słuchaczy. Ale szczególnie lubili wstrząsać wyobraźnią dzieci i nastolatków. I potrafili to robić!

Rozumie się, że bardzo daleko było im do aktorów-profesjonalistów, owych zaiste czarodziejskich artystów psychicznie zdolnych żyć w dowolnej sztuce, zdolnych w mgnieniu oka

wciągnąć audytorium do tworzonych przez siebie iluzorycznego świata, zdolnych doprowadzić do tego, że widzowie w przeciągu krótkiego czasu przeżywają całe epoki... Ale co trzeba, owi amatorzy umieli. Tak bliscy byli duchowo swej - zawsze przypadkowej - młodej widowni; tak rozumieli jej dążenia i popędy, drogi jej myśli, że zawsze trafiali w sedno i że wychodziło to wszystkim na dobre. Nie darmo w połowie dwudziestego drugiego wieku Wszechświatowa Rada Pedagogiczna specjalnym postanowieniem uznała niewątpliwą wartość owych amatorskich trup i po wsze czasy zatwierdziła ich radosną działalność.

- Założył trupę - opowiadał uśmiechając się lekko Atos. - Nazwał ją „Muzykanci z Bremy”. W dalekim dwudziestym wieku była taka wesoła bajka muzyczna, stworzona przez ówczesnych władców dziecięcych dusz - Liwanowa, Entina i Gładkowa, wspaniałych Rosjan, utalentowanych ludzi... Wania wykopał gdzieś bajkę, trochę ją unowocześnił... Wielkie powodzenie, zwłaszcza w Europie Wschodniej. W Japonii zresztą również. Wystawiają ją pod gołym niebem... Tak muszą. Zbiegają się tysiące dzieciaków ze wszystkich okolicznych ognisk i internatów, może to pan sobie wyobrazić? Muzyka oryginalna, starożytna, to wywiera szczególne wrażenie... i większość wierszy również. Całość archaiczna, nie wszystko się rozumie, ale jest w tym swoiste piękno, proszę mi wierzyć...

Admirał Macomber mimowolnie uniósł brwi. Tak, surowy Atos, małowolny Atos niewątpliwie zmienił się. Jak to opowiada - z uczuciem, identyfikując się z opowieścią... Na czarne niebo Kosmosu! Przecież jemu błyszczą oczy! Admirał Macomber ostrożnie powiedział:

- Tak, to powinno robić wrażenie.

- Rozumie pan, drogi admirale, każdy z nas na miarę swych możliwości służy dzieciom. Ale Wania... Twierdzą, że to urodzony intraoptyk, ale zobaczyłby go pan występującego dla dzieci!

Nie, ów nieznany Macomberowi najmłodszy syn Gali i Portosa wyraźnie był ulubieńcem Atosa. Admirał Macomber poczuł się całkiem niewyraźnie, przejawy podobnych pasji nigdy mu się nie podobały. Spróbował zmienić temat:

- A propos, czcigodny Atosie, kogo masz na myśli, mówiąc o dzieciach?

Atos wzruszył ramionami.

- Przecież każdy wie... Istoty ludzkie w wieku poniżej piętnastu lat!

- Ha! Na Kuberonie piętnastolatki strzelały z karabinów laserowych i ginęły razem z nami...

- Co z tego? Wszystko jedno to były dzieci, nasze dziewczęta i chłopcy, i ich nieszczęściem a naszą winą było, że przyszło im tam strzelać i ginąć...

Temat można było rozwijać dalej, weterani wszystkich epok uwielbiali mleć językami o podobnych sprawach, ale admirał Macomber poddał się.

- Ile lat ma Wania? - zapytał. Atos popatrzył na niego zdumiony.

- Co pan, drogi admirale! Wania skończył osiemnaście lat, to już zupełnie dorosły chłopak!

Wówczas admirał Macomber łyknął ze szklanki ostygłego już grzanego wina i rzekł cicho:

- Masz jakieś zmartwienie Atosie:

Atos skierował wzrok ku czarnym przestworom oceanu.

- Teatralna trupa Wani wystawiała „Muzykantów z Bremy”. Oczywiście to i owo w treści

Wania zmienił. Zamiast Osła występuje Koń, zamiast Psa - Orang, a Pies zamiast Kota, banda rozbójników składa się z Podłej Skolopendry i Złych Tarantul... Konia, nawiasem mówiąc, gra młody źrebnak O Hoho, świetny bas, w trzecim pokoleniu krewniak profesora Aj Chochy (Pamięta pan profesora Aj Chochę, admirała Macomber?), jest na Ziemi stażystą w Instytucie Narodów Dalekiego Kosmosu... W roli Księżniczki występuje Tzana, młoda dziewczyna z planety Oaba, gdzie niebo jest szmaragdowe, księżycy błękitne, a góry pokrywa pomarańczowy śnieg. Tzana jest piękna - wielkie zielone oczy, skóra biała, prawie świetlista, lekkie jak puch i gęste niczym sobolowe futro popielate włosy - oczywiście nie jest piękniejsza od jakiegokolwiek pięknej Ziemiarki... Ma jakiś niewiarygodny głos, specjaliści przepowiadają jej karierę wielkiej śpiewaczki, a ona uciekła nagle z Konserwatorium Moskiewskiego i przyłączyła się do trupy Wani...

Admirał Macomber zrozumiał już, w czym tkwi problem, ale Atos dokończył:

- Nie jest to pierwszy wypadek miłości pomiędzy dziećmi rozumnych ras powstałych na światach odległych od siebie o setki parseków. Inne kończyły się dla zakochanych katastrofą. Współczesna nauka nie potrafi owych katastrof wyjaśnić. Teraz rozumie pan, admirałe, jakie mam zmartwienie i za pańskim pozwoleniem - skończmy z tym tematem.

5.

- A cóż porabia dostojny Aramis? - spytał admirał Macomber.

- Och, Aramis ma jak zwykle pracy po uszy - odparł Atos. - Zebrała się ich w Addis Abebie cała banda, parę tysięcy metakosmologów. Projektują wykorzystanie naszego nieszczęsnego Układu Słonecznego jako soczewki czy innego pryzmatu do głębokiego sondowania Przestrzeni Światów...

- Przestrzeni Światów? Cóż to takiego?

- Trudno mi wyjaśnić, drogi admirałe. To ich żargon. Przestrzenie Światów nie mają nic wspólnego z tymi przestrzeniami i tymi światami, z którymi mamy do czynienia pan czy ja. Wiem jedynie, że wyszło im, iż Układ Słoneczny nie wystarczy i mają zamiar podłączyć dodatkowo systemy Alfya Centaura, wędrowniej Gwiazdy Barnarda i coś jeszcze, teraz już nie pamiętam...

- Cóż - mruknął admirał Macomber. - Dla wielkiego okrętu głębokie wody...

- Tylko niech pan tego nie mówi Aramisowi - poradził Atos. - Przecież on uważa się za szeregowego uczonego, ja, mówiąc uczciwie, prawie się z tym zgadzam. Ma swoich bogów: akademik Hey-Kozzak, profesor Vankingarten, arcymistrz Bumba z jakiejś gromady kulistej...

- Nigdy o nich nie słyszałem.

- Ja również. Zresztą profesor Vankingarten wślawił się niedawno awanturą, którą rozpętał w Radzie Światowej w sprawie profesji...

- Dobra, Bóg z nimi wszystkimi - powiedział admirał Macomber, zanotowawszy uprzednio w pamięci, że w razie potrzeby Aramisa można będzie bez trudu odnaleźć na Ziemi. - No, a o naszym

potworze, naszym cudaku, naszym Dwugłowym Julu nic nie wiesz?

I od razu pogratulował sobie pytania, bo Atos roześmiał się wesoło.

- Wiem, drogi admirale, ja miałbym nie wiedzieć? Niech się pan dowie, że przez te wszystkie lata Dwugłowy Jul mieszkał i nadal mieszka u mnie, tutaj, pod podłogą!

Admirał Macomber tylko klasnął w dłoń.

Tak, Dwugłowy Jul siedemnasty już rok mieszkał pod fundamentami willi Atosa w komfortowej trzypokojowej norze z jodowymi kąpielami i ogrzewaniem z gorących źródeł. Tak dziwny z punktu widzenia Ziemianina wybór mieszkania Jul uzasadnił tysiãcem powodów, z których istotne były chyba jedynie dwa. Po pierwsze - od czasu do czasu zapadał w śpiãzkę trwającã tygodnie, a nawet miesiãce i potrzebował wówczas całkowitego spokoju. Po drugie - stary pirat jak dawniej skłony był do obżarstwa i nieumiarkowanego spożywania ręciovopirytowych koktajli, i w rezultacie dość często coś mu się wewnątrz rozstrajało. Odbijało mu się wówczas stężonym siarkowodorem, co, musicie przyznać, przysparzałoby sąsiadom - Ziemianom całkiem zrozumiałych niewygód.

Ogólnie rzecz biorąc żyło się Julowi kwitnãco, z powodzeniem prowadził w sąsiedniej osadzie kółko strzeleckie, a nawet uczęszczał przez dwa lata na uniwersytet, chociaŝ od zdawania prac semestralnych i tym bardziej egzaminów systematycznie się uchylał. Ostatnio oszalał na punkcie piłki noŝnej i jest uważany za jednego z najlepszych bramkarzy miejscowej druŝyny. Szczególnie przypadł mu do serca „futbol Mikalovitza”.

- Czyj futbol? - ocknął się admirał Macomber.

- Nie czyj, ale jaki. Nowość w sporcie. Niejaki Mikalovitz, trener legendarnej druŝyny „Czarnomorzec” wystąpił z teoriã „fotbolu bez ograniczeń”. Zgodnie z jego regułami na przykłał bramkarze załadowawszy bramkã na ramiona mogã poruszać się po całym boisku, a w grze wolno brać udział widzom... co prawda strzelone przez nich gole chyba nie liczą się w punktacji...

- Hm-tak. Za wszystkimi nowinkami trudno nadãżyć...

- Jeszcze coś a propos miłości pomiãdzy dziećmi róznych ras w Kosmosie. Dwugłowy Jul zakochał się. Właśnie z tego powodu, jak twierdzi, nie ma najmniejszej ochoty wracać na swojà planetã. Prawda to czy kłamstwo - trudno osãdzić, ale fakt pozostaje faktem: prawa głowa, ta jednooka, zakochała się w starszawej wychowawczyni z pobliskiego przedszkola, a lewa zwariowała na punkcie pewnej kosmitki, którą naturalizowała miejscowa wspólnota białyh niedźwiedzi. Przypadek starego pirata radośnie podniecił amatorologów, nawet powstała praca naukowa, na przykłałdzie Dwugłowego Jula raz i na zawsze dowodząca jakoby natchniona miłość powstawała właśnie w mózgu, a nie w sercu, ale wówczas na nieszczęście naukowca wyszło na jaw, ŝe Jul ma nie jedno serce, a całe trzy...

- A gdzie on jest teraz? - spytał admirał Macomber.

- Według mnie na treningu - odparł Atos. - Chce się pan z nim widzieć?

- Tak, byłoby interesujące spotkać znów starego łotra. A co z tym malutkim... jak mu tam... puszysty...

- Jaturkenŝensirchiw? Umarł. Ze starości. Dwa lata temu. Mieszkał u Gali i Portosa, hołubili go,

roztył się, udawał ważnego, a potem jakoś nagle zniecka posiwiał, z białego zrobił się rudawy, futerko mu się przeredziło, wysechł, tylko oczy z niego zostały... Kazał wezwać Dwugłowego Jula i leżał, do końca trzymając go za palec. Na koniec poprosił o przyśpiewkę:

Ja-turken-žen-sirchi-wiec!

Param-param-pam-pam!

Tyś mały jest parszywiec!

Param-param-pam-pam!

Wysłuchał, uśmiechnął się i umarł. Dwugłowy Jul łał łyzy trzema strumieniami, bił głowami o ściany, na siłę napoili go octem...

Atos zamilkł i admirał Macomber zobaczył ze zdumieniem, że ów surowy, chłodny człowiek odwrócił się i otarł oczy mankietem włochatego płaszcza kąpielowego.

Blade słońce dawno już minęło swój najniższy punkt i rozpoczęło płaską wspinaczkę ku wschodowi, ocean pobłękitniał, wzburzyły się i znowu uspokoiły fale, a ptaki ucichły i na werandzie powiał zmienny wietrzyk przedświtu. Poruszający się bezgłośnie robot ponownie napełnił szklanki gorącym grzanym winem.

Admirał Macomber pomyślał, że nie minęły nawet trzy doby od chwili gdy w jednym z holów Pałacu Rady popijał lodowaty napój malinowy, wciąż jeszcze nie mogąc się otrząsnąć po rozmowie, która tak nagle przeniosła go w świat wydarzeń sprzed wielu lat. Przyodziany w znoszony, ale jak zwykle starannie wyczyszczony i odprasowany czarno-srebrny mundur Floty Kosmicznej, siedział wyprostowany w fotelu, popijał od czasu do czasu z oszronionej szklanki i czekał. I nawet najbystrzejszy obserwator nie dostrzegłby najmniejszej oznaki wzburzenia na jego wąskiej, kościstej twarzy pokrytej szarobrązową opalenizną.

W końcu drzwi otwały się i do holu wszedł łapiąc oddech przewodniczący. Opadł na fotel naprzeciwko admirała Macombera, gestem rozkazał robotowi przynieść coś na ochłodę i przemówił:

- Admirale Macomber! - powiedział. - Specjalne spotkanie Komisji ds. Wydarzeń Nadzwyczajnych zakończyło się. W imieniu Komisji składam wyrazy głębokiego uznania za pańskie informacje. Rzuciły światło na wiele punktów i doskonale uzupełniły to, co otrzymaliśmy z archiwów Trybunału Międzyplanetarnego i z Floty Kosmicznej.

Dalej. Uważam za swoją powinność powiadomić pana, że w łonie Komisji miała miejsce dyskusja. Nie wiemy, skąd prowadzony jest atak. Nie wiemy nawet w jaki sposób. Na koniec - nie wiemy dokładnie jaką bronią dysponuje przeciwnik. Dlatego dano wyraz wielu skrajnym obawom. Nieprzyjaciel zalał mazutem siedlisko fok na Czarnej Skale - co mu stoi więc na przeszkodzie zalać następnym razem iperytem dziecięce plaże w Anapie? Rozsadzili ładunkiem trotylu kosmiczny moduł na orbicie okołoziemskiej - co im stoi na przeszkodzie zniszczyć następnym razem wybuchem bomby atomowej księżycową bazę „Ciołkowski”. I tak dalej. Był nawet pomysł, żeby wydać przeciwnikowi Dwugłowego Jula i Wstrsta, i wyjaśnić, że doktor Itai-itai przyjdzie na świat

dopiero za trzy stulecia. Propozycję oczywiście odrzucono jako niezgodną z ziemskim honorem i kapitulancą. Ziemia nie może dawać się wodzić na smyczy szantażystom, w dodatku mamy wszelkie podstawy wątpić, że przeciwnik uwierzy w prawdę o cudownym doktorze. Śledzi pan tok wniosowania, admirale?

- Tak jest, panie przewodniczący - odparł admirał Macomber. - Śledzę uważnie.

- Dalej. Komisja zwróciła uwagę na następujące okoliczności. Z zeznań Wstrsta przed Trybunałem Międzyplanetarnym wynika, że ów parszywy pająk, Majster Kreg, dysponuje tak zwanym pelengatorem intelektu, aparatem pozwalającym wykrywać w wyznaczonym obszarze przestrzeni nosicieli intelektu. W swoim czasie aparat wykorzystywali piraci do poszukiwania i porywania istot rozumnych w celu późniejszego wykorzystywania ich umysłów... no, sam pan pamięta. Tak więc, co znamienne, wszystkie trzy dzisiejsze uderzenia bandyci zadali tam, gdzie żadnego człowieka albo w ogóle być nie mogło, albo nie było w wybranym dla ataku momencie.

Admirał Macomber pozwolił sobie na uśmiech.

- Słonia nie rusz, kiedy śpi, lwa, kiedy jest głodny, a Ziemianina nie zaczepiaj nigdy - mruknął.

- Właśnie! - powiedział przewodniczący. - Oni boją się nas, admirale. Gdyby nie rozpaczliwa konieczność skorzystania z pomocy cudownego doktora, nigdy by się nie ośmielili nas zaczepiać. Ale potrzebują go jak widać śmiertelnie i jest to już przypadek, kiedy chęć nie ma nic do powiedzenia wobec konieczności. Tu Komisja była całkowicie jednomyślna. Faktycznie, proszę sobie wyobrazić, że razem z dwoma miliardami ton arktycznej wody trafia do nich na przykład rejsowa łódź podwodna, któryś z podwodnych autobusów przewożących kolejne zmiany pracowników z kontynentu do Bazy Podbiegunowej i z powrotem... dwie setki chłopaków i dziewcząt, którzy diabła łapią zębami, a za jedyne prawo uznają mamę z tatą i Radę Światową... Wielki Ośmionóg rozkazuje: „Rączki do góry, dziecińki!”, a dziecińki mają na pokładzie, w maszynowni, pełne kanistry antyprotonowego paliwa!

Kto jak kto, ale admirał Macomber bez żadnego wysiłku był sobie w stanie wyobrazić „dziecińki” w podobnej sytuacji. Ta-ak, niczego sobie obrazek.

- Dopuśćmy - ciągnął przewodniczący - że bandyci również dysponują antimaterią. Cóż, zacznie się atomowy bój, którego rezultat budzi wiele wątpliwości... ale nawet przy najkorzystniejszym Wielki Ośmionóg zobaczy cudownego doktora jak własne uszy. Nie, na coś takiego bandyci nie pójną nigdy. Jest rzeczą oczywistą, że zanim zdecydowali się chuliganić w Arktyce, z dziesięć razy przeczesali swoim pelengatorem tamtejsze wody, nim się nie upewnili, że nie porwą niczego poza rybami i meduzami...

Dalej. Po przedyskutowaniu posiadanych informacji Komisja sformułowała swoje wnioski następująco...

Tu przewodniczący wyjął z kieszeni na piersi kartkę papieru, włożył na nos staroświeckie okulary i zaczął czytać:

- „Raz. Ma miejsce ordynarny szantaż ze strony pozaziemskiego przeciwnika: dobrze wyposażonego technicznie, beznadziejnie zapóźnionego psychicznie i zdecydowanie pozbawionego moralno-etycznych zahamowań.

Dwa. Naszym słabym punktem jest brak informacji o usytuowaniu przeciwnika i o jego sposobach prowadzenia działań bojowych.

Trzy. Słabym punktem przeciwnika jest jego paląca potrzeba zdobycia cudownego doktora Itai-itai, która to potrzeba była jedyną przyczyną całego awanturniczego przedsięwzięcia.

Cztery. Nie ma najmniejszej potrzeby ogłaszania alarmu na skalę planetarną. Wystarczy wyznaczyć do likwidacji zagrożenia jednego człowieka z dobrym doświadczeniem bojowym, udzielając mu w imieniu Rady światowej pełnomocnictw do wykorzystania przy rozwiązywaniu problemu dowolnych ochotników, wszelkich źródeł informacji, wszelkich urzędzeń technicznych i dowolnych źródeł energii, które człowiek ten uzna za konieczne”. A więc tak się mają sprawy, miły admirale.

Przewodniczący schował kartkę i zdjął okulary.

- Domyślił się pan już, admirale - powiedział surowo - że Komisja ds. Wydarzeń Nadzwyczajnych jako swojego pełnomocnika w tej sprawie wybrała właśnie pana!

Admirał Macomber wzdrygnął się.

- Przepraszam, czcigodny Atosie - rzekł ze skruchą w głosie. - Mówiłeś coś?

Atos przyglądał się mu badawczo.

- Drogi admirale - powiedział cicho. - Uważajmy nieoficjalną część naszej rozmowy za zakończoną. Proponuję przejść do części roboczej. Czym mogę służyć?

Od strony oceanu doleciał głuchy, idący z trzewi ryk. Wyteżając wzrok admirał Macomber wpatrzył się w ciemny błękit pod wyraźną linią horyzontu. W poranne powietrze wzbijały się tam powoli gejzery śnieżnobiałej pary: wieloryby wciąż płynęły i nie było widać końca ich pochodu.

- Czcigodny Atosie - rzekł admirał Macomber. - Zwracam się do ciebie jako pełnomocnik Komisji ds. Wydarzeń Nadzwyczajnych. Proszę wysłuchać mnie z możliwie największą uwagą...

6.

Gorące nie na żarty słońce dawno już minęło najbardziej na wschód wysunięty punkt dziennej trasy i płasko toczyło się w górę.

Znużeni roboczą częścią rozmowy i lekko przytłoczeni odpowiedzialnością, która na nich spadła, Atos i admirał Macomber spali w ogrodzie, wyciągnięci w cieniu wprost na trawie. Przy tym Atosowi śniła się Tzana, panna z Oaby, nie wiadomo zresztą dlaczego mająca twarz Gali, a admirał Macomber widział we śnie wijącego się w konwulsjach Wielkiego Ośmionoga, z którym, nawiasem mówiąc, na jawie nigdy się nie zetknął.

Dwugłowy Jul siedział przy włązie prowadzącym do jego nory, z której ciągnęło miłym chłodkiem, reperował zatrząsk wielkiego białego parasola i z roztargnieniem gawędził z domowym robotem. Bez żadnych wyjaśnień przykazano mu nigdzie się nie oddalać, i teraz umierał z ciekawości.

Automat-przekaznik wysłał już automatycznym sekretarkom Portosa i Aramisa krótkie

streszczenie wydarzeń, opracowany plan działania i zaproszenie do Atosa na godzinę siedemnastą czasu miejscowego.

Do kociego rezerwatu Sajłyk wysłano po młodszego nadzorcę, tymczasowego obywatela Ludzkości Wstrsta, aerokar z poleceniem pełnomocnika Komisji ds. Wydarzeń Nadzwyczajnych.

Traf chciał, że akurat wtedy do domu rodziców w Szuenjaunie (jeśli czytelnik tego nie wie, wyjaśniamy, że Szuenjaun leży w samym środku Wspólnoty Birmańskiej) wpadł Wania ze swoją księżniczką Tzaną.

Trzeba powiedzieć, że wpadanie było ulubionym przez Wanię sposobem pojawiania się w danym miejscu. Wpadnie, bywa, i pola na trzy kilometry dokoła rozdzwaniają się radosnymi głosami dzieciaków, wali się surowy plan pedagogiczny, śmieją się i gniewają wychowawcy. Wpadnie - i ryk powitania wstrząsa internatem, dźwięcznie rozbrzmiewają poklepywania po plecach, wali się porządek dnia i dziewczęta biegną przeglądać się w lustrach. Wpadnie - i z zachwytu trąbią słonie, niepokoją się krótkowzroczne nosorożce, gazelookie żyrafy wyciągają długie szyje po kostki cukru, wali się ustalony porządek zachowania osób postronnych w królestwie zwierząt i czarnoskórzy atleci-aspiranci zbiegają się, żeby wesoło porozmawiać z dobrym człowiekiem.

Oczywiście Wania nigdy sobie nie pozwalał na wpadanie do, powiedzmy, oddziału fabryki w pełnym ruchu, do laboratorium podczas eksperymentu albo do sali konferencyjnej podczas narady czy do sanatorium w czasie poobiedniej ciszy: mogli zmyć głowę, a poza tym Wania był dobrze wychowanym młodym człowiekiem. Świetnie zdawał sobie sprawę, gdzie i kiedy można wpaść, gdzie i kiedy trzeba dostojnie wchodzić, uprzednio poprosiwszy o pozwolenie, a gdzie wśliznąć się ukradkiem i przysiąść w kąciku, żeby nie wygonili. Ale do domu, do ojca i mamy, sami bogowie przykazali wpadać.

Ku wielkiemu rozczarowaniu młodzieńca, w domu nie było nikogo. Robot zameldował, że mamę Galę wywiał do Mandalay w jej botanicznych sprawach, a tata Portos drugą już dobę demonstruje sztukę nocnych skoków bez spadochronu w dalekiej Bogocie. Było to tym bardziej nieprzyjemne, że owego właśnie dnia Wania zdecydował się przedstawić Tzanę rodzicom nie tylko jako partnerkę w świetnym muzyczno-poetyckim spektaklu „Muzykanci z Bremy”. Ale cóż poradzić. Wania postanowił już był wezwać jakieś latadło i wrócić do swojej trupy zabawiającej w owych dniach dzieci i emerytów w Innsbriicku, kiedy jego wzrok padł przypadkowo na konsolę automatycznej sekretarki na ojcowskim biurku. Z ledwie słyszalnym popiskiwaniem płonęło tam czerwone światełko: „Bardzo pilne! Bardzo ważne! Wysoce obowiązkowe!”

- Posiedź chwilę, Księżniczko - rzucił Tzanie i nacisnął palcem klawisz odtwarzania.

Z kamienną twarzą (młodzieniec ów umiał przybierać kamienny, nie wyrażający niczego grymas twarzy) wysłuchał streszczenia znanych nam wydarzeń. Po czym wysłuchał planu działania.

„Drogi Portosie! Pojąłeś już oczywiście na czym polega nasz pomysł. 20 lipca o 13.00 czasu światowego przeciwnik spodziewa się znaleźć i zabrać z północnego brzegu Czarnej Skały grupę, której ekstradycji zażądał. W ten sposób mamy szansę wejść z nim w kontakt nie czekając na

wyniki naukowych, technicznych i wojskowych ekspertyz. Mamy zamiar zrobić Wielkiemu Ośmionogowi i jego bandzie małą niespodziankę. Zamiast cudownego doktora Itai-itai, padalca Wstrsta i zapasionego Dwugłowego Jula pójdzie ktoś od nas. Ryzyko, co tu ukrywać, jest śmiertelne. Ale czy mamy się wycofać? Uznałem, że nie mam prawa nie poinformować cię o tej sprawie, nigdy byś mi nie wybaczył. Omówienie składu grupy wywiadowczo-dywersyjnej odbędzie się w mojej willi dzisiaj o 17.00 mojego czasu. Czekam na ciebie i Galę. Ukłony od admirała Macombera. Twój Atos. Post scriptum: a jeśli mimo wszystko złożymy nasze głowy, to przecież za nami ruszy cała Ziemia!”

Wania dosłuchał do końca, zagwizdał motyw z Gładkowa i spojrzał na Tzanę. Piękna była w owej chwili, zwinięta w kłębuszek w głębokim fotelu Portosa, opalona, czyściutka, w krótkiej spódniczce i luźnym żakiecie bez rękawów. Na jego wzrok odpowiedziała pogodnym spojrzeniem wielkich zielonych oczu.

- Jeżeli zginiesz, umrę - powiedziała. Wania wzruszył ramieniem.

- Jakoś tak... - rzekł. - Ojciec raz już przez drani zginął. Przecież nie on powinien iść... A poza tym: pourquoi-pas?

- Oczywiście - zgodziła się Tzana z uśmiechem na delikatnych różowych ustach. - Pourquoi-pas? Ja tylko powiedziałam, że jeśli zginiesz, umrę. Nic wielkiego... Nie zwracaj uwagi.

Wania odwrócił się i nacisnął palcem klawisz. Zapis został skasowany. Zawahał się, spoglądając za siebie, potem machnął ręką.

- Koniec. Do widzenia. Chodźmy, Księżniczko.

Tzana sfrunęła z fotela lekko niczym muszka ze ściany i znalazła się obok niego.

- Wania! - wyszeptwała. - Mój Trubadurze! To chyba u was na Ziemi jedyna własność?

W godzinę później znaleźli się na brzegu Oceanu Lodowatego.

Atos, Aramis i admirał Macomber siedzieli na werandzie przy stole, a na balustradzie tejże samej werandy przysiadł Dwugłowy Jul, cały, od obu szyj po pięty odziany w trykot barwy żółtka. Gniewnie wywracał trojgiem oczu i ochryple wydierał się dwojgiem gardzieli, rozpylając w świeżym, słonawym powietrzu opary siarki:

- Ja to oceniam jako brak zaufania! Sabotaż entuzjazmu! Oczywiście, wy jesteście czcigodnymi admirałami-muszkieterami, mistrzami-uczonymi-chemikami-organikami, mędrkami-dobroczyńcami, a ze mnie jedynie piłkarz-amator, godny pogardy bramkarz, w dodatku dwugłowy, podejrzany, nieszczęsny wygnaniec, parias, jeniec planety! Duszy nie mam, sumienia nie mam, pistoletów również, można obrażać i nie zastanawiać się! A że mnie w piersiach wszystko pali, że od waszych dwudziestu lat mam ochotę zobaczyć Wielkiego Ośmionoga - tego w waszej ograniczonej mądrości przypuścić nie możecie! Przecież jak oni was tam zobaczą beze mnie - dumnego, gotowego, dwugłowego - od razu postawią pod ścianę! Nie chcę was zakrzyczeć, rozumiem, nie wierzycie mi, gdzieś macie słowa wielkiego doktora Itai-itai, kichnęliście na nie i zapomnieli, ale ja przecież zostawiam zakładników, dwie zakładniczki, wszyscy razem wzięci nie jesteście tyle warci co one, rozumiecie? Poliksena Mitrofanowna z przedszkola numer sto trzydzieści jeden i niedźwiedziczka moja puszysta, bieluteńka, prześliczna Aleuola, bezcenna

istotka, samego sadła z kiszek będzie z piętnaście kilo, i to najwyższej jakości! Wiem, poniżam się, tracę obie twarze, ale proszę na kolanach: weźcie mnie ze sobą! Przecież chodzi o zasadę! Przecież do samej Rady Światowej mogę dojść, wy mnie jeszcze nie znacie! Myślicie sobie: futbolista, bramkarz w dodatku, a ja przecież ciągle mogę, i to jeszcze jak!...

Plakał, ryczał, bekał, szturchał kościstym paluchem współ rozmówców i powietrze za werandą, a Atos, Aramis i admirał Macomber słuchali z powagą i kiwali głowami.

- Jeśli już do tego doszło, to nie jestem bardziej tchórzliwy od was, życia dla sprawy nigdy nie szczędziłem, a że mnie wtedy schwytaliście, to dlatego, że siła złego na jednego...

W tym momencie rozległa się w ogrodzie pieśń, lekko ochrypyły męski głos i dźwięczny dziewczęcy głosik:

*Na świecie nie ma lepszej rze-eczy,
Niż z przyjaciółmi iść po białym świe-ecie!
Bo dla przyjaciół niestraszne żadne trwogi,
Przed nimi otworem stają wszystkie dro-ogi...*

Dwugłowy Jul zatrzaskał w pół słowa obie szczęki, wszyscy odwrócili się twarzami do ogrodu, a spod jabłoni już wychodzili, trzymając się za ręce, Wania i Tzana z planety Oaba.

- Witaj, wujku Atosie! - zawołał Wania, wchodząc na werandę. - Witaj, wujku Aramisie! Jul, nieźle się trzymasz, staruszkule! A to admirał Macomber, o ile się nie mylę? Dzień dobry, czuję się zaszczycony!

- Ty? - spytał ze zdumieniem Atos, unosząc brwi. - A gdzie ojciec?

- Przychodzę zamiast niego! - wykrzyknął z dziwną intonacją Wania.

Wstrząśnięci Atos, Aramis i admirał Macomber spojrzeli po sobie, a Dwugłowy Jul wyszczerzył dwa rzędy ostrych jak u szczupaka zębów i sucho klasnął w kościste dłonie.

- Dzień dobry, wujku Atosie - zadzwoniła srebrzyście Tzana, dygając przed mistrzem.

Atos chmurnie skinął głową.

- Dzień dobry, wujku Aramisie!

- Dzień dobry, koteczko - odparł w roztargnieniu Aramis.

- Dzień dobry, admirał Macomber!

Admirał Macomber, bardzo poważny i skupiony, wstał i skłonił głowę.

- Miło mi zawrzeć znajomość, miss - powiedział.

- Dzień dobry, cudaku - powiedziała Tzana zwracając się do Dwugłowego Jula.

Dwugłowy Jul zajaśniał. Dwugłowy Jul zeskoczył z poręczy i rozpostarł dłonie. Dwugłowy Jul objął Tzanę za szczupłe ramiona i pocałował w czoło: najpierw prawą głowę, potem lewą. Dwugłowy Jul powiedział:

- Niech wszystkie twoje dni będą dobre, gwiazdeczko! A czemu jesteś taka chuda? Zdrowa przecież jesteś, a chuda taka, subtelna. Lalkę ci zrobiłem, dostaniesz w podarku, mam ją w swojej norze... Co u ciebie słyhać? Zadowolona z życia? Wańka krzywdy ci nie robi? Jeśli tylko, powiedz

mi, a ja mu od razu... kark... tego... społeczne potępienie... Dobrze?

I Dwugłowy Jul, były okrutny pirat i wielokrotny zabójca, odwrócił się do Wani i żartobliwie szturchnął go w bok stalowym palcem.

- Uważaj na mnie, jeśli chodzi o Tzaneczkę, rozumiesz? - zagruchał.

Nie wiadomo czym by się zakończyła owa wzruszająca scena, ale oto zza drzew pojawiła się masywna, słoniowo-pingwinia postać i nachalny, skrzypiący bas zapytał:

- To tutaj mnie wzywano? Nie pomyliłem się?

Dwugłowy Jul popatrzył i wytrzeszczył oczy.

- Ba! - krzyknął. - Stara trąba! Skrzydlate lichy! I ty tutaj? Sto lat się nie pokazywałeś! Ha, stara banda znowu razem! Po tylu latach...

- Jul, proszę zamilknąć - powiedział surowo admirał Macomber. Zdaje się, że jako pierwszy otrząsnął się z otępienia spowodowanego pojawieniem się Wani i jego przyjaciółki. - Proszę milczeć i dać możliwość popracować. - Zwrócił się do słoniopingwina. - Owszem, Wstrst, wezwanie pochodziło stąd. To nie pomyłka. Proszę wejść na werandę.

Wstrst z obawą wspiał się po schodkach szurając po deskach końcami błoniastych skrzydeł. Zachowywał się, jak gdyby w każdej chwili mógł dostać w ucho.

- Oficjalnie oznajmiam - oświadczył, bezbłędnie zatrzymując się przed admirałem Macomberem i spoglądając świńskimi oczkami ponad jego głowę. - Oznajmiam natychmiast i oficjalnie. Moje oskarżenia dyrektora rezerwatu o skłanianie powierzonego mu kociego inwentarza do zejścia na złą drogę okazały się pomyłką. Przyznaję się do błędu. Oficjalnie. Wszystko wyłącznie z przyczyny gorliwości, zapału oraz karygodności. Jestem gotów otrzymać zasłużoną naganę.

- Ależ kanalia! - powiedział z zachwytem Dwugłowy Jul.

Wania ujął Tzanę za rękę i odprowadził w kąt werandy. Posadził pannę w wyplatany fotelu, stanął za jej plecami i wbił znudzone spojrzenie w przestwór oceanu.

- Wstrst - powiedział surowo admirał Macomber. - Nie interesują nas twoje drobne świństwa w rezerwacie Sajyłyk. Chociaż, kierowany właściwymi każdemu obywatelowi Ludzkości ideami humanitaryzmu, powinienem cię uprzedzić, że kiedyś jednak w końcu oberwiesz. Cierpliwość obywateli Ludzkości jest ogromna, ale nie bezgraniczna.

- Urwą ci trąbę, diabli bukłaku - oznajmił triumfująco Dwugłowy Jul.

- Jul, proszę siedzieć cicho - powiedział admirał Macomber. - Tak więc, Wstrst, twoje idiotyczne intrygi nikogo tutaj nie interesują. Zostałeś wezwany z innego powodu.

- Poddaję się pańskiemu sądowi, admirał Macomber - wyskrzypiał pokornie Wstrst. - Pokładam nadzieję jedynie w pańskiej sprawiedliwości.

Stary bydlak nie okazał najmniejszego zdziwienia na widok ludzi, których tak dobrze znał (zawsze zapamiętuje się osoby, które z gotowym do strzału pistoletem prowadzą cię po twoim własnym legowisku). Pojął, że bić i ciągać za trąbę raczej tutaj nie będą i nieco się uspokoił. Ale zaraz okazało się, że uspokoił się przedwcześnie.

- Nadarza się sposobność - powiedział admirał Macomber - żebyś oddał wielką przysługę

Ludzkości, która udzieliła ci schronienia.

- Jestem gotów! - wypalił bez namysłu Wstrst.

- Organizujemy wyprawę do nowego legowiska Wielkiego Ośmionoga i proponujemy ci wzięcie w niej udziału.

Na dużej, szarawej fizjonomii Wstrsta wyraźnie pojawiła się gęsia skórka strachu nie do opanowania i były zausznik powoli zaczął cofać się, aż jego błoniaste skrzydła oparły się o poręcz. Wówczas uniósł bladą, czteropalcą rękę i pomachał dłonią przed oczami.

- Za! Żadne! Skarby! - wygrzytał.

- Ślicznie - powiedział z zadowoleniem admirał Macomber. - Atosie, jesteś usatysfakcjonowany? Tak. A ty, Aramisie? Ja również. Spełniliśmy nasz moralno-etyczny obowiązek. Stwierdzam, że obecny tu tymczasowy obywatel Ludzkości Wstrst kategorycznie odmówił wzięcia udziału w operacji przeciwko Wielkiemu Ośmionogowi.

- W! Żadnym! Wypadku! - wysyczał Wstrst, jak gdyby wydawał ostatnie tchnienie.

- Zrozumieliśmy - stwierdził zimno admirał Macomber. - Dwugłowy, proszę, bądź tak miły i odprowadź Wstrsta do swojej nory. Jutro rano odeślemy go na powrót do tej jego kociarni, i żeby nawet wspomnienia po nim nie zostało na reszcie planety!

Półprzytomny Wstrst, kłaniając się i mrucząc słowa wdzięczności, zaczął spełzać ze schodów werandy. Dwugłowy Jul ruszył za nim podśmiewając się i poganiając stwora lekkimi kopniakami.

- Ruszaj się, ruszaj - przygadywała lewa głowa. - Leziesz jak mucha w smole, trąbo kołkonoga...

Gdy skryli się za rogiem willi, Wania wystąpił na środek werandy.

- O ile rozumiem - rzekł jasnym głosem - odbywa się tu narada wojenna. W starożytnych czasach jako pierwszy na takich naradach zabierał głos najmłodszy. No cóż... Nie mówię o admirał Macomberze, z którym widzimy się po raz pierwszy, ale wszyscy inni obecni znają mnie od dawna i lubią. Oczywiście w różny sposób. Ty, wujku Atosie. Ty, wujku Aramisie. Ty, Książniczko. I chwilowo nieobecny Dwugłowy Julek, który niańczył mnie, kiedy jeszcze robiłem w pieluchy...

- Zdaje się, że ja również cię lubię... - mruknął admirał Macomber.

Wania popatrzył nań wesoło.

- Dziękuję, wujku admirał. A więc tak. Wiem wszystko - przeczytałem waszą depeszę do taty. Umiem strzelać z ośmiu rodzajów broni, wyciskam lewą ręką pięćdziesiąt kilogramów, mogę przebywać pod wodą bez maski piętnaście minut. Proszę o jedno. Żeby, dopóki się nie zakończy cała historia, nic nie mówić tacie i mamie. Proponuję skład grupy wywiadowczo-dywersyjnej: admirał Macomber - dowódca, Dwugłowy Jul i ja. Niczego lepszego nie wymyślicie.

- Tak.

Admirał Macomber mimo woli przytaknął. Atos zmrużył oczy. Aramis uśmiechnął się niewesoło.

Ludzie ci nigdy nie poddawali się strachowi o siebie. I nigdy nie powątpiewali w męstwo bliskich. Ale...

- A co z Galą? - mruknął Atos. - Co z Portosem?

- Portos miał akurat osiemnaście lat, kiedy staranował kontraktor - powiedział szorstko Aramis.
- Zatwierdzam - oznajmił admirał Macomber, pełnomocnik Komisji ds. Wydarzeń Nadzwyczajnych.

I wszyscy, a razem z nimi Wania, wstali. Nikt nie odważył się spojrzeć na Tzanę siedzącą w kącie w wyplatany fotelu. Dziewczyna uśmiechała się pogodnie. Ale jakże dalekie od uśmiechu były jej duże, zielone oczy!

Około północy Aramis zostawił Atosa i admirała Macombera i oddychając głęboko wyszedł na werandę. Przecież to jasne dla byle jeża - mruczał ze znużeniem i wściekłością. - Elementarna deformacja czasoprzestrzeni w fałdach warstw depluzyjnych przy nałożeniu się równoległych przestrzeni... W to mogą wątpić tylko żołnierze i technicy... I krzywiąc się dotykał czubkami palców skroni, pulsujących bólem od nieprzerwanego trzaskania drukarek wypluwających nie kończące się taśmy z opiniami największych autorytetów Akademii Nauk oraz propozycjami służenia zbrojnym ramieniem składanymi przez dawnych towarzyszy broni admirała Macombera.

W najniższym punkcie swej trajektorii łagodnie świeciło północne słońce, czarne fale omywały z szelestem żwir plaży, sennie poćwierkiwały ptaki w gałęziach arktycznych jabłoni... tyle że grenlandzkie wieloryby przepłynęły już na wschód i chłodny wiatr od oceanu nie przynosił żadnych dźwięków.

Skoro tylko zakończyła się wojenna narada, Wania natychmiast gdzieś odleciał. Odmówił zapoznawania się z naukowymi i technicznymi wskazówkami Akademii Nauk. Mam własne źródła informacji - powiedział zagadkowo.- Zobaczymy, czyje są lepsze... Pocałował Tzanę i zniknął.

A Tzana stała przy balustradzie werandy i wpatrywała się w ocean. Kiedy Aramis wszedł i opadł na fotel przy stole zastawionym regionalnym jedzeniem i ogólnoplanetarnymi napojami - nie poruszyła się, ale po chwili, nie odwracając głowy, spytała:

- Masz dzieci, wujku Aramisie?

Aramis, który właśnie konstruował sobie potężną kanapkę z krabów, morskiej kapusty i majonezu, zamarł w zamyśleniu.

- Hm... - mruknął. - Jak by ci powiedzieć... Coś w tym rodzaju niewątpliwie istnieje. Po domu kręca się jacyś smarkacze i smarkule. Kochają mnie, ja ich również...

Tzana, dalej nie odwracając się, rzekła:

- A ja być może nigdy nie będę miała dzieci.

Aramis nie znalazł żadnej odpowiedzi. Zresztą nawet nie szukał.

Gdyby owej nocy ktoś odszedł dziesięć kroków na południe od ganku werandy, to znalazłszy się nad otwartym na oścież włazem do nory Dwugłowego Jula, usłyszałby podniecone głosy.

Dwugłowy Jul nie poskąpił staremu wrogowi wody królewskiej i Wstrst był w pestkę pijany.

- Nikczemnik ze mnie! - łkał rozkładając skrzydła. - Nie mam ojczyzny! Wszyscy schwycili w trąby broń, a ja uciekłem! Uciekłem jak ostatnia gadzina! Wszystkich zdradziłem! Rozumiesz, Jul? Z przyjemnością zawisnę na szubienicy! Za trąbę!

Odpowiadał mu huczący baryton prawej głowy Dwugłowego Jula.

- Idź kimać, draniu. Kładź się i śpij. Widzicie go, rozochocił się, szubienica mu się marzy!

Komuś ty potrzebny, słońiopingwinie niedorobiony! Smrodu, co raz się przyczepił - nie odetniesz, wieszac go... Śpij, jak ci mówią, bo jak nie, to przyłożę w ucho!...

7.

Dzień 20 lipca 2222 roku naszej ery, 305 roku Wielkiej Rewolucji, był na planecie Ziemia i w okolicach piękny i zwyczajny.

Piękny i zwyczajny dla całej Ludzkości - z wyjątkiem paru setek jej obywateli biorących udział w operacji „Kontratak do wewnątrz”.

W południe czasu światowego trzech z nich wysiadło z hydroplanu na północny brzeg Czarnej Skały. Milczący przez całą drogę pilot z chrzęstem uściśnął na pożegnanie trzy dłonie, a później, przed daniem gazu, zniemacka ryknął na cały Wielki (czy też Spokojny) Ocean:

- Jeśli coś się wam stanie, niech dranie wiedzą: rozwalimy ich diabelskie gniazdo. Choćby nawet przyszło przekopać wszystkie czasy i przestrzenie, znajdziemy kryjówkę łotrów i wtedy roznieśmy ich w proch i pył, tak że nawet kruki nie będą miały czego rozdziobywać!...

Na to admirał Macomber szybko rozejrzał się na boki i mruknął:

- No - no, niech się pan tak nie nadyma, nie ma powodu. Do palenia i burzenia rozumu nie trzeba...

Wania ułożył twarz w grymas miłego uśmiechu.

A Dwugłowy Jul zadrzał w głębi duszy: wiedział, że groźba pilota bynajmniej nie jest samochwalstwem. Otwarcie mówiąc, były pirat miał dość ograniczoną wyobraźnię, ale i taka wystarczyła, żeby postawić się na miejscu Wielkiego Ośmionoga, kiedy Ziemianie... Dwugłowy Jul ponownie lekko zadrzał i spróbował pomyśleć o czymś przyjemnym. Odruchowo poprawił przy tym czarną opaskę na prawym oku prawej głowy.

Hydroplan odleciał i zostali sami.

A właściwie - co znaczy „sami”? Dwa dni przedtem, przypadkowo przelatujący nad wysepką, helikopter ze znakami rozpoznawczymi Morskiej Służby Weterynaryjnej z roztargnienia rozsiał na skały i przybrzeżne wody półtora tysiąca bezbarwnych kropelek wielkości główki szpilki - półtora tysiąca neutrinowych teleprzekazników, które natychmiast rozpoczęły transmitować obraz i dźwięk z wysepki i okolic na półtora tysiąca ekranów w sztabie na piętnastym piętrze Pałacu Rady.

Bezwzględnie trzeba było zobaczyć jak to się stanie.

Ogólnie rzecz biorąc odpowiednia hipoteza została opracowana i uznana za najdokładniej odpowiadającą znanym faktom. Współczesna nauka utwierdziła się już w pojmowaniu Metakosmosu jako ogółu wszelkich wyobrażalnych i niewyobrażalnych systemów czasoprzestrzennych. Znane były przestrzenie równoległe i prostopadłe, przestrzenie ze zwykłym, odwrotnym i prostopadłym upływem czasu, prawdopodobne przestrzenie mniej lub więcej wymiarowe niż nasza trójwymiarowa, przestrzenie zamknięte w sobie i otwarte w rzeczywistość nieskończoność, i inne łamigłówkowe, przedstawialne jedynie matematycznie quasi-, pseudo i

egzokosmosy, które zwyczajnemu człowiekowi, malarzowi czy artyście mogą się co najwyżej, nie daj Boże, przywidzieć podczas drzemki po zbyt obfitym obiedzie. A jeśli się już takiemu zwyczajnemu malarzowi czy artyście coś podobnego przyśni, to nieszczęśnik wyskoczy z hamaka albo leżanki z trudem łapiąc oddech, spluwając i wodząc oszalałymi, nabiegłymi krwią oczyma... i nasz artysta pobiegnie, nawet się nie czesząc, do ukochanej żony albo narzeczonej i drżącym głosem zażąda, żeby natychmiast mu przysiąc, że nigdy, nigdy, nigdy... a co mianowicie „nigdy” - nie wyjaśni, bo sam nie będzie wiedział...

W szczególności rozpracowano hipotezę tak zwanej „matrioszki przestrzeni”. Rozpracowano dawno, a później zapomniano ze względu na kompletną nieużyteczność. Idea hipotezy polegała na uznaniu możliwości istnienia systemu czasoprzestrzennych kontynuów umieszczonych jeden w drugim na podobieństwo słynnej starożytnej rosyjskiej zabawki. Metryki owych włożonych jeden w drugi kosmosów byłyby ściśle skorelowane znanym postulatem głoszącym, iż stosunek wymiaru do prędkości upływu czasu jest zawsze wielkością stałą. Mówiąc po prostu: jeśli w jakimś Kosmosie „włożonym” w nasz Kosmos długość fali promieniowania danego atomu jest milion razy mniejsza niż u nas, to również czas płynie tam milion razy szybciej. Elementarne wyliczenia wykazały, że kosmosy o wymiarach większych lub mniejszych od naszego są mniej stabilne i teoretycznie nie da się wykluczyć możliwości tworzenia w nich, przy bardzo nieznacznym zużyciu energii, „dziur” albo „lejów” do dowolnego punktu naszej przestrzeni. Według opinii Aramisa, popartej wypowiedziami wybitnych specjalistów z Ziemi i zaprzyjaźnionych światów, równie inteligentnemu draniowi jak Majster Kreg udało się skonstruować urządzenie umożliwiające chuligańskie napady na nasz Kosmos od wewnątrz. Tak więc przeciwnik umknął z Planety Łotrów bynajmniej nie do systemu bezimiennej gwiazdy neutronowej... Nie, z tymi hipotezami o innowymiarowych wszechświatach można stracić głowę... Oczywiście, uciekli do systemu bezimiennej właśnie i właśnie neutronowej gwiazdy, tyle że nie w naszym Kosmosie, a w jednym z tych, które mamy dosłownie pod stopami. Tam przecież również jest Wszechświat rozległy na miliardy lat świetlnych, ze swoimi galaktykami i swoim intelektem, tylko trochę mniej stabilny od naszego... Przeciwnik zmniejszył się tam być może nawet dziesięciokrotnie, a więc i czas płynie dla niego dziesięć razy szybciej. Starość nie radość, i w ten sposób pilnie stał się potrzebny cudowny doktor Itai-itai... No, ale to już kwestia natury, można by rzec, bardziej bytowej. Hipoteza nie wykluczała, że masy wytwarzające pola grawitacyjne w sąsiadujących ze sobą „matrioszkach” są w jakiś sposób nawzajem powiązane. I co wówczas - wewnątrz naszej Ziemi, w odległości przejścia wymiaru, również rozpościera się planeta?

Hipoteza otrzymała potwierdzenie z zupełnie nieoczekiwanej strony. Jak wiemy, natychmiast po naradzie wojennej Wania udał się do jakiegoś swojego źródła informacji. Rzecz w tym, iż był mu znany, szósty już wiek żyjący sobie szczęśliwie na świecie, niejaki Brzupa, jako osobistość literacka szerzej znany wykształconym masom pod imieniem Brzuchatego Paciuka.

Pochodzenie Brzupy kryły mroki nieznanego. Nikt nie miał nawet pojęcia, czy był on człowiekiem, czy może reliktem owych osobliwych kultur, kwitnących na naszej planecie na długo zanim pierwszy pitekanthrop włochatą łapą osadził na kiju kamień z dziurą, po czym z nieistotnych

obecnie powodów zginął.

Dokąd sięga pamięcią piękny Kraj Naddnieprzański, żył Brzupa zawsze w tym samym miejscu - początkowo w jaskini, następnie w ziemiance, a od wieku osiemnastego już w białej chacie na prawym brzegu Dniepru, z dziesięć wiorst na północ od słynnej Połtawy; w groźne lata najazdów i wewnętrznych niepokojów uchodził razem z partyzantami w lasy; zajmował się znachorstwem w najszerszym tego słowa znaczeniu; na trwałe dorobił się reputacji znawcy, brata-łaty, a nawet prawie że przywódcy tak zwanych sił nieczystych. Swój wolny czas poświęcał Brzuchaty Paciuk rozkoszom kulinarnym czyli kluskom-hałuszkom w cielej polewce oraz pierożkom ze śmietaną, a nawet gorzałce.

W opisywanych czasach czysto wybielona chata Brzupy z ogródkiem i pasieką stała pośród stodół z metalu, a okoliczne dzieciaki, wielcy znawcy neutrinowego modelarstwa, silników pozaprzestrzennych i podwodnych sportów, stale zakradały się do ogródka na arbuzy i melony. Gospodarz udawał, że niczego nie zauważa, prychał tylko w siwe, zwisające wąsy i sprawiał, iż sezon na melony i arbuzy nigdy się u niego nie kończył.

Od czasu do czasu Brzupa poza niesłychanym apetytem, sympatią do dzieci i znachorskimi talentami przejawiał również zdolności innego rodzaju. W naszych czasach niezwykłego rozkwitu nauk empirycznych i postępu technicznego, w naszych szczególnie racjonalistycznych czasach co i rusz ni z gruszki, ni z pietruszki zamajaczy u tego czy owego niewyraźna, mglista nadzieja na poznanie intuicyjne, na najkrótszą drogę do zdobycia prawdy. Zdarzało się więc nawet parę razy do roku, że próg Paciukowej chaty przekraczali wybitni naukowcy i mistrzowie z Moskwy, dalekiego Ho Chi Minha czy jeszcze dalszego Makarowa na Tytanie. Zjawiali się i z bojaźliwym pośpiechem objaśniali wypieszczony pomysł, drogocenny planik, wyhołubiony w sercu projekcik, oczekując jedynie odpowiedzi na pytanie: uda się, czy nie uda. Dziwne to i na razie zupełnie niewyjaśnione, ale Brzupa nigdy się nie mylił. Pogłodzi się, bywa, po gigantycznym brzuchu i burknie krótko: „Uda się. Dawaj.” I zawsze się udawało. Oczywiście dzięki ogromnej pracy, wszystko jedno, po wielu wysiłkach, ale przecież zawsze się udawało - tłumacz to sobie jak chcesz! Ale jeśli Brzupa orzekał: „Nie warto. Zostaw.” - to już koniec. Całe życie możesz tłuc głową w mur, nic ci nie wyjdzie. Sędziwi akademicy mieli nawet powiedzenie „zajrzał do Brzupy” - stosowane, jeśli któryś z porwanych ognistą myślą kolegów nagle chłódł w stosunku do owej myśli i zwracał się ku czemuś zupełnie innemu.

Do tego właśnie Brzupy, do Brzuchatego Paciuka, skierował się Wania po naradzie wojennej.

Wszystko odbyło się według scenariusza z kowalem Wakułą, napisanego osobliwie przed wiekami przez wielkiego Gogola.

Nie bez onieśmienia otworzył Wania drzwi i zaraz zobaczył Brzupę siedzącego po turecku na podłodze przed stareńkim magnetofonem. Na pokrywie magnetofonu stała miska z hałuszkami. Miska stała jakby umyślnie na wysokości ust. Pochyliwszy lekko głowę ku misce Brzupa siorbał wyśmienitą polewkę, od czasu do czasu chwytając zębami hałuszkę. Niewątpliwie był bardzo pochłonięty hałuszkami, bo, jak się zdawało, nie zauważył wejścia Wani.

- Przyszedłem do waszej miłości, panie Paciuk - powiedział Wania kłaniając się i uśmiechając

najbardziej prostodusznym ze swoich uśmiechów.

Brzupa uniósł głowę i znów pochylił się nad hałuszkami.

- Pojawili się u nas przestępcy - powiedział Wania - ale gdzie są, jak ich dosięgnąć - nie wiemy...

Brzupa popatrzył i znowu zabrał się za hałuszki. Wania kaszlnął.

- Wszystkim wiadomo, panie Paciuk - rzekł, kłaniając się ponownie - że pan wie wiele o tym, o czym nie wie nikt. Do przestępców trzeba dotrzeć jak najszybciej, dopóki znowu nie nawyczyniąją złego... Niech pan powie - jak ma być?

- Komu trzeba przestępców, niech idzie do przestępców - odparł Brzupa, w dalszym ciągu zmiatając hałuszki.

- Po to właśnie do pana przyszedłem - odparł Wania zaliczając nowy ukłon. - Poza panem, myślę, nikt na świecie nie zna do nich drogi...

Brzupa bez słowa dojadł pozostałe hałuszki.

- Niech się pan, towarzyszu Paciuk, ulituje, nie odmawia! - molestował Wania. - Czy to nową książkę, czy bilecik na premierę albo wernisaż, czy tam buteleczkę marsjańskiej bormotuchy albo żywego lodu z Tybetu, czy jeszcze czego innego w razie potrzeby... jak to zwykle bywa między porządnymi ludźmi... nie poskapimy. Niech pan tylko powie, jak na ten przykład do łotrów, do ichniego gniazda, drogę znaleźć.

- Nie musi daleko chodzić, kto ma łotrów pod nogami - rzekł obojętnie Brzupa nie zmieniając pozycji.

Wania zmrużył oczy zastanawiając się, po czym ponownie wlepił wzrok w Brzupę. No, słówko jeszcze, słóweczko! - prosiła bezdźwięcznie jego mina, a półotwarte z napięcia usta szykowały się, by niczym hałuszkę przełknąć owe wyczekiwane słowo, lecz Brzupa milczał.

Tu Wania zauważył, że ni hałuszek, ni magnetofonu przed Paciukiem nie było, zamiast nich stały na podłodze dwie srebrne miski: jedna napełniona pierogami z wiśniami, a druga - śmietaną. Myśli i oczy chłopca skierowały się mimo woli ku jadłu. Zobaczmy - powiedział sam do siebie - jak Brzupa będzie jadł pierogi. Za bardzo pochyłać się nie może, brzuch przeszkadza, a i nie ma po co - pierożek trzeba najpierw umoczyć w śmietanie...

Ledwo to zdążył pomyśleć, Brzupa rozwarł usta, popatrzył na pierogi i jeszcze szerzej otworzył usta. I w tejże chwili pieróg wyfrunął z miski, plusnął w śmietanę, przewrócił na drugą stronę, podskoczył w górę i trafił akurat Brzupie w usta, pod siwe wąsy.

Telekineza! To dopiero mistrz! - pomyślał Wania i w tej samej chwili odkrył, że i jemu w półotwarte usta pcha się obśmietaniony pierożek, i to wspaniały, smakowity, roztaczający aromat wiśniowej pianki. Wania zjadł ów pierożek i oblizał się, i zjadł jeszcze jeden, i jeszcze jeden, i jeszcze jakieś dziesięć, i wówczas, ocierając serwetką usta, Brzupa powiedział: - idź, Wańka. Wszystko ci powiedziałem. Przestępców nie trzeba będzie szukać, przyjdą sami. Tylko się nie zestrachaj. Idź.

Wania po raz ostatni skłonił się i pędem wybiegł z chaty.

Wspominał to później na Czarnej Skale, stojąc na samym skraju wody z rękami schowanymi w

głębokich kieszeniach plamiastego kombinezonu desantowca. Przypomnił sobie też pełne beznadziejnej rozpaczony oczy Tzany podczas pożegnania w willi Atosa, i mamę z ojcem, i tyle jeszcze innych rzeczy naraz, że aż strach bierze na myśl, ile wspomnień może się pomieścić w osiemnastoletnim chłopaku!

8.

Trzy kroki od Wani, w identycznym plamiastym mundurze, siedział na skalnym odłamku admirał Macomber. Pogwizdywał przez zęby i bezwiednie myślał, że ciągle jeszcze czuć mazut, a wspominał spotkanie sprzed godziny w bazie hydroplanów, kiedy to mężnie wyglądający człowiek podszedł do niego, nieśmiało przywitał się i powiedział:

- Admirał Macomber, jeśli się nie mylę?

- Do usług.

- Oczywiście pan mnie nie pamięta... Jestem Staruszek Sasza, Aleksander Kuszner, starszy chirurg „Moby Dicka”.

- A! - powiedział admirał Macomber. - To pan poinformował o nieszczęsnych fokach...

- Owszem, ale nie w tym rzecz. Spotkaliśmy się kiedyś, dwadzieścia lat temu, niedaleko stąd, u dziadka Witiomy...

- A jakże, a jakże... Dziadek Witioma, „Samotna Konwalia”... Wspaniały człowiek, wspaniały indyk w goździkowym sosie... Jak mu się żyje?

- Nie wiem, gdzie się wyprowadził... - Staruszek Sasza, onże Alaksander Kuszner, przez chwilę wahał się, po czym zapytał: - Admirale, proszę mi powiedzieć, pamięta pan?... Gala. Owego wieczora była z nami u dziadka Witiomy taka dziewczyna... Nie spotykał jej pan później?

Admirał Macomber popatrzył nań przenikliwie.

- Spotykałem - odparł. - Nawet niejednym razem.

- Co u niej?.. Jak żyje?..

- Według mnie nieźle. Pracuje. Wyszła za męża. Tam nawet stoi jej syn, również jest w mojej grupie.

Staruszek Sasza zmieształ się. Staruszek Sasza uśmiechnął się skonfundowany. Jak gdyby zdał sobie sprawę, jakimi to drobiazgami zawraca głowę człowiekowi ruszającemu właśnie w śmiertelny - być może - bój. Niezręcznie wybąkał:

- A więc... hm... idziecie... tam... hm...

- A więc idziemy - odparł poważnie admirał Macomber.

- Mocno ich pan nienawidzi? - zapytał nagle Staruszek Sasza.

Admirał Macomber przyjrzał mu się ze zdumieniem.

- Przyjacielu - powiedział chwytając Staruszkę Saszę za guzik. - Musisz sobie przyswoić pewną ważną rzecz. I to przyswoić na zawsze. Nienawiść jest produktem rozkładu strachu. A ja nigdy nikogo i niczego się nie bałem. Owszem, drażnią mnie. Ale nienawidzić? Byle

odszczepieńców? Nigdy!

Poklepał wówczas Staruszka Saszę po ramieniu, a teraz pomyślał o nim z roztargnionym uczuciem przyjaźni.

Dwugłowy Jul, podpierając lewą głowę potężną dłonią wyciągnął się nie opodal na kamieniach. Ubrany był w swój czarny strój bojowy i czarne rękawice wyprodukowane przez nieznaną rzeszę rzemieślników na nieznaną w przyszłości. Tylko kabury przy pasie miał puste. Sztab oświadczył, że z nader ważnych powodów natury moralno-etycznej grupa wyruszy bez broni. Dwugłowy Jul nie chciał i nie mógł tego pojąć, ale, po pierwsze nikt go nie pytał, a po drugie jako doświadczony wojak rozumiał świetnie co innego. Oczywiście, wspaniale by było wdrzeć się do legowiska Wielkiego Ośmionoga w jakimś pojeździe będącym kombinacją głębokowodnego czołgu i emitera pozytronowego, chronionym jeszcze w dodatku przez pole siłowe, ale przecież przed takim gościem drań Kreg za nic nie otworzy swoich bram - „dziury”, „leja” czy co tam ma... O broni osobistej w ogóle nie było co myśleć. Dobrze znał sługusów Wielkiego Ośmionoga. Bandyty, ćwierćinteligentni i histeryczni dranie, na sam widok pistoletu albo choćby zwyczajnego myśliwskiego noża nikomu nie dadzą nawet ust otworzyć, od razu zaczną pruć z automatów i rzucać granaty!...

Teraz, przysłuchując się pluskaniu przybrzeżnych fal, prawa głowa rozmyślała, że nie na darmo, oj, nie na darmo przed dwudziestu laty cudowny doktor Itai-itai wyleczył go ze wszystkich chorób, w tym również z alkoholizmu, ale zostawił to, co kryła czarna przepaska na prawym oku. A lewa głowa dziwiła się prostodusznie niezbadanym zrządzieniom fortuny: znów go, Dwugłowego Jula, zaniósł na niepozorną wyspę, na której jako jeniec spędził bez mała trzy lata, gdzie przywykał do Ziemi i Ziemian, gdzie w społeczności miejscowych fok uczył się dobroci i zrozumienia... a dzieci i wnuki tamtych fok bezlitośnie i mimochodem utopiono w mazucie... a taki był z nich wspaniały ludek...

Dwugłowy Jul popatrzył na Wanię i nagle porwały go smutek i gniew. No, ale Wańki im na męki nie dam! - pomyślał z okrutną złością. Jak by się sprawy nie potoczyły, setka ich padnie i ja jako sto pierwszy, zanim dobiorą się do Wańki...

Wania stał na brzegu i nucił półgłosem:

Zaszczytna

Nasza służba i zazdrości godna

Zazdrości godna, zazdrości godna!

Królewska mość

Jakże poradzi sobie bez nas?

Koronowanych głów ktoś musi strzec...

Godzina wybiła.

Z błękitnego nieba padł na północny brzeg Czarnej Skąły szeroki purpurowy cień, niewidzialny i bezdźwięczny wichur pochwylił trójkę naszych bohaterów i cisnął w otchłań wraz ze strzępkami

słonej morskiej piany, garstką suchych wodorostów i paroma kamieniami zalatującymi mazutem.

Tak, wybiła godzina trzynasta.

W sali na piętnastym piętrze Pałacu Rady zgasło wszystkie tysiąc pięćset ekranów neutrinowych teleodbiorników.

Na pulpitach przenikliwie rozdziwaczały się sygnały z grawitacyjnych pelengatorów i w trójwymiarowym modelu okolic Czarnej Skały pojawiła się czerwona sfera - projekcja pięciowymiarowego ujścia „leja”, czy, jak kto woli, „dziury” otwartych w naszą przestrzeń.

Ekran zapłonęły ponownie, ale na kamienistym brzegu wyspy nie było już trzech postaci. Jak gdyby krowa zlizwała je ozorem. Za to zza horyzontu wynurzył się i zdecydowanie ruszył na obserwatorów szary, matowo połyskujący w słońcu kształt.

- Wystartował „Greczko”! - szepnął ktoś.

Tak, był to okręt międzyprzestrzenny „Greczko”, stumetrowe żelazko najeżone grawitonowymi przebijakami, z okrągłą osłoną bioparalizatora na rufie. W trójwymiarowym modelu pojawił się w postaci złotej gwiazdki, która skierowała się ku czerwonej kuli i natychmiast zlała się z nią. Ekran pokazywały jak „Greczko” już po sekundzie przy wtórze niewielkiej eksplozji rozpląnął się na tle błękitnego nieba - wyszedł z naszej przestrzeni w niezabliźniony jeszcze obszar, którym prowadził tunel międzyprzestrzennego „leja”.

- Dwudziesta pierwsza sekunda - zameldował beznamiętnie robot-operator.

Oznaczało to, że „Greczko” wcisnął się w przejście międzyprzestrzenne w dwadzieścia jeden sekund po zamknięciu leja.

Znowu zgasły i natychmiast ponownie zapłonęły neutrinowe ekrany, ale nikt już na nie nie patrzył. Wszyscy wlepili wzrok w ekran wskaźnika temporalnego. Od tego, co pokaże ekran, zależało wiele.

I oto pojawiła się liczba: 0,0002.

Przez salę przeleciało głębokie westchnienie. Ktoś szeptem zaklął. Atos wpił się martwym uściskiem w ramię Aramisa.

- A-ja-jaj, niedobrze! - powiedział przewodniczący Komisji ds. Wydarzeń Nadzwyczajnych.

Dwie dziesięciotysięczne sekundy! Zaledwie na tak mizerny czas otwarła się „dziura” do naszej przestrzeni. Ale żeby pojąć, dlaczego owa okoliczność wprawiła salę Pałacu Rady w zakłopotanie i rozczarowanie, musimy odwołać się do arytmetyki.

Była uprzednio mowa, że według teorii „matrioszki przestrzeni” prędkość upływu czasu w innych przestrzeniach powinna być albo większa, albo mniejsza niż w naszej. Pewne okoliczności, nad którymi nie warto się tu rozwodzić, nakazywały sądzić, że w obecnej kryjówce Wielkiego Ośmionoga czas płynie szybciej niż u nas. Ile razy szybciej? Dziesięć? Sto? Nikt tego nie wiedział, ale sto razy, trzysta razy - było wielkością dopuszczaną przez najostrożniejszych specjalistów.

A co się okazało w rzeczywistości?

„Dziura” otworzyła się na dwie dziesięciotysięczne części sekundy.

Jeżeli nawet przypuścić, że maszyna Majstra Krega pracuje równie operatywnie jak najdoskonalsze międzyprzestrzenne aparaty Ziemi - przeciwnik powinien był potrzebować nie

mniej niż jakieś dziesięć sekund swojego czasu, żeby otworzyć „dziurę”, porwać w chmurze mazutowego smrodu admirała Macombera, Wanię i Dwugłowego Jula, i ponownie zamknąć „dziurę”. Ale dla nas owe dziesięć sekund trwało jedynie dwie dziesięciotysięczne sekundy! Prawie wszyscy organizatorzy „Kontrataku do wewnątrz” potrafili dokonywać w pamięci obliczeń z dziedziny wyższej matematyki, cóż dopiero mówić o zwykłej arytmetyce.

Czas w przestrzeni przeciwnika płynął dziesiątki tysięcy razy szybciej niż w naszej!

To było straszne. To było straszne, krzyczące, fantastyczne świństwo ze strony rachunku prawdopodobieństwa, teorii „matrioszki przestrzeni” i wszystkich teorii razem wziętych, jako że wynikała z owego faktu rzecz następująca: w ciągu dwudziestu sekund, których potrzebował potężny „Greczko” na dotarcie do ujścia „leja” plus sekundy, jakich potrzebował, aby śladem grawitacyjnych zawichrowań precyzyjnie się do świata przeciwnika, w owym świecie minęła nie godzina - półtorej, jak planowano, ale wiele dni, być może nawet miesiące, i w przeciągu owego zaiste nie kończącego się czasu nasi bohaterowie bili się tam... - a raczej, powiedzmy otwarcie, byli bici - bez jakiegokolwiek wsparcia.

Pozostawała jeszcze oczywiście słabiutka nadzieja na rozsądek drani, na ich strach przed odwetem, na odwieczną bandycką skłonność do ratowania własnej skóry za cenę skóry kompana... zresztą, co by nie mówić, niepokonany „Greczko” już tam jest...

Ale trzeba było spojrzeć prawdzie w oczy. Ziemia zaryzykowała i Ziemia przegrała pierwszą rundę. Przeciwnik prowadził 1:0.

9.

Istotnie, przeciwnik prowadził 1:0.

Idea operacji „Kontratak do wewnątrz” była prosta jak drut. Trójka zuchów z całą świadomością podstawiła się w charakterze przynęty. Po połknięciu przynęty przeciwnik musiał nieuniknienie zostawić ślad w pięciowymiarowym polu grawitacyjnym. Ślad w postaci laminarnych oscylacji utrzymywał się przez czas nieokreślony w pauzach międzyprzestrzennych i na grawitonowe przebijaki okrętu „Greczko” działał niczym waleriana na koci nos. Zgodnie z planem operacji „Greczko” powinien był wdrzeć się w przestrzeń przeciwnika w godzinę-półtorej po przechwyceniu grupy, i rozmowa wówczas byłaby inna - aż po natychmiastowe porażenie wszelkiego organicznego i nieorganicznego życia w kryjówce Wielkiego Ośmionoga i bezbolesny, acz głęboki i trwający ile trzeba sen włącznie. Owa godzina-półtorej jawiły się organizatorom i wykonawcom operacji najniebezpieczniejszym, być może nawet śmiertelnie niebezpiecznym etapem. Po odkryciu, że wśród uprowadzonych nie ma nawet śladu cudownego doktora, rozjuszeni bandyci mogli jeńców zwyczajnie z miejsca zlikwidować. Cóż, Ziemianie byli na to przygotowani. W końcu głównym celem operacji było odnaleźć przeciwnika i całkowicie, raz i na zawsze unieszkodliwić go. Z punktu widzenia admirała Macombera, Wani i Dwugłowego Jula gra była bezwarunkowo warta świeczki, pozostali nie potrafili zaproponować niczego lepszego.

Według mniemania Ziemiaków istniała zresztą dość poważna szansa, iż przeciwnik będzie się bał od razu wykonać gwałtowny ruch. Zwykle liczenie na rozsądek łotrów, ich strach przed odwetem, na gotowość do ratowania w każdej chwili swojej skóry za cenę skóry kompanów. Admirał Macomber miał nadzieję, że w ten czy inny sposób wciągnie hersztów w negocjacje, przekona, iż na cudownego doktora nie ma co liczyć; liczyć należy wyłącznie na dobrą wolę i medycynę Ziemi, medycynę nawiasem mówiąc, również całkiem niezłą. W tym celu najlepiej, nie tracąc drogiego czasu, podnieść do góry kończyny i zdać się na niewypowiedziane miłosierdzie najbardziej humanitarnej w znanym Kosmosie rasy. I byłoby to tym rozsądniejsze, że oto w ślad za nim, admirałem Macomberem, i jego przyjaciółmi nadciąga ktoś, z kim już się nie pogada...

Jest rzeczą zrozumiałą, że i w podobnym przypadku mogły zajść wszelkiego rodzaju komplikacje, aż po wzajemną obrazę czynem włącznie, no ale to już by były, jak się mawia, koszty własne śmiałego przedsięwzięcia. Zresztą szanse na przetrzymanie godziny czy półtorej nasi bohaterowie, wedle ich własnego mniemania, bez wątpienia mieli.

Ale!

Po pierwsze: jak wiemy, potężny okręt międzyprzestrzenny „Greczko” w żaden sposób nie mógł zjawić się w przestrzeni przeciwnika ani w przeciągu godziny, ani w przeciągu półtorej, i zwiadowczo-dywersyjna grupa admirała Macombera była zdana na własne siły przez czas o wiele dłuższy.

Po drugie: chociaż bandyci nie zlikwidowali z miejsca naszych bohaterów, to również i nie dali im żadnych szans na wszczęcie negocjacji.

Perypetie grupy w kryjówce Wielkiego Ośmionoga będziemy dalej opisywać przede wszystkim słowami i z punktu widzenia Wani - syna Portosa, intraoptyka i wędrownego artysty. Przyczyn ku temu jest kilka, niektóre wyjaśnią się w trakcie opowieści, lecz najważniejszą jest fakt, iż właśnie obfitująca w szczegóły i emocje opowieść Wani wywołała w nas najjaskrawszy, najwyraźniejszy i najbarwniejszy obraz wydarzeń.

Przede wszystkim okazało się, że nawet wyśmienicie zahartowany ludzki organizm zdecydowanie nie jest przygotowany na przeciąganie przez poziomy „matrioski przestrzeni”. Strasznych wrażeń, których doświadczył przy tym Wania, nie da się opisać.

Ale w każdym czasie i w każdej przestrzeni wszystko ma swój kres. Wania poczuł, że przestano przekręcać go przez gigantyczną maszynkę do mielenia mięsa. Przerazające odczucia minęły, pozostawiając po sobie gasnące iskry pod zaciśniętymi powiekami, cichnące dzwonięcie w uszach, intensywny posmak miedzi w ustach i świerzbiecie całego ciała od twarzy po pięty. W nos biła woń błotnych oparów.

- Gotowe! - wyskrzypiał odrażający głos. - Są gołąbeczki! No, stonoże dzieci, do roboty! Tego do „niebieskiego trefl”, tego do „czarnego pik”, a dwugłowego do mnie, do „specjalnej”, zajmę się nim sama!

Wania nie zdążył nawet rozewrzeć zaciśniętych powiek, gdy pochwyciły go i gdzieś powlokły cuchnące, włochate łapy. Spróbował stawiać opór, ale ciężki, miękki cios dosięgnął jego głowy i chłopak zwiotczał.

Nie, nie doszło do żadnych negocjacji. Zaraz po przybyciu Ziemiaków rozdzielono do różnych pomieszczeń i zaczęto przesłuchiwać.

Wania znalazł się w sześciennym klatce o wymiarach mniej więcej 3 na 3 na 3 metry ze ścianami z porzewiatych żelaznych płyt, z białym sufitem, pośrodku którego pysniło się wyobrażenie czarnego asa pik. Dwie wielkie tarantule, o białawej skórze pokrytej rzadką szczecina, ze zwinnością świadczącą o bogatej praktyce, migiem oplotły Wani nogi i ręce grubą na palec pajęczyną i stanęły przed nim, kołysząc się groźnie na rozstawionych włochatych łapach oraz z nienawiścią wlepiając w Wanię matowe guziki oczu - po trzy pary każda.

Zresztą tarantule okazały się jedynie pomocnikami. Szefem był gigantyczny modliszek, całkowicie zapleśniały ze starości i potężnie cierpiący z powodu jakichś pasożytów czy też innej skórnej choroby. Jego płaski chitynowy łeb zdobiło zabliznione pęknięcie pomiędzy wylupiastymi ślepiami. Świątoszkowato złożone przed chudą piersią zębate ręce-kleszcze miał wybrudzone skawalonymi zaciekami - przypuszczalnie resztkami śniadania. Albo obiadu. Jednym słowem modliszek przedstawiał sobą widok odrażający, gorszy niż tarantule.

Z minutę przyglądał się Wani, kręcąc głową z prawa na lewo i z lewa na prawo, po czym wyskrzypiał:

- To ty. Poznałem cię.

- Pan - mnie? - zdziwił się Wania.

- Tak. Nie wypieraj się. To ty dwadzieścia lat temu dałeś mi ościeniem między oczy. Na Planecie Łotrów.

- Litości - powiedział Wania. - Nigdy nie byłem na Planecie Łotrów.

- Popatrz na mnie - wyskrzypiał modliszek.

- Patrę.

- Jestem modliszek Sinda. Bój się.

- Proszę bardzo, jeśli panu z tym lepiej. Boję się.

- Dobrze robisz. Pochwalam. U mnie się nie kłamie. U mnie mówi się prawdę.

- Przecież mówię prawdę! To nie ja!

- Rzeczywiście. Nie ty. Bo ty jesteś doktor Itai-itai.

Wania wytrzeszczył oczy.

- Kto?

- Ty. Jesteś doktorem Itai-itai. Nie wypieraj się.

- Myli się pan - powiedział z przejęciem Wania. - Doktor Itai-itai w ogóle jeszcze się nie...

- Nie jesteś doktorem Itai-itai?

- Nie, przecież mówię... Chodzi o to, że...

- Gdzie jest doktor Itai-itai?

- Panie Sinda, niech pan posłucha, przecież mówię: doktor Itai-itai jeszcze się nie urodził!

Urodzi się dopiero za trzy stulecia! Wszystko to panu wyjaśnię...

- Nie potrzebuję wyjaśnień. Który z was jest doktorem Itai-itai?

- Tfu, do diabła! - rozeźlił się Wania. - Co za tłumok... Wysłucha mnie pan czy nie?

- Zmęczyłeś mnie. Cały czas kłamiesz. U mnie mówi się prawdę. Trzeba będzie potorturować.

I Wanię zaczęto torturować. Było to niezwykle bolesne i nieprzyjemne, i zupełnie bezsensowne. Ach, nie bez przyczyny tak bardzo Wstrst się przeraził, gdy zaproponowano mu wzięcie udziału w wyprawie! Torturujący, rzeźnicy spod znaku rozmaitych siguranc, defensyw i gestapa, gotowi byli bestialsko zamęczyć nawet i setkę nosicieli intelektu, licząc, że choćby jeden z nich zdradzi w agonii potrzebną informację. Nie interesowały ich żadne wyjaśnienia.

- Jesteś doktorem Itai-itai?

- Nie!

- Kłamiesz. Mów prawdę. Gdzie jest doktor Itai-itai?

- Przecież wam mówiłem, jeszcze się nie urodził!...

- Kłamiesz. Który z was jest doktorem Itai-itai?

- Nie ma go wśród nas!

- Kłamiesz! Wykręćcie mu dolne łapy. Jesteś doktorem Itai-itai? Bolało. Bolało przeraźliwie. Chrzęściły kości, przerażająco śmierdząco przypalonym mięsem. Czas stawał. Ile jeszcze? Gdzie jest „Greczko”? Gdzie nasi? Serce tłukło jak oszalałe, jak oszalała pracowała wątroba, z całej mocy pulsowała śledziona pompując krew, hormony i antyciała ku oparzeniom, ranom, zmiążdżonym mięśniom. Wania myślał przez purpurową mgłę spowijającą świadomość: trzeba wytrzymać, wytrzymam, ale co z admirałem, przecież on ma już swoje lata, może umrzeć, nie umieraj, admirałe, i ty, Jul, stary piracie, trzymaj się, nie giń, a ja jakoś wytrzymam...

- Jesteś doktorem Itai-itai?

- Zamknij się tłumoku, owadzie!

- Mów prawdę. Gdzie jest doktor Itai-itai?

- Figę dostaniesz, a nie doktora Itai-itai!

- A dajcie no więcej ogieńka. Który z was jest doktorem Itai-itai?

- Za słabo w łeb dostałeś modlichu, świętoszku parszywy! Od czasu do czasu do żelaznego sześcianu wpadał ktoś jeszcze, kłapał sierpowatymi szczękoczułkami i odrażająco skrzypiał:

- A postawcie go dęba! A przyłóżcie mu! Żeby poczuł! Co to, Sinda, on ci się przecież nawet nie spocił! Ech ty, mój wspaniały... Tylko uważaj, Sinda, żeby nie na śmierć!...

Czas zatrzymał się, popłynął do tyłu. Oto i Tzana, Księżniczka: „Posłuchaj, Trubadurze, podczas sceny z pocałunkiem nie trzeba tak na serio, przecież malcy patrzają!...” Ojciec: „Padać też trzeba umieć, Iwanie, rozluźnij się, masz nie gruchnąć, ale klapnąć!...” I wujek Atos... I wujek Aramis... Mama: „Ach ty mój Iwanku-Zajączku, weź grzebień, rozczesz mamie włosy, ucz się, mój Złocisty-Puszysty, będziesz narzeczony włosy rozczesywał...”

Tak upłynęła wypełniona bólem wieczność, choć w rzeczywistości minęły trzy doby, i męczarnia skończyła się. Wanię rozwiązano, i chłopak jak wór runął na żelazną podłogę. Nad jego twarzą nisko pochyliła się, wodząc szarymi ślepiami, poczwarna gęba - na końcach straszliwych sierpowatych szczękoczułków drżały mętne krople jadu. Dziobata Skolopendra wygrzytała:

- Ech ty, gołąbeczku-zakładniczku... Oj, pocałowałabym cię, przystojniaczku, w białe liczko!... Dobra, żyj sobie na razie. - I rozkazała tarantulom - Do więzienia go, tamtym do celi!

Wanię podjęto pod pachy i powleczono. Nogi ciągnęły mu się po podłodze, głowa opadała, ale chłopak śpiewał głośno:

Mówią o nas: be! i fe! i że ziemia nosi nas dziwią się...

To znaczy wydawało mu się, że śpiewa głośno, w rzeczywistości szeptał, ledwo poruszając spuchniętymi ustami. Wciągnięto go do jakiegoś pomieszczenia z pogłosem, szczęknięto żelazo, rozkołysano go i ciśnięto. Upadł na troskliwie podstawione ręce.

- Wania! - zawołała ochryple prawa głowa Dwugłowego Jula.

- Wanieczka! - wychrypiała lewa głowa i chlipnęła. - O Boże, admirale! Proszę zobaczyć, przecież on jest zupełnie siwy! Ach, gady!

- Cicho, Jul - mruknął admirał Macomber. - Ostrożnie, połóż tutaj... Bądźże cicho człowieku!

Dwugłowy Jul płakał i kłął jak oszalały. Wania uśmiechnął się radośnie i runął w bezdenną otchłań omdlenia.

Ocknął się w dwadzieścia cztery godziny później. Przez ten czas jego młody organizm popracował solidnie nad uszkodzeniami, które zadali mu ogniem i żelazem kaci, a admirał Macomber z pomocą Dwugłowego Jula nastawił wywichnięte stawy. W tym miejscu należy wspomnieć, że w opisywanych czasach każdego Ziemianina niemalże od niemowlęcia ćwiczone w sztuce samoleczenia, tak że Wania, ocknąwszy się z głębokiego snu, był na powrót zdrowy, żwawy i gotowy do nowych przygód. Tyle że był i do końca swoich dni pozostał siwy niczym gołąb, i jeszcze jego szerniała, zapadnięta twarz przypominała o przeżytych cierpieniach.

Pierwsze, co Wania poczuł po przebudzeniu to srogi głód i nie mniej srogie pragnienie. Pośpiesznie uściśnął dłonie admirałowi i Dwugłowemu Julowi, i nader wymownie szczęknął zębami. Admirał natychmiast przysunął mu pojemną plastikową kuwetę czubato napełnioną jakąś szarawą siekaniną i pogięte blaszane wiadro. Przy bliższych oględzinach siekanina okazała się mieszanką drobno pokrojonej suszonej ryby i makaronu z suszonych meduz. Wiadro zawierało mętną, ciepłą wodę. Wania spojrzał pytająco. Admirał Macomber wyjaśnił z krzywym uśmiechem:

- Jadło i napój z łaski Wielkiego Ośmionoga. Jak przypuszczam, żyjątko z arktycznej wodeńki i sama wodeńka, z lekka odsolona.

Wania skinął głową i zaczął konsumować. Jadło smakiem i konsystencją przypominało zdeptaną gumową podeszwę, ale zęby Wania miał świetne, a przaśność pokarmu doskonale uzupełniał słonawy smak arktycznej wodeńki. Wania gryzł i młócił z taką gorliwością i trzaskiem, że Dwugłowego Jula zaświerzbilo za uszami, a admirał Macomber odruchowo zaczął mitygować chłopaka: Wolniej, Wania, nie tak zachłannie!...

Kiedy zawartość kuwety i wiadra zniknęła, Wania podłubał w zębach paznokciem małego palca i rzekł w zamyśleniu:

- Jedzenie było niczego sobie. Tylko cebuli mało...

Po czym po raz pierwszy rozejrzał się. Znajdowali się w wąskiej i ciasnej klatce z niskim

kamiennym sufitem, ścianami z metalowych prętów i drzwiami-kratą zamkniętymi z zewnątrz na potężny zamek. Pod sufitem wisiała na gołym kablu lampa, zakurzona ale silna, wydzielająca nie tylko dużo światła, lecz i zauważalne ilości ciepła. Za żelaznymi prętami ścian ciągnęły się na prawo i lewo identyczne klatki. Szereg takich samych klatek ciągnął się po przeciwnej stronie korytarza za drzwiami. I w każdej z klatek - i tych na prawo, i tych na lewo, i tych po drugiej stronie korytarza - Wania, osłaniając oczy przed światłem lampy, dostrzegł bure, szczeciniaste ciała wielkości barana, powyginane w stawach włochate odnóża, gwiazdozbiory wielkich, jak gdyby końskich oczu. Ciała poruszały się lekko, posykiwały i szeleściły, niezrozumiale rozmawiały poskrzypującymi głosami...

Admirał Macomber ścisnął Wanię za łokieć.

- Spokojnie, młodzieńcze - powiedział. - To spidery. Również więźniowie, ale są w gorszej niż my sytuacji.

Wania odetchnął głęboko i popatrzył na przyjaciół.

- Admirale Macomber - powiedział. - Jul, stary piracie. Bardzo chciałbym wiedzieć, co się zdarzyło, jakie jest nasze położenie i co powinniśmy zrobić.

10.

Dwugłowy Jul miał wyjątkowe szczęście.

Dziobata Skolopendra, babsko swarliwe, mściwe i pamiętliwe, postanowiła zająć się nim osobiście, i byłego pirata powleczono do jej własnej, „specjalnej” sali tortur wyposażonej według ostatniego krzyku techniki. Była tam i piła tarczowa do wstępnego rozczłonkowania, i pompa odśrodkowa do infuzji we wnętrzości rozmaitych płynów, i wyposażona w śrubę mikrometryczną metalowa obręcz o zmiennej średnicy, i ultradźwiękowy wibrator do maksymalnie bolesnego obdzierania ze skóry, i urządzenie laserowe do... tfu, obrzydzenie bierze od samego wymieniania. Krótko mówiąc, środków technicznych miała Dziobata Skolopendra do wyboru, do koloru.

Ale skuteczny wybór zakładał choćby minimalną znajomość najwrażliwszych na ból punktów ciała przesłuchiwanego. A stara wiedźma o organizmie Dwugłowego Jula nie wiedziała nic. Zwłaszcza zbijała ją z tropu dwugłowość. Zapytała wprost. Jul odparł rozsądnie, że swoim własnym wrogiem nigdy nie był i nie będzie. „Dureń” - powiedziała Skolopendra. - Co będzie, jeśli nacisnę cię gdzie nie trzeba i z miejsca wyciągniesz kopyta?” Jul trwał przy swoim. Wówczas Skolopendra wezwała pluton tarantul i rozkazała im siłą odszukać wrażliwe miejsca Jula. Rozpętała się bijatyka. Dwugłowy Jul nie po raz pierwszy miał do czynienia z tarantulami: w swoim czasie niejednokrotnie bijał się z ich patrolami w portowych knajpach rozjaśnionych krwawoczerwonym blaskiem Protubery i trupiosinym światłem Nekrydy. Podczas bójki odgryzł trzem tarantulom siedem łap, ale w końcu pokonano go i związano.

Ale Dziobata Skolopendra wychodziła już z siebie ze złości. Podczas walki otrzymała od kogoś zdrowego kopniaka w podbrzusze, co całkowicie zniechęciło ją do pomysłu zabawienia się z

Dwugłowym Julem zgodnie z wszelkimi regułami nauki. „Na piłę go!” - wrzasnęła i Jula ciśnięto na platformę piły tarczowej. Już się był zdecydował sięgnąć po swoją ostatnią rezerwę... hm-hm... to znaczy po raz ostatni pożegnać się ze swoim pięknym życiem, gdy nagle do celi wdarł się tłusty bas Wielkiego Ośmionoga.

Ów w najwyższym stopniu przedsiębiorczy nosiciel intelektu, niewiarygodnie bogaty drań i były władca Planety Łotrów przemówił z głośnika odrapanego interkomu, a zaczął od obrzucenia Dziobatej Skolopendry stekiem wyzwisk. Wyjaśniło się, że Dziobata Skolopendra jest politykiem od siedmiu boleści, defraudantką własności swego pracodawcy, bezużytecznym darmozjadem, niewybaczalną awanturnicą, tłumokiem, jakiego Wszechświat nie widział i w ogóle kompletną idiotką. Skolopendra wysłuchiwała wszystkiego z należną pokorą, a kiedy Wielki Ośmionóg zakrztusił się, zapytała uniżenie, czym to ośmieliła się rozgniewać ojczulka. Owa pokora najwidoczniej ochłodziła nieco przedsiębiorczego nosiciela intelektu, który przeszedł do zarzutów konkretnych. Tu zaczęło się najciekawsze.

(Dwugłowy Jul leżał związany kilka centymetrów od zębów piły tarczowej, tarantule pochowały się po kątach, a Dziobata Skolopendra w pełnej szacunku pozie kiwała chitynowym czerepem przed interkomem).

Po pierwsze. Jak to doskonale Skolopendrze wiadomo, ponad dwadzieścia lat temu Dwugłowemu Julowi, ongiś wolnemu piratowi a obecnie zdrajcy, wydano w poczet wydatków na wyprawę po mózgi Ziemian zaliczkę w wysokości stu milionów, jak również wypożyczono mu wart sto pięćdziesiąt milionów kontraktor. W ten sposób wspomniany Dwugłowy Jul, ongiś wolny pirat a obecnie zdrajca, obciążony jest długiem na skromną sumkę dwustu pięćdziesięciu milionów. On, Wielki Ośmionóg, gotów jest odnieść się z całkowitym zrozumieniem do sadystycznych skłonności Dziobatej Skolopendry, ale kto mu w takim przypadku odda owe dwieście pięćdziesiąt milionów? Jest zupełnie oczywiste, że Dwugłowy Jul pokrojony na plasterki tarczową piłą stanie się niewypłacalny, a wówczas Wielkiemu Ośmionogowi nie pozostanie nic innego, jak tylko ścigać dług z Dziobatej Skolopendry, co jest zajęciem całkowicie pozbawionym perspektyw, albowiem wszystkim wiadomo, że ona, wiedźma jadowita, grosza przy duszy nie ma, jako że całą swoją wielką pensję bez reszty przepija. Dlatego właśnie on, Wielki Ośmionóg, kategorycznie zabrania naruszania cielesnej całości swojego dłużnika Dwugłowego Jula do czasu, aż ten nie spłaci do końca ciążącego na nim długu.

Po drugie. Jeśli nawet okaże się, że żaden z przechwyconych Ziemian, owych nierozróżnialnych istot wielkości koła od woza i z ogonami zamiast całej reszty, nie jest cudownym doktorem Itai-itai, jeńców z Czarnej Skały w żadnym wypadku nie wolno likwidować, jako że dla polityka-realisty przedstawiają skarb zaiste nieoceniony. Nawet taka jadowita idiotka jak Dziobata Skolopendra powinna dostrzegać, że w przypadku ostatecznym można wykorzystać ich jako zakładników albo jako obiekty do wymiany, a przy dużej dozie szczęścia - w ogóle przeciągnąć na swoją stronę, oczarowując bogatym wynagrodzeniem i innymi dobrami. I wtedy on, Wielki Ośmionóg, może gwizdać na całą tę ich planetkę z tlenem, chlorofilem, wodą i czerwoną krwią i być może powrócą stare, dobre czasy kosmicznego biznesu.

Jednym słowem: patentowana mulica Skolopendra powinna Dwugłowego Jula zostawić w spokoju i odesłać do więzienia, i koniecznie zwrócić uwagę, żeby jej rzeźnicy nie okazali zbytnej nadgorliwości rozpracowując obu pozostałych jeńców...

- To tyle, Wania - zakończył opowieść Dwugłowy Jul. - Dali mi nieduży wycisk, rozwiązali i wpakowali tutaj.

Opowiadał wyczerpująco, smakując szczegóły, co i rusz podśmiewając się i błyskając z podniecenia trojgiem oczu. Z twarzy admirała Macombera można było odgadnąć, że kosmonauta słucha historii przynajmniej po raz czwarty, ale ani nie popędział, ani nie przerywał - widać rozumiał, w jakim napięciu znajdują się nerwy ich dwugłowego przyjaciela, i uważał że takie małe rozładowanie dobrze mu zrobi.

Kiedy nadeszła jego kolej, bardzo krótko poinformował, że przesłuchiwała go jakaś istota podobna do potwornie rozrośniętego ukwiału, a przesłuchanie zaczęła od rozkazania swoim tarantulom, żeby powiesili jeńca za nogi. Przebywał w tej pozycji prawie dobę, ale oprawcy nie wiedzieli, iż mają do czynienia z doświadczonym kosmonautą zdolnym znosić podobne rzeczy choćby miesiącami. Początkowo kaci usiłowali wydobyć zeń wyznanie, że jest cudownym doktorem Itai-itai, a później jak gdyby całkiem o tym zapomnieli i wciąż robili zakłady, ile tak powisi, zanim wyzionie ducha. Po czym zjawiała się w asyście dwóch młodych modliszek Dziobata Skolopendra, modliszki pałkami przegnały ukwiała z celi i opuściły admirała na podłogę. Przesłuchiwała go osobiście Skolopendra, kładąc nacisk na fakt, że przyznanie się niczym więźniowi nie grozi. Była bardzo uprzejma i ograniczyła się jedynie do wyrwania dwóch paznokci z palców lewej ręki. Potem admirała zaprowadzono do więzienia i zamknięto razem z Julem.

Całkiem już krótko opowiedział o swoich przeżyciach Wania. Kiedy skończył, Dwugłowy Jul zgrzytnął zębami i mocno zatarł zielonkawę dłoń. A admirał Macomber, mrużąc od światła lampy oczy, rzekł:

- Dzielnie się trzymałeś, Wania. Godny syn naszego Portosa. Zresztą nie ma się czemu dziwić. Przejdźmy do rzeczy, przyjaciele.

Odwrócił się do ściany-kraty po prawej stronie i niegłośnie zawołał:

- Ramkeg, niech pan będzie uprzejmy...

Bure, szczeciniaste cielsko z sąsiedniej klatki poruszyło się, ze stukiem zmieniły położenie zgięte w stawach kosmate łapy i do żelaznych prętów przyłgnał ozdobiony dwunastoma sarnimi oczami głowotułów. Zduszony głos wysyczał:

- Do usług, admirał Macomber.

- Przedstawiam panu, Ramkeg - powiedział admirał. - To jest Wania, nasz młody przyjaciel, o którym już mieliśmy honor opowiadać...

- Chłopak na medal! - włączył się Dwugłowy Jul. - Znam go od kołyski!

- Jestem zaszczycony - wysyczał przyduszony głos.

- A to jest Ramkeg - ciągnął admirał Macomber. - Nasz towarzysz niewoli.

- Jeden z towarzyszy - poprawił go Ramkeg. - Jest nas tu przynajmniej dwustu.

- Tak, bez wątplenia. A więc Ramkeg jest przedstawicielem cywilizacji zamieszkujących tę

planetę nosicielei intelektu. Nawiasem mówiąc, jest też rodakiem znanego ci Majstra Krega...

- Tak zwany Majster Kreg jest wyrodkiem - wyszeptał Ramkeg.

- Chwileczkę! - wykrzyknął Wania. - A więc to nieprawda, że Majstra Krega wypędzono z ojczyznej planety za nadmiar serca?

- To najczystsza prawda - odparł Ramkeg. - Nasi dziadowie wygnali go za zupełnie wyjątkową i pełną samozaparcia miłość do własnej osoby.

Wania zatrzepotał powiekami. Dwugłowy Jul klepnął go w ramię i zarechotał dwojgiem gardeł.

- Mnie tak samo opadła szczęka, kiedy to usłyszałem - powiedziała prawa głowa. - A myśmy wychodzili ze skóry, żeby choć raz rzucić okiem na ludek, który takiego zdeklarowanego drania jak Kreg wygania za nadmiar serca!...

Admirał Macomber poinformował się uprzejmie:

- Mogę kontynuować?

- Wal pan, admirale - odparła dobrodusznie lewa głowa. - Ja tylko tak... Wańka tak pociesznie wytrzeszczył oczy...

- A więc, kolego Ramkeg - powiedział admirał Macomber. - Pozwoliłem sobie naruszyć pański spokój z następującej przyczyny. Zaraz wyłożę pokrótce naszemu młodemu druhowi wszystko, co uznał pan za możliwe opowiedzieć mnie i Julowi o waszym świecie, o waszej planecie, na którą trafiliśmy tak pechowo, a pan niech mnie poprawia, jeśli się pomylę, albo uzupełnia, jeśli opuszczę coś według pana znaczącego. Czy to nie sprawi zbytniego kłopotu?

- Rad będę pomóc - wysyczało z godnością dwunastookie straszycło.

Oto czego dowiedział się Wania.

Planeta nazywała się Spida a jej mieszkańcy zwali się spiderami. Planeta krążyła z szaloną prędkością wokół niewidocznej gwiazdy neutronowej, której promieniowanie rentgenowskie, pochłaniane przez górne warstwy nader gęstej atmosfery, dostarczało miejscowym niebiosom równomiernego oświetlenia - jaśniejszego za dnia, bardziej stłumionego nocą. Nawiasem mówiąc owe oświetlenie ani w dzień, ani w nocy nie przeszkadzało mieszkańcom Spidy napawać się widokami miriadów sputników - fragmentów wielkiego księżyca, który rozpadł się przed wiekami...

Ryby z płytkich i ciepłych oceanów z jakiegoś powodu nie zdołały wyjść na ląd i mimo obfitej i zróżnicowanej roślinności kontynenty zamieszkiwały jedynie stawonogi. Miliard lat lądowej ewolucji doprowadził do pojawienia się na planecie życia inteligentnego, a później również i cywilizacji spiderów, sięgającej korzeniami w otchłań czasu na przynajmniej sto milionów lat.

Jeszcze w początkach swojego rozumnego istnienia spidery - być może dlatego, że pojedyncze osobniki żyją setki tysiącleci - przyswoiły sobie ideę, że każdy nosiciel intelektu, zwłaszcza starszy wiekiem, jest bezcennym skarbem wspólnoty. Z doświadczeń walki o przetrwanie zrodziła się dobroć, i najstarsze podania twierdzą, że w chwilach nieszczęść pierwotne spidery przede wszystkim ratowały swoich starców, a dopiero potem młódź i na samym końcu jaja.

Spidery nauczyły się uprawiać na pokarm gigantyczne owadożerne rośliny przypominające ziemską rosiczkę, budować z własnej i syntetycznej pajęczyny pomysłowe plastropodobne miasta,

konstruować urządzenia i narzędzia...

(- W tym również pojazdy kosmiczne - wtrącił Ramkeg. - Jednakże, jeśli nie liczyć Krega Mordercy, w ciągu ostatniego miliona lat nikt z nas nie opuszczał planety. Spidery dawno już utraciły zainteresowanie Kosmosem...)

...Spidery stworzyły i opanowały wiele nauk przyrodniczych i humanistycznych, stworzyły świetną pedagogikę oraz chętnie i gorliwie zajmowały się filozofią. Na ile można wydawać sądy, przeciętny spider to istota niezwykle zrównoważona, pogodna i życzliwa światu.

Wyjątek stanowił tak zwany Majster Kreg, onże Kreg Morderca. Drań ów był wielkim uczonym. Pracował przede wszystkim nad transplantacją tkanek, a poza tym interesował się mechaniką nieliniową. Jakies półtora miliona lat temu wybuchł skandal: jeden po drugim zniknęło pięciu asystentów Krega. Wszczęto energiczne śledztwo. Szczątki zaginionych odnalazły się w opuszczonych pomieszczeniach nie opodal jego laboratorium. Wyszła na jaw rzecz niebywała i straszna: Kreg operacyjnie pobierał ze swych ofiar ważne dla życia organy i wszczepiał je sobie w charakterze niezawodnych organów dublujących.

Cała Spida była wstrząśnięta. Cywilizacja, której główna zasada głosiła: „Zgiń sam, ale uratuj sąsiada”, znalazła się w rozterce. Nie wiadomo było, jak postąpić ze zbrodniarzem. Kary śmierci nigdy na planecie nie stosowano. Na propozycję, żeby sam ze sobą skończył, Kreg zareagował kategoryczną odmową. Wówczas postanowiono Krega wygnąć. Składająca się z czterdziestu zasłużonych spiderów specjalna komisja obserwowała w milczeniu, jak odszczepieniec ładował na pojazd kosmiczny paliwo, zapas pożywienia, wyposażenie laboratoryjne i bibliotekę. Po czym łotr wszedł na pokład, krzyknął: „Czekajcie no, mięczaki, ja tu jeszcze wrócę!” i zatrzasnął właz. Statek odleciał, a największemu wysypisku śmieci na planecie nadano imię Krega Mordercy.

A Kreg powrócił. Wylądował na Spidzie trzy tysiące lat temu z eskadrą w sile pięciu kosmicznych krążowników i przywłókł ze sobą owego potwora chciwości i okrucieństwa, Wielkiego Ośmionoga, tudzież cały pułk zbrojów-tarantuli, całe biuro administracyjnych wyrzutków wszelkich możliwych gatunków i ras, oraz tłum zahukanych na śmierć niewolników i służących. Przyszedł kres wielkiej cywilizacji spiderów. Nastąpiły mroczne czasy panowania Wielkiego Ośmionoga.

We wszystkich czasach i wszystkich przestrzeniach nie ma i nie było bardziej melancholijnej i bardziej miłującej pokój rasy niż spidery. Każdy z nich gotów był umrzeć za każdego, ale żaden nie umiał ani nie chciał walczyć. Co prawda pierwsza para odnoży spiderów zakończona jest jadowitymi pazurami - szczątkowy organ sprzed nieprzeliczonych wieków, kiedy przodkowie spiderów żyli na dnie oceanu - ale nikomu nawet nie mogło przyjść do głowy, żeby użyć owego straszego środka choćby do obrony własnej.

Wściekłe bombardowanie artyleryjskie paru miast na zawsze stłumiło nieśmiałe próby protestu i sprzeciwu. Władza bezlitosnych i skorych do krwawej rozprawy piratów stała się władzą absolutną. Ten i ów uchodził do lasów - tropiono ich z powietrza i tępiono środkami owadobójczymi. Inni próbowali szukać schronienia w otwartym oceanie - topiono ich jak gdyby dla zabawy. Jeszcze inni ogłosili strajk siedzący - oblano ich napalmem i żywcem spalono...

(- Ale to było dawno - wtrącił się ponownie Ramkeg. - Teraz nikt się nie ośmieli łąpą ruszyć. Byle co i łotry grożą, że zaleją mazutem inkubatory, w których wylęgają się małe spidery, albo eksplodują ładunki trotylu założone pod placami dla maluchów. A z dziesięć lat temu zatopili dla zabawy masą słonej wody jamę, w której tysiące naszych samic przygotowywały się do zniesienia jaj...)

Jednym słowem nieszczęsna Spida żyje obecnie w mrokach nie kończącego się łotrostwa. Co prawda masowe mordy jak gdyby ustały, Wielki Ośmionóg wraz ze zdrajcą Kregiem i zażartą Dziobatą Skolopendrą odnoszą się do spiderów według zasady pewnego starożytnego ziemskiego dyktatora: „Hyakushó korosazu ikasazu” - „Nie zabijaj chłopca, ale i nie dawaj mu żyć”.

- Tak się przedstawia sytuacja - zakończył swoją opowieść admirał Macomber.

Wania był oszołomiony. W głosie kręciło mu się od wszystkich tych okrucieństw i śmierci i w żaden sposób nie mógł przyjąć do świadomości owych milionów i setek tysięcy lat. Pokaszlał, potrząsnął głową i powiedział:

- Trzeba pomóc.

Admirał Macomber wzruszył ramionami.

- Oczywiście! Inaczej nasz pobyt tutaj traci wszelki sens. Ale koniecznie trzeba wszystko starannie obmyśleć i rozważyć...

- A ja jestem gotów choćby zaraz! - oznajmił Dwugłowy Jul i zabrał się do odgarniania nogami zalegających podłogę śmieci.

- Co za zuch! - wysyczał z zachwytem Ramkeg.

Wania parsknął mimo woli, a admirał Macomber powiedział ze zniecierpliwieniem:

- Nie strugaj durnia, Jul. Usiądź, proszę. Porozmawiajmy poważnie. Czy są jakieś pytania?

- Mam następujące pytanie - powiedział Wania. - Gdzie my się właściwie znajdujemy?

Natychmiast po zajęciu Spidy bandyci zabrali się do urządzania sobie przytulnego gniazdka. Ponieważ Wielki Ośmionóg żywił wstręt do oceanicznych przestworów (i do przestworów jako takich), wybrano miejsce położone na płaskowzgórzu pośrodku największego kontynentu. W ciągu kilku lat powstała twierdza. Przy jej budowie zginęło z wyczerpania wiele tysięcy spiderów, a pozostałych przy życiu wymordowano dla zachowania tajemnicy. Twierdzę dumnie nazwano Cytadelą. Część Cytadeli, która wznosi się ponad płaskowzgórzem, ma postać schodkowej piramidy wysokości około stu metrów. Zbudowana jest z ociosanych bazaltowych bloków, na górnych tarasach rozmieszczono działa i stanowiska rakiet, wymontowane z kosmicznych krążowników. W podziemiach Cytadeli urządzono, jak każde zwyczaj, magazyny, więzienia i izby tortur. Znajdujemy się, właśnie na jednym z takich podziemnych poziomów. Wyżej leżą koszary i kantyny dla tarantulego żołdactwa, jeszcze wyżej - laboratoria Majstra Krega i cuchnące legowisko Dziobatej Skolopendry, a na samej górze - apartamenty Wielkiego Ośmionoga. Sądząc ze wszystkiego, Cytadelę wziąć od góry nie sposób, chyba że przy użyciu zakazanych broni w rodzaju pocisków jądrowych albo promienników antymaterii. A zdobyć Cytadelę od wewnątrz..

- A propos - powiedział admirał Macomber. - Jak są uzbrojone tarantule? Więzienny dozorca, który się tu pęta, taszczy na plecach jakiś miecz albo pałasz...

- Wiem! - oznajmił nagle Dwugłowy Jul. - O tym, przyjaciele, mogę wam wszystko dokładnie opowiedzieć. Mam pewne doświadczenia osobiste, a i tutaj co nieco już przyuważyłem.

Dwugłowy Jul powiedział rzeczy wysoce ciekawe i ważne. Broni palnej, okazuje się, tarantule nie znają i znać nie chcą. Działa, rakiety i torpedy obsługują w pirackiej armii Wielkiego Ośmionoga modliszki, jedyni z najemników dysponujący czymś w rodzaju rąk. A tarantule są mistrzami starć na krótki dystans, wirtuozami walki wręcz, ciało przeciwko ciału... Po pierwsze, mają jadowite szczękoczułki, nie gorsze niż ma sama Dziobata Skolopendra. Po drugie, nie posługują się również bronią kłującą i sieczną, nie mają czym jej trzymać, a poczwara - dozorca targa swój miecz czy inny pałasz najprawdopodobniej dla szpanu. Tarantula broń jest straszniejsza od różnych tam mieczy - pałaszy - kindżałów...

(- Tak, właśnie tak - wysyczał z przygnębieniem Ramkeg).

Tarantule, jak wszystkie stawonogi, oddychają tchawkami. A tchawki, zwłaszcza na brzuchu, mają diablo duże, palec można w nie włożyć. Tak więc w otwory owych tchawek, czyli tak zwane przetchlinki, tarantule wstawiają dmuchawki załadowane żelaznymi harpunikami, zaopatrzonymi w pełne zadziórów groty. Po pięć, a nawet dziesięć dmuchawek na jednego. We właściwym momencie tarantule kurczą gwałtownie mięśnie brzucha, powietrze w tchawce spręża się i z siłą wypycha harpun we wroga. Jemu, Dwugłowemu Julowi, zdarzało się na Planecie Łotrów widzieć na własne oczy, jak tarantule takim harpunikiem przebijały z dwudziestu kroków grubą na centymetr deskę. A gdy już harpun wbije się w ciało, wyciągnąć go można tylko razem z wnętrznościami...

(- Tak, właśnie tak! - syczał Ramkeg.)

Oto jaką broń mają tarantule.

- Jasne - powiedział admirał Macomber. - Sami widzicie, przyjaciele, mamy o czym pomyśleć. Niewykluczone, że najlepszą taktyką w zaistniałej sytuacji okaże się przeczekanie...

- Przeczekanie! - rzekł z pogardą Dwugłowy Jul. - Dziwię się panu, admirale! Na co czekać? „Greczko”? Przecież on, być może, nigdy nie przybędzie... Utknął gdzieś pomiędzy „matrioszkami”... albo zgubił nasz ślad. To już piąta doba!

- Pojmuję twoje zniecierpliwienie, drogi Julu - z niezwykłą łagodnością powiedział admirał Macomber. - Ale co do kosmolotu jestem w bardziej optymistycznym nastroju. Czy zwróciłeś uwagę na fakt, że najazd Wielkiego Ośmionoga na Spidę miał miejsce trzysta tysięcy lat temu? A z Planety Łotrów uciekł przed dwudziestu laty. Nawet jeśli wziąć pod uwagę nieznanne nam czynniki, nasuwa się wniosek, że czas w tej przestrzeni płynie dziesiątki tysięcy razy szybciej niż w naszej. W ciągu tych czterech dób tam u nas minęła najwyżej minuta. I chociaż osobiście nic mi prawie nie wiadomo o translokacjach międzyprzestrzennych, jestem całkowicie pewien, że „Greczko” nadciąga i z pewnością zjawi się tu nie później niż za tydzień...

Zapanowało milczenie. Wania wstał i nerwowo zaczął krążyć po klatce. Dwugłowy Jul z rezygnacją machnął ręką i przysiadł na kupie śmieci. Ramkeg smutnie syczał i szeleścił za kratą. Nagle Wania zatrzymał się przed nim i zapytał:

- Za co zamknięto was w więzieniu, Ramkeg?

- Nas, spidery, wsadzają do więzienia nie za coś, ale po coś - wysyczał cicho Ramkeg.
- Niech będzie po co. A więc po co wsadzono was do więzienia, Ramkeg?
- Ponieważ jesteśmy pokarmem. Jutro piraci mają Tłusty Piątek. Wczesnym rankiem wszystkich nas, dwustu spiderów wyprowadzą po dwóch i trzech do kuchni i posiekają na kawałki.

11.

Wania usiadł. Admirał Macomber zerwał się na nogi. Tylko Dwugłowy Jul pozostał na swojej kupie śmieci i zaczął kiwać obiema głowami, jak gdyby mówiąc: „No właśnie, wiedziałem! A wy tu gadacie po próżnicy...” Admirał Macomber popatrzył na Wanię. Wania spoglądał na niego z wyrzutem. Admirał zerknął na Ramkega. Ramkeg patrzył nań z wyrazem całkowitego poddania się losowi. Admirał ponownie usiadł.

- Hm... - mruknął. - Czemu pan dotąd milczał, kolego Ramkeg! To, oczywiście, nieco zmienia położenie.

- Nie będziemy siedzieć i przyglądać się spokojnie - powiedział z uczuciem Wania - jak pognają na śmierć nosicieli intelektu!

- Dwie setki! - przypomniał Dwugłowy Jul.

- Hm... - powtórzył admirał Macomber. - Przyjdzie się bić. Ale szanse mamy żałośnie niewielkie...

- Ha! - zawołał Dwugłowy Jul. - Niewielkie szanse! A jakie szanse mieliśmy, admirale, gdyśmy wspólnie walczyli w podziemiach Planety Łotrów?

- Będziemy się bić - zdecydował admirał Macomber. - Cóż, najwyżej zginiemy, w końcu kiedyś trzeba...

- Polegniemy mężnie! - podchwycił Dwugłowy Jul.

- Naród Spidy nigdy was nie zapomni! - wysyczał z uczuciem Ramkeg i ze wszystkich jego dwanaściorga oczu popłynęły łzy.

Dwugłowy Jul napadł nań z miejsca:

- Tylko nie wyobrażajcie sobie, że będziecie się wylegiwać w klatkach! - ryknęły jedna przez drugą jego głowy. - Walczyć będziemy razem! Jeden za wszystkich i wszyscy za jednego! Co tam macie - jadowite pazury? Wiwat jadowite pazury! Precz z idiotycznymi przesądami! Śmiało puszczaj pazury w ruch! Żeby ani jeden drań się wam nie wymknął! Wiecie, kto was powiedzie w bój ku zwycięstwu? Sam admirał Macomber! Najbieglejszy wódz najbardziej bojowej planety we wszystkich wszechświatach! Wypróbowany w licznych bojach! I ja was poprowadzę, Dwugłowy Jul, też wypróbowany! I ten oto chłopiec, Wania! Chociaż nie walczył jeszcze nigdy, wychowywali go dzielni wojownicy - Atos, Portos i Aramis! Tak, że i on nie zawiedzie! Gotujcie się do boju, spidery! Ostrzcie wasze jadowite pazury! Wspomnijcie szczęśliwe lata waszej cywilizacji! Nie lękajcie się śmierci w walce - jest piękna! Nie to, co w kotle! Nabierzcie stanowczości!

Jego głosy niosły się po całym więzieniu. Skazańcy początkowo zamarli w swych klatkach,

później zasycieli i zaszeleścili, przylgnęli głowotułowiami do krat, a kiedy Dwugłowy Jul umilkł łapiąc oddech, zewsząd dał się słyszeć szmer głosów:

- Jesteśmy gotowi! Prowadźcie nas, Ziemianie! Prowadź nas, wodzu Macomberze! Prowadź nas, Dwugłowy Julu! Możesz na nas polegać, dzielny młodzieńcze Waniu! Zwycięstwo albo śmierć! Wbijemy nasze pazury w znenawidzonego wroga!

I zaraz we wszystkich klatkach rozległo się złowieszcze skrobanie: spidery zabrały się do ostrzenia pazurów.

- Oto, co znaczy dobra, rozgrzewająca mowa - powiedział dumnie Dwugłowy Jul.

- Jeszcze lepszy jest rozgrzewający przykład - ostudził go admirał Macomber. - Na początek trzeba koniecznie otworzyć klatki i wyprowadzić spidery na korytarz.

- Na początek sami się powinniśmy wydostać z klatek - mruknął Dwugłowy Jul.

- A co powiedział d'Artagnan? - spytał figlarnie admirał Macomber.

- On mówił wiele rzeczy - odparł uśmiechając się Wania.

- Kto to taki: d'Artagnan? - poinformował się Dwugłowy Jul.

- Najlepszy przyjaciel Atosa, Portosa i Aramis - odparł admirał.

- Nigdy o nim nie słyszałem - stwierdził Dwugłowy Jul.

- To nieistotne, drogi Julu... Ważne, że w analogicznych okolicznościach d'Artagnan powiedział: „Ta pułapka na myszy była mocna dla dwóch, dla trzech jest już za słaba”. Według moich obliczeń za jakąś godzinę powinien zjawić się tamten typ - więzienny dozorca. Trzeba go zwabić do naszej klatki.

- Zrozumiałem - rzekła lewa głowa Dwugłowego Jula.

- Och-ch-ch, och-ch-ch, och-ch-ch... - z zachwytem i lękiem wysyczał Ramkeg.

I gdy nadeszła pora, pojawił się dozorca - stary, ślepowy tarantula, który w jakichś dawno zapomnianych bojach stracił dwie łapy i pół aparatu gębowego. Dwugłowy Jul przywołał go i poprosił o dodatkową porcję żarcia w zamian za złoty łańcuch. Dozorca oczywiście zapragnął na łańcuch rzucić okiem, a Dwugłowy Jul zaproponował mu, żeby gdzie indziej poszukał głupców, łańcuch i żarcie z ręki do ręki, a jeśli żarcia nie będzie, dozorca zobaczy klejnot jak własne... hm... jak własny grzbiet. Od razu było widać, że albo dozorca nigdy nie miał do czynienia z Ziemianami, albo przyzwyczajenie do całkowitej władzy nad więźniami weszło mu w krew. Nie tracąc ani sekundy drogocennego czasu, otworzył zamek trzpieniowym kluczem przymocowanym do jedyne ocalałego szczękoczułka, otworzył drzwi i bez słowa rzucił się na Jula. Natychmiast rzucili się nań z dwóch stron admirał Macomber i Wania. Raz-dwa przewrócono tarantulę na grzbiet, przywiązano za rozciągnięte odnóża pośrodku klatki (Ramkeg i sąsiad z lewa sprężyli się i wysnuli na to dzieło po dziesięć arszynów doskonałej pajęczyny każdy) i zatkano mu śmieciami jadowity aparat gębowy, żeby niepotrzebnie nie krzyczał.

Admirał Macomber zdjął dozorcę oburęczny obosieczny miecz, Dwugłowy odwiązał od tarantulego szczękoczułka klucz i przyjaciele wypadli na korytarz. Podniecone spidery syczały i sapały w klatkach, podskakiwały na ugiętych włochatych odnóżach, błyskały sarnimi oczyma.

Nie mało, ach nie mało czasu trzeba było, aby oswobodzić i wyprowadzić na korytarz wszystkich

więźniów. Dwugłowy Jul zdrowo się spocił biegając od drzwi do drzwi - łatwo powiedzieć, otworzyć dwieście zamków! Wania brał oszalałe z niecierpliwości i gotowe pędzić, gdzie oczy poniosą, spidery i kierował do admirała Macombera, który ustawiał je w szeregi, klepał po szczeciniastych głowotułowach i mówił pokrzepiające słowa. W końcu stanęły zwartą kolumną, po pięć - czterdzieści piątek, prawie na całą długość więziennego korytarza. Ziemianie zajęli pozycję na czele kolumny, przed zamkniętymi wrotami. Wania nawinął ciasno na prawą pięść swój skórzany pas nabijany metalem, a Dwugłowy Jul nie uzbrajał się w nic - stał tylko i na przemian zaciskał i otwierał kościste pięści. Admirał Macomber zwrócił się twarzą ku kolumnie.

- Przyjaciele! - powiedział niezbyt głośno.

Wszystko ucichło, słychać było tylko nierówny szmer wzburzonych oddechów nieprzeliczonych tchawek.

- Przyjaciele! - rzekł admirał Macomber. - Wkrótce rozpoczniemy bój. Tam, za wrotami więzienia, nie ma nikogo oprócz naszych wrogów. Nie możecie spodziewać się litości i dlatego nie litujcie się sami. Możliwe, że wszyscy zginiemy, ale tak czy owak jutrzeńka wolności wzejdzie dziś nad Spidą!

Odwrócił się do Dwugłowego Jula.

- Wrota! - rozkazał.

Dwugłowy Jul wybiegł naprzód i odciągnął w bok szerokie skrzydło wrót.

Ich oczom ukazał się jaskrawo oświetlony tunel ze ścianami mokrymi od cuchnącego śluzu. W poprzek tunelu, zajmując całą jego szerokość, nieruchomo, w milczeniu, groźnie stały uformowane w stępiony klin tarantule.

12.

- Zdaje się, że koniec z nami - stwierdził z odrazą admirał Macomber.

Wania poczuł każdą komórką skóry na plecach, jak kolumna spiderów cofnęła się.

- Witajcie gołąbeczki! - wyskrzypiała szyderczo Dziobata Skolopendra, unosząc ponad szyk tarantuli górną część głowotułowia. - Nie spodziewaliście się, co?

I zaraz gdzieś pod sufitem tunelu rozległ się tłusty głos:

- Kończ z nimi, Dziobata! W piekle jest miejsce dla takich zakładników! Giń, Dwugłowy! Giń i ty, odważny smarkaczu! Za odważny jesteś, żeby doczekać starości... Giń i ty, admirale Macomber, gardłem mi już wychodzisz! Kończ z nimi, dziobata wiedźmo!

Wyobraźcie sobie teraz całą scenkę. W poprzek tunelu stoi bojowy szyk tarantuli. Z ich szeregów wystawia wstrętny czerep Dziobata Skolopendra. Dwadzieścia kroków przed wrażym frontem stoją: uzbrojony w miecz admirał Macomber i Wania. Za nimi, ścieśniona kratami więziennych ścian kłębi się chwiejna kolumna spiderów. A po lewej, jeśli patrzeć z miejsca Wani, wciąż przytrzymuje otwarte skrzydło wrót Dwugłowy Jul.

- No cóż - oznajmił admirał Macomber, ledwie umilkł głos Wielkiego Ośmionoga - zrobimy,

co się da.

I w tym momencie wyskoczył do przodu Wania. Był przecież nasz Wania, co by nie myślał o nim Atos, urodzonym artystą. Wesoło i groźnie zaśpiewał:

*Wszystkim wiadomo - Dzielny z nas ludek,
Który nie ścierpi Pajęczej obłudy.
Lubimy za to Pajęczą duszą trząść...*

(- Wania, Wania!- wyszeptał z wyrzutem admirał Macomber. - Jak ci nie wstyd! Przecież spidery to w pewnym sensie również pająki...

- Nie szkodzi, nie szkodzi, niech śpiewa, to przecież o tarantulach - wyszczał mu za plecami Ramkeg.)

Niech sobie skrzypią, Niech sobie jęczą, Tylko posłuchaj! - śpiewał Wania w biegu zmieniając słowa piosenki ze swoich ukochanych „Muzykantów z Bremy”. -

Oto my...

oto my... Zuchy nad zuchami! Tęgi zamach, Raz i dwa! Już was w trumnach mamy!

Widać było gołym okiem, że tarantule z lekka ostupiały. Dziobata Skolopendra zamarta, wytrzeszczając zaropiałe ślepia. Wania śpiewał:

Kto nas zobaczy, Ten tylko achnie Zaraz mu ogień Pięknie zapachnie. Bo za pazuchą Chowamy coś...

(- Dobrze, Wańka! Wal! - szeptał z zachwytem Dwugłowy Jul. - Wal, wszystko w porządku!

Tak, było coś, oj było, schowane za pazuchą, tyle że Wania tego nie wiedział, a Dwugłowy Jul wiedział świetnie!...)

Hej, pająki! Hej! głuptaki! Trzymajcie się, kpy!

Tarantule, a nawet sama Dziobata Skolopendra, patrzyły na śpiewającego Wanię jak zaczarowane. Czegoś podobnego nigdy dotąd nie widziały. Przeciwnik nie walczy, nie błaga o litość, nie żebrze, żeby mu dano chociaż wypić i zakąsić, ale ryczy coś takiego, że hej! A admirał Macomber - nie darmo był znakomitym wodzem najbardziej wojowniczej w całym Wszechświecie planety! - po cichu rozprowadzał przednie szeregi spiderów na skrzydła. Przed spłaszczonym klinem tarantulego szyku ukształtował się jak gdyby odwrócony klin - w miniaturze przypominało to ustawienie wojsk Aleksandra Newskiego naprzeciwko hordy teutońskich psów.

A Skolopendrze

Sprawimy piękny pogrzeb!...

zaśpiewał Wania z odpowiednią gestykulacją. W tym momencie Skolopendra ocknęła się z transu. Zasyczała, plunęła jadem i jednym niedostrzegalnym ruchem przelała się ponad przednimi szeregami swoich zbójów. Cała trzęsła się ze złości.

- Sama ich!... - mrucała jak nawiedzona. - Sama! Sama ich!... Chłopaka pierwszego!

Wygięła się gotując do śmiertelnego skoku. Wania pobladł, umilkł i zaczął podnosić do ciosu owiniętą pasem pięść. Admirał Macomber stanął obok i uniósł miecz. I w tejże samej chwili

Dwugłowy Jul ryknął obojgiem gardzieli:

- Hej, wiedźmo! Spójrz no na mnie! Zerwał czarną przepaskę z prawej głowy.

Dalsze wydarzenia rozegrały się w ułamkach sekund.

Kiedyś, dawno, będąc jeszcze pierwszoklasistą, po wysłuchaniu po raz setny z ust swojego wiernego dwugłowego przyjaciela legendy o zajęciu Planety Łotrów, Wania spytał go, co czuje do Wielkiego Ośmionoga teraz, kiedy wszystko minęło. Dwugłowy Jul odpowiedział swoim kuchenno-pirackim żargonem:

- Żeby tam co, nawet nienawidzić go teraz nienawidzę.

- Dlaczego? - poinformował się zaciekawiony Wania. - Sam przecież byłeś piratem.

- No właśnie! - wypaliła prawa głowa. - Owszem, byłem piratem. Grabiłem, brałem do niewoli, zabijałem. Przelewałem krew we wszystkich kolorach i odcieniach. Ale i sam przy tym wszystkim ryzykowałem życiem, całą skórę mam podziurawioną, trzy okręty poszły pode mną na dno, pewnie ich resztki do tej pory krążą gdzieś na kresach znanego Wszechświata... A ten bydlak, Wielki Ośmionóg, siedział jak tłusty wór w swoim pięciowodnym siarczanie miedziowym i tylko liczył forszę... Wyzyskiwacz!

Kłaniając się nisko stawał Jul przed Galą, kochającą i czującą mamą Wańki, niezgrabnie ofiarowywał jej własnoręczne kompozycje ze strzykw, rozgwiazd i jeżowców, lecz nie doczekał się czegokolwiek serdeczniejszego niż chłodny uśmiech i chłodne słowa podzięk. Nie, Gala nie zapomniała mu ani porwania przez ekran telewizora, ani brudnego karceru, ani groźby pożarcia żywcem. Na jego przyjaźń ze swoim najmłodszym potomkiem zgodziła się wyłącznie pod silnym naciskiem dobrodusznego męża i starszych synów...

- Wiesz, Wańka - powiedział kiedyś w zamyśleniu Dwugłowy Jul swojemu małemu druhowi - tysiące lat kręciłem się po Wszechświecie, a nie spotkałem nikogo podobnego do mnie. Zupełnie nie wiem, skąd się wziąłem. Nosiciel intelektu bez ojczyzny - coś podobnego! Moje najwcześniejsze wspomnienie: tuli mnie w ciepłych mackach babuleńka - polip z planety Żółtych Traw... Wpadłem tam kilka wieków później, rozgraбіłem i spaliłem jedno miasto... Tak, dobra była staruszka, karmiła mnie na wpół ugotowaną chlorellą, gdyby nie ona z pewnością ducha bym wyzionął. Siedzieliśmy w ładowni słynnego podówczas handlarza niewolników, Krwiopijcy Tanaty. Potem w ładowniach wybuchły rozruchy, Krwiopijca Tanata przywodził mnie i wziął do siebie na posługacza. Bił mnie bestialsko i pewnie by zatłukł na śmierć, ale akurat załoga zbuntowała się, wrzucili Tanatę do reaktora i zostałem chłopcem okrętowym na pirackim okręcie... I tak już poszło. Widzisz. A swojej ojczyzny dalej nie znam. Na początku pytałem - druhów-piratów, kompanów od kieliszka, jeńców, później nawet i pytać przestałem, nikt nie wiedział. Tak to się sprawy mają, Wańka, przyjacielu...

Wydarzenia nastąpiły po sobie w ułamkach sekund.

Przypomnijmy jeszcze raz położenie.

W poprzek tunelu prowadzącego od więziennej bramy stoją stępionym klinem tarantule.

Dwadzieścia kroków przed nimi wyrasta odwrócony klin spiderów.

Przed szykiem tarantuli spręża się do skoku rozjuszona Skolopendra.

Przed szykiem spiderów stoją gotowi do śmiertelnej walki: admirał Macomber z uniesionym mieczem i Wania z pięścią gotową do zadania ciosu.

A po lewej stronie stał przy skrzydle wrót odwrócony bokiem Dwugłowy Jul.

- Hej, wiedźmo! Spójrz no na mnie! - ryknął obojgiem gardzieli i zerwał czarną opaskę z prawej głowy.

I zdumiony Wania zobaczył: z pustego prawego oczodołu wysunęła się oksydowana lufa pistoletu maszynowego.

Dziobata Skolopendra słysząc krzyk odwróciła się gwałtownie ku Julowi.

- Chcesz być pierwszy? Dobra! - wyszczała.

Ostatnią rzeczą, jaką w swoim wielowiekowym, smrodliwym życiu zobaczyła Dziobata Skolopendra był wycelowany w nią z bliska czarny wylot lufy. Potem z lufy trysnął błękitno-purpurowy płomień, zagrzmiała długa seria i z prawego ucha prawej głowy Dwugłowego Jula dzwoniąc o kamienną posadzkę posypały się gorące łuski naboju.

Tak w jednej chwili zginęła Dziobata Skolopendra, długie, wielonogie cielsko wypełnione zgrozą i nieujarzmioną złością. Opancerzone chityną segmenty rozpadły się na zbutwiałe strzępki, a ścięty pociskami zaokrąglony łeb runął na podłogę, bezsilnie gryząc kamień sierpopodobnymi szczękoczułkami splamionymi jadem.

- Macie! - ryknął obojgiem gardeł Dwugłowy Jul i chlasnął drugą serią po tarantulach. - Naprzód, bracia-spidery.

Ale tarantule wspięły się już na tylne odnóża. „Pszszsz! Pszszsz! Pszszsz!” - zaszeleściły dmuchawki. W strasznej ciszy, która zapanowała po łoskocie wystrzałów, wyraźnie było słychać, jak żelazne groty z mlaskającym chrzęstem przebijają pierś Dwugłowego Jula, i Wania zobaczył z rozpaczą: przyjaciel jego dzieciństwa, były wolny pirat i niezastąpiony bramkarz amatorskiej drużyny Narjan-Maru zachwiał się pod śmiertelnymi ciosami, cofnął się i upadł.

Dwugłowy Jul umarł.

- Za mną, do ataku! - zawołał admirał Macomber i poszedł do przodu.

Spidery hurmem ruszyły na wroga.

Starli się we wrotach. Cóż to była za walka! Sławny bój. Spidery nacierały wściekle, nie znając litości. Czy sprawiła to rozpalona przez Ziemiaków w ich sercach jutrzienka wolności, czy bohaterska śmierć Dwugłowego Jula, czy może tysiącletnia nienawiść do ciemiężców, a najprawdopodobniej i pierwsze, i drugie, i trzecie razem wzięte - w jednej chwili w sercach spiderów zgasły pokora i umiłowanie pokoju oraz wstręt do zadawania śmierci. Stępiony klin tarantulego szyku momentalnie ściśnięto ze skrzydeł. Poszły w szalony ruch jadowite pazury. Krawędzie czoła klina skruszył mieczem admirał Macomber i rozciągnął na ziemi Wania - ciosy jego pięści były jak kopnięcia końskiego kopyta, głowotułowia tarantuli pękały pod nimi niczym zdeптane buciorami zatęchłe jaja. W tunelu zrobiło się bardzo, bardzo ciasno.

- Nie pozwólcie im oderwać się! - chrypiał admirał Macomber pracując mieczem. - Następujcie im na pięty!

Zwycięstwo przyszło zdumiewająco łatwo. Pozbawione przywódczyni, po raz pierwszy od

wielu tysięcy lat stykające się z godnym przeciwnikiem tarantule z każdą chwilą walczyły coraz mniej pewnie i mniej chętnie. Potem zaczęły zmykać. Dobijając uciekinierów (jeńców nie brano) spidery rozbiegły się po wszystkich przejściach i zakamarkach. Natychmiast też zbuntowali się obsługujący Cytadelę niewolnicy rozlicznych ras. Rąbano miotających się w poszukiwaniu ratunku strażników i fagasów i zziąjany Ramkeg, posapujący ze świstem tysiącami tchawek, zażartował z ponurą naiwnością pewnego średniowiecznego autora, że ciała wrogów są tłuste i dobrze użyźnią glebę planety...

Ale stop. Nie uchodzi męczyć czytelnika opisywaniem okrucieństw owej unikalnej bitwy. Buntujący się uciemieni zawsze mają rację: to mówi wszystko. Zresztą w pamięci Wani niewiele się zachowało. Ludzka pamięć bywa litościwa.

Oto Wania biegnie szerokim, jasno oświetlonym korytarzem. W rękach ma ciężki topór. (Skąd, jakim sposobem znalazł się w jego rękach?) Za nim, nie odstępując ani na krok mknie Ramkeg i pędzą jeszcze dwa inne nastroszone spidery, wloką ze sobą jakiegoś fagasa, odrażającego przyszatego bezskorupego mięczaka, który ze strachu przez cały czas wydala cuchnącą maź. Ktoś rzuca się z boku na Wanię. Jakaś poczwara - ni to gigantyczny skorpion, ni to rak... Nie zatrzymując się, Wania wali toporem na odlew - poczwara z trzaskiem pęka, na kolana chlusta brunatna ciecz...

- Gdzie? - krzyczy Wania bez tchu.

- Tutaj, tutaj - piszczy mięczak.

Drzwi. Zamknięte. Uderzenie toporem. Jeszcze raz, jeszcze raz... Drzwi znikają. W twarz uderza niesamowity, wyciskający łyż z oczu odór kwasów. Oto matecznik Wielkiego Ośmionoga. Ach, za późno... Niczym tłuste robale na dywanie wiją się macki pokryte chciwie przeszukującymi powietrze przyssawkami i rogowymi zadziornami. Śmiertelnie przerażony niebiesko-fioletowy niewolnik wskazuje drżącą ręką... Wielki Ośmionóg, nader przedsiębiorczy nosiciel inteiektu i niewiarygodnie bogaty drań popełnił samobójstwo - odgryzł sobie wszystkie macki i utopił się w sedesie. Wania patrzy na tłuste, galaretowate cielsko, spluwa i spuszcza wodę. Koniec z Wielkim Ośmionogiem.

- Tutaj, Wania! - syczy za plecami Ramkeg.

Wania odwraca się. Wojaki-spidery przycisnęły do kąta swojego krajana, tłustego spidera w dwunastosoczewkowych okularach ze złotymi oprawkami.

- Kreg Morderca - informuje krótko Ramkeg. Majster Kreg poprawia okulary i zwraca się do Wani.

- Proszę mnie uwolnić od samowoli tych typów - mówi z godnością. - Ja mogę, ja wiele mogę, jestem bezcenny, jestem uczonym i wynalazcą. Potrafię przydać się każdej rasie i każdej władzy. Mój mózg to skarbiec pełen tajemnic przyrody i ducha, mogę się przysłużyć każdej cywilizacji!

Ramkeg patrzy beznamiętnie na Wanię.

- Co takiego? - mówi Wania tłumiąc wściekłość. - Czemu gapisz się na mnie, Ramkeg? Kończcie z bydlakiem, nie róbcie z siebie durniów!

Dużo, bardzo dużo nauczył się Wania w przeciągu tych paru minut wyprawy do piekła.

Trzy pary jadowitych pazurów wbijają się równocześnie w łysy grzbiet Majstra Krega. Krótki krzyk... Koniec. Nie ma już wynalazcy kontraktora, aparatów opartych na umysłach nosicieli intelektu i wielu innych podłości. W hańbie zginął zdrajca ojczystej planety, winowajca męczeńskiej śmierci miriadów rodaków, podły fagas podłego dyktatora. Niechaj ta niesławna śmierć będzie nauką dla wszystkich rozumnych istot w wielkim i urozmaiconym świecie!

I Wania pamięta jeszcze:

Stoją na najwyższym tarasie Cytadeli. Tępo, bezmyślnie sterczą w różne strony działa laserowe i rakiety na lawetach, koło nich poniewierają się pocięte i pogryzione modliszki. Pod ścianą ustawili się na wygiętych stawami w górę kosmatych odnóżach zmęczeni, potargani zwycięzcy. Leży tam też nakryte białą, jedwabną narzutą ciało Dwugłowego Jula. Nad głowami, po szarozielonym niebie pełzną nieregularne białawe plamy - satelity Spidy, szczątki niegdysiejszego wielkiego księżycy. A w dole, na ile sięga wzrok - bura, kłębiąca się równina, tysiące spiderów zebranych wokół Cytadeli.

Admirał Macomber odrzuca poplamiony miecz i rozdygotaną dłonią ociera czoło.

- Wania - mówi. - Powinieneś powiedzieć im coś.

- Czemu ja? - protestuje słabo Wania. - I co mam mówić?

- Wania - mówi surowo admirał Macomber. - Trzeba! Wania robi parę kroków i zatrzymuje się na samej krawędzi tarasu.

- Druhowie! - woła i kaszle. - Obywatele Spidy! Samice i samce! My, Ziemianie, witamy...

W tym miejscu przerywają mu. Z nieba huczy gromki głos:

- Hej, gdzie jesteście! Admirale, Wańka, Jul, odezwijcie się! I rozpychając spadzistymi bokami szczątki dawnego księżycy

Spidy spływa z szarozielonego nieba prosto na Cytadelę okręt międzyprzestrzenny „Greczko”, stumetrowe żelazko z najlepszych ziemskich stopów najeżone grawitonowymi przebijakami, z bioparalizatorem w pozycji bojowej.

- No i po wszystkim - mówi admirał Macomber.

EPILOG

Dzień 15 listopada 2222 roku naszej ery, trzysta piątego roku Wielkiej Rewolucji, był na planecie Ziemia i w okolicach piękny i zwyczajny.

Technicy meteo radośnie odkręcili w przeciwną stronę podstępny cyklon „Kasieńka”.

Pracownicy madryckiego laboratorium biosyntezy tchnęli życie w wymoczek zbudowanego z białka opartego na germanie.

We Wnukowie, na skraju Moskwy, otwarto kompleks-mauzoleum Rosyjskiego Honoru i Sławy, dzieło słynnego Seversa.

Przy brzegach wyspy Socorro wystrzelono w podprzestrzeń kolejne osiemdziesiąt ton starych radioaktywnych odpadów.

Zakwiliły i zastękały setki tysięcy noworodków, przyszlých lekarzy, nauczycieli i wychowawców, mistrzów, uczonych i sportowców, i - czemuż by nie - wielkich pisarzy, artystów i filozofów.

W mieście pod kopułą na Wenus młoda mama wsoliła dziesięcioletniej córeczce parę klapsów za to, że mała zbudowała robota, który pisywał za nią wypracowania z literatury.

Startowały w Daleki Kosmos i powracały do rodzimych baz gwiazdoloty superdalekiego zasięgu; spóźniali się na randki, całowali i kłócili zakochani; poeci konstruowali wiersze, a mistrzowie tworzyli poematy z metalu i elektroniki; ktoś wchodził bez lęku do komór eksperymentalnych, a ktoś z bezgraniczną ostrożnością i niezmierną cierpliwością badał niemowlę, które niespodziewanie zagrymasiło...

Owego dnia na brzegu ongiś lodowatego, a obecnie i po wsze czasy ciepłego oceanu wyprawiano wesele. Trubadur żenił się ze swoją Księżniczką. Uroczystość była bardzo skromna, z osób postronnych brali w niej udział jedynie admirał Macomber i spider Ramkeg, odbywający na Ziemi staż w celu opanowania w teorii i praktyce łączności międzyprzestrzennej. Nawet z „Muzykantów z Bremy” nie było nikogo poza narzeczonymi.

Młodzi pod każdym względem stanowili wspaniałą parę: popielatowłosa piękność - dziewczeczka o zielonych oczach na pół twarzy oraz siwy jak gołąb dwudziestoletni młodzieniec z twarzą jak gdyby osmaloną płomieniem cierpienia i śmiertelnego boju. Gala ukradkiem podnosiła do oczu chusteczkę, Portos głośno pochrząkiwał i gorliwie napełniał kielichy, Atos uśmiechał się z przymusem, a Aramis od czasu do czasu mechanicznie pokrzykiwał „gorzko!” i w niejakiem osłupieniu patrzył, jak młodzi się całują. A przy tym wszystkim każdy z obecnych rozumiał doskonale: Wania i Tzana nie mogą żyć jedno bez drugiego.

W kulminacyjnym momencie dostojnej i ponurej ceremonii zdarzyła się rzecz wstrząsająca.

Była noc, wieczna noc polarna, gdy nagle otworzyło się okno i razem z szelestem fal liżących płaski, żwirowy brzeg wtargnął do sali czarny gawron z wielkim dziobem. Zatoczywszy krąg nad stołem przysiadł na zyrandolu i powiedział:

- Wańka, nie strachaj się! Wszystko będzie dobrze! Ja ci to mówię, Brzupa, onże Brzuchaty

Paciuk! Macie moje błogosławieństwo, ty i twoja Tzana. Wiedz, draniu, że twój daleki potomek, cudowny doktor Itai-itai, wywiedzie się z waszego małżeństwa, z waszej wielkiej miłości!

A powiedziawszy to gawron odleciał i samo z siebie zatrzasnęło się okno. Ach, jakże odmienił się nastrój za weselnym stołem! Ale czy warto rozwodzić się nad tym?

Kim jest w rzeczy samej ów Brzupa, Brzuchaty Paciuk? Być może przybyszem z doskonalszych światów? Albo doskonalszych czasów? Wydawałoby się, że cóż prostszego, wystarczy zapytać wprost. Ale nie, język nie posłucha. Czy warto zresztą? Czas pędzi, do zrobienia tyle rzeczy! A pusta ciekawość jest przejawem nieuctwa i braku taktu, najbrzydszych po tchórzostwie wad. Cieszymy się po prostu, że Brzupa, Brzuchaty Paciuk, jest po naszej stronie...

Późną nocą, kiedy w domu nad brzegiem oceanu wszystko ucichło, Gala i Portos wyszli niezauważeni i wsiedli do samolotu. Lecieli godzin, a polecili na wschód, i wstawał już świt, kiedy z lustra Oceanu Lodowatego wyrosła Czarna Skała.

Na skale tej znajdowała się mogiła. Chyląc się nisko, jakby chcieli uciec pogoni, złożyli na kamiennej płycie bukiety arktycznych kwiatków.